

Antoni
Rybczyński

**ROSJA
NA DOPINGU**

Piotr
Lisiewicz

**REKORDZISTA SPOD
MONTE CASSINO**

Marcin
Wolski

**CYWILIZACJA
WYGODY**

NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA



ABORCYJNA DRUŻYNA MARZEŃ

to dla poczętych dzieci **DRUŻYNA ZABÓJCÓW**,
która swą aktywność koncentruje na organizowaniu
uśmiercania nienarodzonych



Ilustracja: Rafał Zawadzowski

Aborcyjny Dream Team i handel śmiercią / 6



foto: SASHENKA CUTIEREZH / PAP/EGA

Z perspektywy Nieba / 22



foto: NAC

Rekordzista spod Monte Cassino / 44



foto: MATT BRAS

Wieżien, któremu serwuje się lody / 66



foto: HANNNAL HANSCHKE / PAP/EGA

Rosja na doping / 72

Spis treści

► TEMAT NUMERU

Grzegorz Wierzchołowski
Aborcyjny Dream Team i handel śmiercią 6
 Z ks. prof. Dariuszem Kowalczykiem rozmawia Katarzyna Gójska
Zło aborcji weszło na nowy poziom 10
 Ryszard Czarnecki
O dzieciakach, pozytkach z prawa i księdzu Stasiu 17
 Krystyna Różańska-Gorgolewska
Rafał Grupiński – patron rewolucji gangów akuszerok 18

► IDEE

Ewa Polak-Palkiewicz
Z perspektywy Nieba 22
 Tomasz Terlikowski
Niemiecka rewolucja eklezjalna 29
 Z Przemysławem Czarnkiem rozmawia Hubert Kowalski
Sędziowie kastowscy chcą mieć swojego szefa Sądu Najwyższego 32
 Paweł Piotr Warot
Spóźniona lustracja 36
 Małgorzata Matuszak
Stare stereotypy wciąż rzucają cienie 40

► HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Rekordzista spod Monte Cassino 44
 Dariusz Jarosiński
Dziękujemy Ci za życie 50
 Agnieszka Kowalczyk
Z wojny polsko-bolszewickiej. W stulecie bitwy warszawskiej 56
 Zygmunt Zaremba
Odpowiedź mordercom 62

► KULTURA

Sylvia Kołodyńska
Wieżien, któremu serwuje się lody z bitą śmietaną 66
 Krzysztof Karnkowski
Święty trójkąt Orbitowskiego 68

► ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Rosja na doping 72
 Olga Doleśniak-Harczuk
Bracia, ku Słońcu! Tylko się nie spalcie... 77
 Hanna Shen
Ciężki rok dla chińskich towarzyszy 80
 Stefan Czerniecki
Pamiętka z najniebezpieczniejszej plaży świata 84
 Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92
 Antoni Rybczyński
Biała Śmierć Armii Czerwonej 94

Stale rubryki

	Katarzyna Gójska Aborcyjny Killing Team NA POCZĄTEK	3
	Małgorzata Matuszak Czym jest... prokrastynacja KATECHIZM INTELIGENTA	43
	Kamil Goral Rada Polityki Fiskalnej coraz bliżej SŁOWEM O GOSPODARCE	65
	Marek Kalinowski Nowe szaty dinozaura DO GRAJĄCYCH SZAFY...	70
	Ryszard Czarnecki Nasi w Chicago, czyli „Polacy, jesteście u siebie” ... CZARNECKO TO WIDZĘ	71
	Olga Doleśniak-Harczuk Moje ciało... Poważnie? Z GLOBALNEGO TYGŁA	90
	Marcin Wolski Cywilizacja wygodny PAPKULTURA	98
	Tomasz Sakiewicz Religijność a konserwatyzm OSTATNIE SŁOWO	99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
 POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA



miesięcznik
 wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
 REDAKCJA
 02-056 Warszawa
 ul. Filitrowa 63/43
 e-mail: redakcja@niezalezna.pl
 www.panstwo.net

ZESPÓŁ
 Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
 Martyna Hajdo-Trolińska
 DYREKTOR WYDAWNICZY
 Tomasz Sakiewicz
 PROJEKT GRAFICZNY
 Mariusz Troliński
 DTP
 Aleksander Razczarkow
 KOREKTA
 Irena Biśta-Kanciála

INFORMACJA O PRENUMERACIE
 tel. +48 22 290 29 58
 prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
 09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.
 Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
 ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Aborcyjny Killing Team

Zabicie nienarodzonego dziecka jako spełnienie marzeń, nowe otwarcie w życiu, ulga czy wręcz realizacja praw obywatelskich – w taki sposób przez ostatnie kilka lat lansowana jest aborcja.

FOT. ADOBE STOCK

Z opisów umieszczanych na stronach zachęcających do aborcji czy publikowanych w mediach wspierających ruch proaborcyjny zabieg jawi się jako najprzyjemniejsza procedura medyczna, jaka w ogóle istnieje, a przeprowadzający ją ludzie to wręcz anioły – wszyscy zawsze uśmiechnięci, pełni empatii i niezwykle opiekuńczy. Można by z ironią zapytać, po co zatem akcja „Rodzić po ludzku”, skoro polscy ginekolodzy są tak zaangażowani w dobrostan swych pacjentek? Najwyraźniej straszny czy wręcz traumatyczny może być tylko poród. Aborcja to czysta przyjemność. Promowanie aborcji na życzenie jest działaniem przemyślanym i realizowanym wielotorowo – zachętom do zabijania dzieci towarzyszy gloryfikacja aborjonistek, obrzydanie macierzyństwa, ukazywanie uśmiercania nienarodzonych jako jednego z praw obywatelskich, a wręcz szczytowego osiągnięcia nowoczesnego społeczeństwa.

► Siła filmu „Nieplanowane”

Moc tego obrazu tkwi przede wszystkim w jego sferze informacyjnej. Został bowiem oparty na wiedzy człowieka z ciemnej aborcyjnej strony – żargon, działania marketingowe, sposoby na zarabianie na zabiegach aborcyjnych czy nawet procedury wobec pacjentek i ich bliskich pokazują biznes zabijania nienarodzonych dzieci oczami ich uczestnika, a dokładnie uczestniczki. I to robi wrażenie. Dlatego zapewne przed polską premierą aborcyjne propagandystki wpadły w szal, a wspierające je media publikowały poradniki przestrzegające potencjalnych widzów przed „antyaborcyjnymi kłamstwami”. Najwyraźniej na nic się to zdało, bo mimo bardzo niewielkiej liczby pokazów film miał liczną widownię. I w mojej opinii winien być inspiracją dla działań ludzi chcących ograniczyć liczbę aborcji w Polsce. Droga do tego celu nie prowadzi poprzez polityczne starcie ze zwolennikami zabijania nienarodzonych dzieci na życzenie. Wręcz przeciwnie – wszyscy, którym szczerze leży na sercu uświadamianie zła aborcji, powinni trzymać się z daleka od działań politycznych. Bo kluczem do zwycięstwa jest edukacja. Długi marsz konsekwentnego pokazywania prawdziwego oblicza proaborcyjnych środowisk, upubliczniania skali zysków, jakie osiągają, i przedmiotowego podejścia do młodszych czy starszych kobiet, którym umówiono, iż problemy w życiu rozwiązują się poprzez uśmiercanie. Jeśli politycy chcą pomóc – niech robią wszystko, by zwiększać pomoc – także finansową – dla rodzin z dziećmi. Im mniejszy będzie strach o utrzymanie swojego dziecka, tym mniej skuteczna będzie proaborcyjna propaganda. Oczywiście nie w każdym przypadku odrzucanej ciąży chodzi o pieniądze – ale w części tak, i akurat tu politycy mogą się wykazać.

► Aborcyjny biznes

Hipokryzja proaborcyjnych środowisk jest wyjątkowo widoczna przed świętami – wszystkie celebrytki, które z takim zapalem popierały tzw. czarne marsze, akurat w tym okresie zażarcie walczą o uchronienie karpi przed męczarnią przepełnionych i niedotlenionych kadzi, a później nieprofesjonalnego uśmiercania. Co głupsze walczą też z wycinaniem choinek. Ale te zostawmy w spokoju. Obrończynie karpi, a w innych sytuacjach także zwierząt futerkowych, można zapytać: na jakiej podstawie uważają, że system nerwowy ryby jest znacznie bardziej rozbudowany niż nienarodzonego dziecka? Karp cierpi, a zabijane zastrzykiem w serce czy rozrywane na kawałki dziecko nie? I znowu powracam do filmu „Nieplanowane”, bo pokazuje on każdą z promowanych dziś metod aborcji. Chemiczną – stosowaną wobec mniejszych dzieci, ale już z bijącym sercem. Fizyczną – dedykowaną uśmierceniu dziecka, które ma już ukształtowane ciało. W filmie widzimy, że każda z nich poza tragedią dla dziecka, jest też niebezpieczeństwem dla matki. Portale proaborcyjne oferują kobietom zestawy specyfików do samodzielnego zabicia nienarodzonego dziecka. Cena to kilkaset złotych. Zbawczynie kobiet zapominają jednak powiedzieć, na co wydają zarobione w ten sposób pieniądze, kto i jaki dochód czerpie z zakamuflowanej sprzedaży preparatów, których realny koszt to kilka złotych. Tak zwanym małym drukiem kobiety są informowane o tym, iż w czasie stosowania owych środków powinny przebywać niedaleko szpitala i znajdować się pod opieką kogoś, kto w razie komplikacji wezwie pogotowie. Z filmu „Nieplanowane” dowiadujemy się, iż ciężarnej nie są pokazywane obrazy rejestrowane przez USG tuż przed zabiciem jej dziecka oraz podczas zabijania. Ta informacja pasuje do opowieści serwowanej przez proaborcjonistki opinii publicznej. Słyszymy od nich o płodach. Niczym jak o kosmitach, którzy wraz z nabraniem powietrza w płuca przeistaczają się ludzi. Kim – lub może czym – jest płód, tego dość niepodobna. I teraz kolejna aberracja. Środowiska, które w dyskusjach o zmianach klimatycznych i prawach zwierząt powołują się na wyniki skomplikowanych badań naukowych, w rozmowach o zabijaniu nienarodzonych dzieci nagle zaczynają ignorować fakty ustalone przez naukę lata temu, a potwierdzone miliony razy. Płód jest człowiekiem, dokładnie tak jak i dziecko, i starzec. Jest jednym z etapów rozwoju organizmu ludzkiego, ale dysponuje kompletnym zestawem genów – jednym słowem, w jego ciele jest zapisana cała przyszła historia, w tym wymiarze, w jakim odpowiada za nią biologia. Nie tylko wygląd, lecz także predyspozycje do konkretnych schorzeń itd. To wiedza tak oczywista, że nikt

rozsądny i nawet tylko nieco zaznajomiony z biologią człowieka nie będzie jej kwestionował, bo równie dobrze można by podważać odkrycie Kopernika. Okazuje się jednak, że dla promowania aborcji wszystkie za-interesowane tym tematem strony będą udawać, iż nauka jeszcze nie odkryła, kiedy zaczyna się człowiek.

► Lukrowanie zabijania

Mówienie o jakimś nieludzkim płodzie to jednak za mało. Konieczne jest budowanie pozytywnego wizerunku zabijania dzieci nienarodzonych. Zatem skoro odbiera się im powszechnie godność – bo nie mówi się o człowieku, lecz właśnie o płodzie – to należy także zatroszczyć się o pozytywne skojarzenia z procedurą ich uśmiercania. Stąd zatem obserwujemy

MÓWIĄC ZUPEŁNIE WPROST – DLA
ŚRODOWISK POPIERAJĄCYCH ABORCJĘ
BRZYDKIE JEST NIEMOWLĘ PRZY PIERSI
MAMY, A NIE WYMALOWANY FACET
W SZPIŁKACH Z PIÓRAMI PRZY ZADZIE,
SUNĄCY W POCHODZIE MU PODOBNYCH
ŚRODKIEM GŁÓWNEJ ULICY MIASTA.

dziś wysyp tworów typu Aborcynj Dream Team. A „Wyborcza” nie jest w stanie przeżyć tygodnia bez historii cudownej, zbawczej aborcji. I nie chodzi o opowieści ofiar gwałtu, lecz o losy pań, które zabiły swe dziecko, bo uznały, że nie pasuje ono do metrażu ich mieszkania, chciały się jeszcze wyszaleć albo wybić, albo bały się nadmiaru kilogramów, a akurat wielkim wysiłkiem udało im się zredukować masę. Chodzi o to, by ośwoić opinię publiczną z przekonaniem, iż aborcję można przeprowadzić z byle powodu. Temu samemu służy przedstawianie liberalizacji prawa aborcyjnego jako wyższego etapu rozwoju społecznego. Kobiety wywalczyły sobie prawa wyborcze, zyskały równouprawnienie, możliwości rozwoju takie jak mężczyźni, a następnym szczeblem na tej pseudoprogresywnej drabinie jest możliwość zabicia swojego dziecka z byle jakiego powodu. Prawo do dokonania aborcji jawi się w takich opowieściach niemal jak zwieńczenie budowania nowoczesnego społeczeństwa. A kobiety po unicestwieniu swego po-

tomka są przedstawiane jako wyzwolone czy odważne. To najbardziej odrażająca ściema równouprawnienia: nikt nie oczekuje bowiem od mężczyzny, że weźmie odpowiedzialność za poczęte dziecko, tylko wywieria na kobietę presję, by wzięła na swe sumienie i swe ciało obowiązek „uporania się” z ciążą, która dla obojga okazała się zaskoczeniem.

► Niszczenie macierzyństwa

Zjawiskom zasygnalizowanym przed chwilą towarzyszy jeszcze jedno – straszenie dziećmi. Dzieci ukazwane są w mediach wspierających aborcję jako różnego rodzaju ciężar. Gdy są jeszcze w łonie mamy, to niszczą jej ciało. Po urodzeniu wypychają kobietę w przymus karmienia piersią, który nie tylko przywiązuje ją – w negatywnym znaczeniu – do dziecka, lecz także budzi obrzydzenie postronnych świadków tego wstrząsającego widoku. Dziwnym trafem wrażliwość estetyczna tych samych środowisk nie cierpi podczas tzw. parad równości. Mówiąc zupełnie wprost – brzydkie jest niemowlę przy piersi mamy, a nie wymalowany facet w szpilkach z piórami przy zadzie, sunący w pochodzie mu podobnych środowisk głównej ulicy miasta.

Od lat konsekwentnie budowany jest negatywny wizerunek rodzin wielodzietnych. W mediach popierających liberalizację prawa do aborcji wielodzietność przedstawiana jest jako efekt lekkomyślności rodziców, ich niewiedzy, obciążenie dla budżetu państwa. Kreowana jest moda na restauracje czy hotele, do których nie można przyjechać z dziećmi. Uzasadnia się ich istnienie, zachwala nowatorski sposób myślenia, choć przecież tyle w tym światłości co na plantacji kawy w Brazylii w XIX wieku. Tego typu jawnie dyskryminacyjne pomysły lansują środowiska, które antydyskryminacyjnymi hasłami wypychają sobie codziennie usta, a za odmowę wykonania usługi promującej ideologię LGBT gotowe byłyby wsadzać do więzienia. Jak widać, można odmówić pokoju w hotelu rodzinie z dziećmi, ale nie można parze homoseksualistów.

I jest jeszcze nowość – dzieci niszczą planetę. Taką tezę lansują, na razie ostrożnie, media lewicowe sprzyjające maksymalnemu poszerzaniu dostępności aborcji. Ich zdaniem do zatrzymania zmian klimatu może przyczynić się także rezygnacja z posiadania dzieci, a co najmniej ograniczenie liczby potomstwa. Idę o zakład, iż w taki sam sposób będzie niebawem uzasadniane prawo do zabijania nienarodzonych, to tylko kwestia czasu, bo ci, którzy już dziś ogłaszają bezdzietność ze względu na ilość gazów cieplarnianych, pokazywani są jako przenikliwi pionierzy, a nie szaleńcy.



Grzegorz Wierchołowski

Sześć godzin – tyle czasu potrzebuje niepełnoletnia dziewczyna, by za pośrednictwem Aborcyjnego Dream Teamu załatwić sobie tabletki służące do zabicia nienarodzonego dziecka. Jak sprawdziło „Nowe Państwo”, stojące za wysyłką niewiadomego pochodzenia „leku”, feministki nawet nie próbują takiej dziewczynce zaoferować innego rozwiązania niż aborcja. Radzą jedynie, by w razie medycznych „komplikacji” mówić lekarzom, że doszło do samoczynnego poronienia. I podkreślają, że warunkiem wysłania tabletek jest przelew w wysokości 75 euro.

ABORCYJNY DREAM TEAM I HANDEL ŚMIERCIA



ILUSTACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI



Feministki z Aborcyjnego Dream Teamu przedstawiają się jako „nieformalna inicjatywa mająca na celu odtabuizowanie aborcji”. Pierwsza z nich – Justyna Wydrzyńska – pisze o sobie: „Sama miałam aborcję, która okazała się punktem zapalnym do wielu dobrych zmian w moim życiu”. Druga – Natalia Broniarczyk – prezentuje się następująco: „Dla wielu osób może to brzmieć dziwnie, ale temat aborcji naprawdę mnie fascynuje od wielu lat – czytam, piszę, badam, staram się codziennie przeciwdziałać stygmatyzacji aborcji. Parę lat temu przerwałam ciążę i to było ważne wydarzenie w moim życiu”. Kolejna – Karolina Więckiewicz – oświadcza: „W ADT staram się przekonywać, że pomaganie i wspieranie się w aborcji to nic złego, nawet jeśli bywa interpretowane jako przestępstwo. Ostatnio realizuję się w proaborcyjnym hafcie”. Ostatnia – Kinga Jelińska – przedstawia się: „Jestem kulturoznawczynią, dyrektorką międzynarodowej fundacji Women Help Women. Od ponad 13 lat wspieram, Kocham i szanuję samoobsługę aborcyjną”.

► Wyłącznie na twoje ryzyko

Po wejściu na stronę aborcyjnydreamteam.pl od razu rzuca się w oczy grafika z napisem „Aborcja jest OK” i pytanie „Potrzebujesz aborcji?”. Wystarczą dwa kliknięcia, by zostać przekierowanym na portal fundacji Women Help Women, której dyrektorką jest Kinga Jelińska. A dokładniej na podstronę w języku polskim – zatytułowaną „otrzymaj aborcję medyczną (tabletki)”.

12 grudnia wypełniłmśmy umieszczony tam tzw. formularz konsultacyjny, przedstawiając się jako 17-letnia Kasia Ł. Ów formularz to fikcja – zaledwie kilka pytań, m.in.: „w jaki sposób potwierdziłaś, że jesteś w ciąży?” i „czy cierpisz na jedną z następujących chorób?”. Prawdziwość odpowiedzi oczywiście w żaden sposób nie jest weryfikowana. Jest też pytanie: „Czy chciałabyś podzielić się z nami powodami, które skłoniły cię do podjęcia decyzji o aborcji?”. Wśród odpowiedzi podanych do wyboru mamy m.in.: „nie jestem przygotowana teraz na kolejne dziecko”, „nie chcę mieć dzieci”, „dom jest zbyt mały” czy „ciąża może kolidować z moją pracą lub karierą”. Żaden powód nie jest przeszkodą w pozyskaniu tabletek służących do uśmiercenia dziecka.

Na końcu formularza trzeba podać dane kontaktowe i zaakceptować „warunki użytkowania serwisu”. Oto fragmenty tego oświadczenia: „Zgadzam się, że konsultanci i lekarze Women Help Women nie gwarantują, że lek służący antykon-

cepcji i/lub aborcji medycznej zapewni oczekiwane rezultaty. Rozumiem, że lekarstwa mogą mieć skutki uboczne lub niepożądane działania i że użycie ich jest wyłącznie na moje ryzyko”.

Po kilkudziesięciu minutach, o godz. 9:23, niepełnoletnia „Kasia” dostaje od Women Help Women e-mail potwierdzający rejestrację „konsultacji”. Czytamy w nim: „Gdy tylko zostanie potwierdzona twoja darowizna, twoja prośba o aborcję medyczną zostanie rozważona i e-mailem dostaniesz instrukcję dotyczącą zażycia leków. Prosimy przesyłać nam potwierdzenie dokonania przekazu darowizny w załączeniu do maila (w przypadku przelewu bankowego skan lub wyraźne zdjęcie potwierdzenia), przyspieszy to nadanie twojej przesyłki”.

► Gdyby doszło do komplikacji

Wkrótce przychodzi kolejna wiadomość. „Droga Katarzyno [...]. Ponieważ jesteś nadal niepełnoletnia, musimy jednak zadać ci najpierw kilka bardzo ważnych pytań. Aborcja medyczna jest zabiegiem bardzo bezpiecznym i skutecznym, jeśli przeprowadza się go w pierwszych 9 tygodniach ciąży. Niemniej jednak może się zdarzyć, że dojdzie do komplikacji (takich jak np. bardzo silny krwotok) i kobieta potrzebować będzie szybkiej pomocy lekarskiej lub hospitalizacji. Dlatego ważne jest, abyś była przygotowana na taką okoliczność [...]. Jest konieczne, aby ktoś bliski i pełnoletni wspierał cię podczas zabiegu, tak aby mógł pomóc ci, gdyby doszło do komplikacji”.

Niestety – w tych przestrożach nie chodzi o troskę o zdrowie nastolatki, lecz o uniknięcie konsekwencji prawnych dla organizatora nielegalnego proceduru, czyli Women Help Women i Aborcyjnego Dream Teamu. W dalszej części e-maila przedstawicielka fundacji pisze: „Pamiętaj, że w razie konieczności zwrócenia się o pomoc do lekarza lub do szpitala nie jest konieczne informowanie lekarzy o przeprowadzeniu zabiegu, możesz zawsze powiedzieć, że podejrzewasz poronienie, objawy są dokładnie takie same. Niemniej jednak musisz pamiętać, że w wypadku hospitalizacji lekarz bardzo prawdopodobnie wezwie twoich rodziców. Ważne jest więc, aby oni również wiedzieli, co robić i co mówić w takiej sytuacji. Musisz bowiem wiedzieć, że kobiety dokonujące aborcji nie podlegają żadnej odpowiedzialności prawnej, karze natomiast podlegają osoby, które im w tym pomagają”.

Wiadomość kończy się następująco: „Prosimy, rozważ raz jeszcze bardzo dokładnie swoją sytuację i zastanów się, kto mógłby ci pomóc w czasie zabie-

gu. Jeśli byłoby to możliwe, chcielibyśmy mieć kontakt również z tą osobą”. 17-letnia „Kasia” odpowiada, że o wszystkim wiedzą pełnoletni brat i pełnoletnia siostra cioteczna, u której odbędzie się zabieg. Aborcjonistom z fundacji Women Help Women to tłumaczenie całkowicie wystarcza. Ostatecznie – wbrew temu, co pisali wcześniej – nie chcą nawet kontaktu do żadnej z tych wymyślonych osób.

► Wszystko załatwione

Tego samego dnia o godzinie 15:41 – czyli sześć godzin po nawiązaniu pierwszego kontaktu – wszystko jest załatwione.

„Droga Katarzyno, Jeśli mogłabyś przeprowadzić zabieg przy wsparciu swojej ciotki, to mogłoby być dobrym rozwiązaniem. Przekazujesz darowiznę do niezależnej fundacji o nazwie Women’s Wallet, która wspiera działalność wielu międzynarodowych organizacji i ruchów feministycznych skupionych na szeroko rozumianych prawach kobiet” – czytamy w ostatnim e-mailu. Przedstawicielka fundacji podaje następnie szczegóły dotyczące przeprowadzenia transakcji, w tym numer konta i adres fundacji o nazwie Women’s Wallet. Wiadomość kończy się słowami: „Kiedy transakcja bankowa zostanie zaksięgowana, prosimy o przesłanie w załączniku do maila skanu lub zdjęcia potwierdzenia zrealizowanego przelewu”. To jedyny skan, jakiego w całej konwersacji fundacja wymaga od nastoletniej dziewczyny przed wysłaniem tabletek.

Po trzech dniach od tej wiadomości przychodzi przypomnienie: „Co u Ciebie? Kilka dni temu otrzymaliśmy od Ciebie prośbę o pomoc [...]. Gdy tylko zostanie potwierdzona Twoja darowizna, Twoja prośba o pomoc zostanie rozważona i e-mailem dostaniesz instrukcję dotyczącą zażycia lekarstw. [...] Darowiznę można przekazać na dwa sposoby [...]” etc.

Co stałoby się, gdybyśmy wpłacili „darowiznę” w kwocie minimum 75 euro? Na podany przez nas adres przysłała przesyłka zawierająca tabletki poronne: mifepriston oraz misoprostol (nazywana przez Aborcysty Dream Team M&M-sami, w nawiązaniu do popularnych drazetek). „Lekarstwa są wysokiej jakości i zostały wyprodukowane przez renomowane firmy farmaceutyczne” – zapewnia fundacja Women Help Women, ale żadnej dokładnej informacji, z jakiego źródła pochodzą leki i w jaki sposób zostały pozyskane, nie podaje. A więc niepełnoletnia dziewczynka może w ciągu kilku godzin zamówić taki zestaw, by zaaplikować go sobie bez żadnego nadzoru medycznego. I na własne ryzyko, do czego musi się zobowiązać.

W razie „komplikacji” w szpitalu ma zaś kłamać, że do wszystkiego doszło w sposób naturalny.

► Tropem pieniędzy

Jak ustaliliśmy, jednym z donatorów Aborcysty Dream Teamu (ADT), który funkcjonuje jako pośrednik i medialna „twarz” całego powyższego procederu, jest Fundusz Feministyczny FemFund. Wspiera on zresztą nie tylko inicjatywy proaborcyjne, lecz także środowiska LGBT oraz organizacje zrzeszające prostytutki, które nazywa dumnie „pracownicami seksualnymi” (oto opis jednej z dotowanych organizacji: „członkinie grupy chcą wspierać i wzmacniać inne osoby zajmujące się pracą seksualną oraz te, które mogą być zainteresowane taką pracą w przyszłości”). Kto finansuje FemFund, czyli grantodawcę ADT?

Fundusz wspierają m.in. Global Fund Community Foundations (sponsorowany z kolei przez George’a Sorosa), polska Fundacja Batorego (założona i sponsorowana przez Sorosa), Open Society Foundations (należąca do Sorosa), holenderska proaborcyjna fundacja Mama Cash (którą subsydiują m.in. fundacja Billa i Melindy Gatesów, jedna ze szwedzkich agencji rządowych i holenderski MSZ) oraz niemiecka fundacja Filia.

Fundacja Women’s Wallet (WW), która otrzymuje darowizny od kobiet i dziewczynek chcących w Polsce za pośrednictwem ADT dokonać aborcji, zarejestrowana jest w Amsterdamie. Jak sprawdziło „Nowe Państwo”, w raportach finansowych WW tylko w 2018 roku dochody tego podmiotu wyniosły niemal 800 tys. euro, czyli około 3,5 mln zł. Z tej kwoty 538 tys. euro przeznaczone zostało na „wydatki związane z projektami grantowymi”, a 137 tys. euro na koszty operacyjne (wydatki na personel, konsultantów, wolontariuszy itd.).

Women’s Wallet od sierpnia 2014 roku ma podpisaną umowę z Women Help Women. Jak już wspominaliśmy – dyrektorem wykonawczym tej ostatniej jest Kinga Jelińska, reprezentująca również ADT. W oficjalnych dokumentach WW czytamy: „Women’s Wallet uważa Women Help Women International za podmiot powiązany ze względu na bliską współpracę i relacje z tym podmiotem. Transakcje i/lub usługi są realizowane na warunkach rynkowych”. Szczegóły i skala tych transakcji pozostają tajemnicą.

Nie ma jednak wątpliwości, że to te dwa podmioty odpowiedzialne są za prowadzenie bezprawnego procederu dostarczania aborcyjnych zestawów do Polski. Do tego dla osób niepełnoletnich i za pieniądze, zwane eufemistycznie „darowiznami”. ■



ZŁO ABORCJI WESZŁO NA NOWY POZIOM

Bycie przeciwnikiem aborcji nie potrzebuje wiary. Wystarczy nie zagłuszać danych naukowych i być przeciwko możliwości zabicia niewinnego człowieka. Oczywiście wiara dostarcza dodatkowych argumentów, ale to, że poczęte dziecko jest istotą ludzką, a nie jakimś niezdefiniowanym zlepkim komórek, to nie kwestia wiary, lecz danych empirycznych. Dawniej aborcji dokonywano, ale raczej nikt się tym nie chełpił. Mówiono, że nie jest to rzecz dobra, ale w pewnych sytuacjach nie ma innego, lepszego wyjścia. Teraz zło aborcji weszło na nowy poziom. Puszy się, chwali, reklamuje. Kobieta mówiąca o dokonaniu aborcji, bo mieszkanie za małe, zostaje nazwana kobietą odważną, staje się bohaterką. Jaki jest cel? Być może patrząc na tego rodzaju zachowania od strony jednostki, można mówić o swego rodzaju terapii polegającej na całkowitym wyparciu jakiegokolwiek poczucia winy i wmówieniu sobie, że to, co się zrobiło, było dobre – z księdzem profesorem **DARIUSZEM KOWALCZYKIEM**, jezuitą, wykładowcą Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, rozmawia **KATARZYNA GÓJSKA**.

► W debacie publicznej przedstawia się prawo do aborcji jako jedno z praw człowieka. Po wolności słowa, prawie do głosowania, równouprawnieniu. Jest ono prezentowane jako naturalna konsekwencja rozwoju cywilizacyjnego. Co Książd myśli o tym zjawisku i jakie będą jego konsekwencje?

Niestety, kwestia praw człowieka została zideologizowana, stając się częścią neomarksistowskiej rewolucji, która – tak jak marksistowsko-leninowska rewolucja, tylko inaczej – chce stworzyć nowego człowieka i nowy świat. A zaczyna – jakżeby inaczej – od niszczenia realnego świata, stworzonego przez Boga. Éric Zemmour mówi o prawocześnikizmie. Brzmi fatalnie, ale tym lepiej ukazuje, że mamy do czynienia z czymś potwórkowatym. Zupełnie nie wiadomo, skąd biorą się coraz to nowe prawa człowieka, prawa zwierząt itp. Dawniej prawa wyprawiano z wiary w Boga Stwórcę i Zbawiciela albo z jakiejś koncepcji ludzkiej natury. Ale współcześni ideolodzy praw człowieka odrzucają zarówno Boga, jak i naturę ludzką. Co zatem robią? Wygląda na to, że tak sobie po prostu wymyślają kolejne prawa człowieka. I jest kwestią siły propagandy medialnej oraz zideologizowanych lewicowo sądów, czy owe wymyślone prawa uda się wprowadzić w system prawny. Raz wprowadzone stają się narzędziem przemocy wobec inaczej myślących. Dlatego w wielu krajach nie można publicznie powiedzieć, że aborcja jest zła. Podadzą cię do sądu za mowę nienawiści, obrażę uczuć innych ludzi, sprzeciwianie się prawu państwowemu itp. James Watson, laureat Nagrody Nobla i odkrywca struktury DNA, stwierdził: „Kto przyznał prawa psu? Słowo »prawo« staje się bardzo niebezpieczne. Mamy prawa kobiet, prawa dzieci – i tak bez końca. A później pojawiają się prawa salamander i prawa żab. Posuwamy się do absurdu”. Dzisiaj na takie komentarze nikt w zachodnim świecie sobie nie pozwala, bo miałyby poważne problemy, z wyrzuceniem z pracy zwłaszcza. Tyrania prawocześnikizmu zabija zdrowy rozsądek i wolność. Pozostaje nam milczeć albo przyłączyć się do poprawnego politycznie bełkotu, który w sprawie wspomnianej aborcji słychać ze strony różnych skrajnych feministek.

► Próba wprowadzenia prawnego zakazu aborcji w Polsce wywołała liczne protesty społeczne, można nawet założyć, iż na ich fali do parlamentu dostały się osoby wręcz agresywne wobec ochrony życia poczętego. Jak powinni działać ci, którzy chcą chronić dzieci

nienarodzone – wywierać presję na większość parlamentarną, by uchwaliła zakaz aborcji, czy skupić się na działaniach edukacyjnych?

Według sondażu przeprowadzonego ostatnio przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej” połowa Polaków opowiada się za utrzymaniem tzw. kompromisu aborcyjnego, prawie 30 proc. jest za różnego rodzaju liberalizacją aborcji, a tylko 15 proc. chciałoby zaostrezenia prawa w tym względzie. Do obecnego parlamentu weszły zarówno osoby popierające zdecydowanie liberalizację aborcji, jak i osoby domagające się jej całkowitego zakazu. Ubolewam, że ci drudzy, czyli głównie konfederaci, skupiają się nie na pokazywaniu zła aborcji i na zwalczaniu argumentów zwolenników liberalizacji aborcji, lecz na waleniu w PiS. W internecie spotykam się z komentarzami, że partia rządząca „ma krew nienarodzonych na rękach”, że popadła w ekskomunikę (kompletny absurd), bo mogła, a nic nie zrobiła, by zlikwidować wyjątki dopuszczające aborcję. Gdybym był zwolennikiem aborcji i miał duże możliwości manipulowania społeczeństwem polskim, to bym tak właśnie działał. To znaczy z jednej strony wspierałbym tych, którzy krzyczą, że aborcja jest prawem człowieka, a z drugiej strony wspierałbym tych, którzy w najmocniejszych słowach obrażają zwolenników tzw. kompromisu aborcyjnego. Tymczasem w obecnej sytuacji trzeba nie agresji pt. „PiS – mordercy dzieci”, lecz rzeczowej, długofalowej edukacji, by zmniejszyć grupę zwolenników liberalizacji aborcji i by zwiększyć grupę tych, którzy byliby za taką zmianą prawa, by nie można było dokonywać aborcji na przykład z powodu stwierdzenia u nienarodzonego dziecka zespołu Downa. Poza tym pamiętajmy, że wybór „za lub przeciw” aborcji dokonuje się przede wszystkim w sumieniach i sercach kobiet. Polityka i prawo nigdy wszystkiego nie załatwią, tym bardziej że jest wiele możliwości, by zakaz aborcji omijać. Każda aborcja jest złem i potrzeba to integralnie pokazywać, ale w polityce często trzeba odwoływać się do kategorii prawa niedoskonałego. Kategoria ta zakłada m.in., że nie można grać na zasadzie „wszystko albo nic”, bo wtedy można przegrać to dobro, które już jest, nawet jeśli jest niedoskonałe. A kompromis aborcyjny takim niedoskonałym dobrem właśnie jest. Ów kompromis uważany jest przez „postępowy świat” za prawo bardzo restrykcyjne. Ów świat zgrzyta zębami, że coś takiego w XXI wieku jest możliwe. Jest bardzo prawdopodobne, że ma rację Jan Martini, który tak nakreślił, co mogłoby się stać po próbie zaostrezenia przepisów aborcyjnych: wielotysięczne „czarne marsze” w obronie praw człowieka i praw kobiet, oburzenie całego „postępowego świata”, in-

terwencja instytucji międzynarodowych typu Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Zastanawiam się, czy w takiej sytuacji wsparłby nas otwarcie Watykan. W każdym razie zakończyłoby się wycofaniem projektu, ale nie tylko. Cała awantura umocniłaby zwolenników liberalizacji aborcji, którzy ze zdwojoną siłą przystąpiliby do kontrnatarcia. A Unia mogłaby zacząć dofinansowywać kliniki aborcyjne w Niemczech, by „prześadowane” w Polsce kobiety mogły skorzystać z ich usług.

► Co by Ksiądz doradził tym wierzącym, którzy mają problem z zaakceptowaniem obowiązującego w Polsce prawa pozwalającego na aborcję eugeniczną? Z jednej strony czują, że w ich państwie pozwala się na zło, a z drugiej mogą mieć poczucie, iż zubożenie na ten problem będzie działało z biegiem czasu destrukcyjnie nie tylko na ich wiarę, lecz także na stosunek innych wobec zabijania nienarodzonych.

Pani pytanie dotyczy szerszego problemu, to znaczy relacji między Kościołem a państwem. W gruncie rzeczy chodzi o to, jak katolik ma się odnajdywać w przestrzeni publicznej, która w różnych aspektach nie jest urządzona zgodnie z wartościami katolickimi. System demokratyczny opiera się w jakiejś mierze na woli większości oraz na kompromisie między różnymi przekonaniami. Oczywiście, niektórzy słusznie zauważają, że są wartości, których nie można ustalać na zasadzie tego, czego chce większość. Do takich wartości należy życie ludzkie. To prawda, ale w praktyce problem pozostaje. Bo dla jednych nie należy dyskutować nad karą śmierci, gdyż ich zdaniem jest zawsze zła, a dla innych poza dyskusją jest to, że aborcja jako zabicie dziecka w łonie matki jest zła i powinna być całkowicie zabroniona. UE narzuciła wszystkim swoim członkom całkowite odstąpienie od kary śmierci, ale – niestety – propaguje aborcję jako prawo człowieka. Kościół w sprawie kary śmierci też ewoluował. Papież Franciszek stwierdził, że kara śmierci jest niedopuszczalna i nakazał poprawienie Katechizmu w tym punkcie. Nie brakuje katolików, którzy z takim naczyniem się nie zgadzają. Co do aborcji, Kościół niezmiennie naucza, że jest to zło, grzech ciężki. Tyle że co do prawa cywilnego regulującego kwestię aborcji, to już widzimy w Kościele różne nurty. Rozpowszechniony jest na przykład pogląd, że Kościół powinien formować sumienia, ale pozostać raczej umiarkowanym w kwestii walki o zmianę prawa. Nie zgadzam się z takim poglądem, jeśli oznacza on praktyczne wycofanie się Kościoła z dyskusji na temat prawa abor-

cyjnego. Rozumiem natomiast, że zbyt mocne zaangażowanie się Kościoła instytucjonalnego w stanowienie prawa w tej kwestii może przynieść odwrotne do zamierzonych skutki. W sytuacji spluralizowanego społeczeństwa każdy, z prawa i z lewa, może być niezadowolony, że państwo – jego zdaniem – pozwala w jakimś punkcie na zło, niesprawiedliwość, dyskryminację. Co ma robić katolik, który chce bronić każdego życia nienarodzonego? Na pewno nie powinien ograniczać się do biadolenia: PiS ma większość w parlamencie, to niech załatwi sprawę, a jak nie załatwi, to ma krew na rękach. Trzeba w miarę swoich możliwości apostołować za życiem tam, gdzie jesteśmy, poczynając od naszych rodzin. Wychowanie przyszłych pokoleń wrażliwych na życie nienarodzonych jest tutaj kluczowe. Trzeba się organizować, wspierać modlitewnie, finansowo, bezpośrednim zaangażowaniem wszelkie ruchy pro-life. Trzeba uczyć się argumentacji za życiem, która ma szansę trafić nie tylko do przekonanych. Wreszcie trzeba pamię-

Idee i działalność ruchów LGBT wyczerpują wszelkie znamiona ideologii. Groźnej ideologii, która idzie jak walec, chce zmieniać nie tylko prawo i edukację, lecz także znaczenie podstawowych pojęć, jak płeć, małżeństwo, rodzina. W perspektywie kościelnej uważam, że LGBT to najbardziej groźna herezja, która – niestety – przeniknęła już do środka wspólnoty wierzących. I nie chodzi tylko o takie czy inne grzechy homoseksualne, lecz właśnie o sposób ideologicznego złego myślenia.

tać, że sam zakaz aborcji to nie wszystko. Najpierw warto domagać się od rządzących, w tym od samorządów, realnych programów pomocy samotnym matkom, rodzicom, których dzieci wymagają z racji choroby szczególnej opieki itd. Cieszymy się, że stosunkowo wiele osób obejrzało film „Nieplanowane”. Ale żaden film ani prezes rządzącej partii nie zastąpią nas w tym, co należy do nas.

► Jak to jest, że ludzie, którzy walczą o prawa zwierząt, o zachowanie gatunków – rozmawiamy przed Wigilią, zatem mogą podać polski przykład walki o dobrostan karpia – nie mają takiego serca ani empatii wobec dzieci nienarodzonych? Te same środowiska, które z takim zaangażowaniem bronią praw zwierząt, z równą energią domagają się nieskrępowanego prawa do zabicia człowieka w łonie matki.

No cóż! Poglądy, które możemy nazwać lewackimi, są w dużej mierze nielogiczne. Przypominam sobie tekst Joanny Erbel opublikowany kilkanaście lat temu w „Krytyce Politycznej” pt. „Po której stronie jest płód”. Feministka i socjolożka zaraz na początku dzieli się z nami swoją rozterką: „Trudno jednoznacznie powiedzieć, czym jest płód, ale trudno też o nim nie mówić”. Odwołuje się do Kazimierzy Szczuki, która stwierdziła, że status płodu „w jakimś sensie jest tajemniczy i ta tajemniczość, jako niezapisane pole znaczeń, zostawia miejsce dla wszelkich projekcji, zmyśleń, przeczuć, wyobrażeń i niepokojów”. Zdaniem Erbel ludzie, którzy myślą o poczętym życiu w kategoriach „istota ludzka – dziecko”, ulegają jakimś antyaborcyjnym strategiom. Feministka ubolewa: „Bardzo często płód staje się żywą istotą, dzieckiem swoich rodziców podczas badania USG”. Dla mnie to bełkot, który stroi się w piórka intelektualnej głębi. Jakie są jego korzenie? Po pierwsze, niechciana ciąża bywa problemem, a zabicie poczętego dziecka wydaje się rozwiązaniem tego problemu. Ale żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, trzeba dorobić do tego jakieś niby szlachetne uzasadnienie. Erudycja pomaga w dorabianiu ideologii. Po drugie, ideologie neomarksistowskie, których częścią jest aborcjonizm i ekologizm z prawami zwierząt, nie chcą poznawać rzeczywistości, ale chcą rzeczywistość burzyć, by zbudować coś nowego. Jeden z twórców neomarksizmu, Max Horkheimer, w swej książce „Krytyka instrumentalnego rozumu” wskazuje wręcz na szkodliwość uwzględniania w praktycznym działaniu wiedzy o faktach i stosowania przyczynowo-skutkowej logiki. Rewolucja nie znosi bowiem prawdy w jej klasycznym sensie, czyli sądów zgodnych z rzeczywistością. Fakt, że poczęta istota ludzka jest właśnie istotą ludzką, a nie „projekcją” lub „zmyśleniem”, nie powinien być więc brany pod uwagę. I nie jest! Ta nielogiczność może nas irytować, ale to jest jak u Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi!?”. Po trzecie, aborcjonizm, przy jednoczesnym histerycznym postulowaniu wegetarianizmu, bo świnki i krówki cierpią, można i trzeba rozpatrywać jako działanie szatana w świecie. W gruncie rzeczy mamy do czynienia z prądną pokusą opisaną na pierwszych stronach Księgi Rodzaju: „Bóg jest zazdrosny. Zjedzcie zakazany owoc, a będziecie znali dobro i zło, będziecie jak Bóg. Urządźcie ten świat lepiej niż Bóg!”. Nieskrępowana aborcja miałaby być elementem tego lepszego świata bez Boga.

► **Dzisiejsi ludzie często nie wierzą w istnienie Boga i chyba jeszcze silniej negują istnienie**

szatana. Ten, kto publicznie będzie przestrzegał przed diabłem, będzie wyśmiany lub uznany za wariata. Z kolei ten, kto będzie okazywał fascynację satanizmem, może być postrzegany jako nowoczesny oryginał.

Wciąż zdecydowana większość ludzi na świecie, nawet w złaicyzowanej Europie, wierzy w Boga. Inna sprawa, w jakiego Boga, jaki mają obraz Boga. Ciekawe, że również niewierzący mają jakiś obraz Boga, w którego nie wierzą. Często tak wykrzywiony, że trzeba by przyklasnąć ich niewierze i powiedzieć: „Tak! Masz rację! Bóg nie istnieje. To znaczy nie istnieje Bóg, którego masz w głowie”. Katolik to ktoś, kto wierzy nie w jakiegokolwiek Boga, Siłę wyższą, lecz w Boga objawionego przez Jezusa Chrystusa i przepowiadanego przez Kościół. A szczytem objawienia nie były jakieś Boskie fajerwerki, lecz męka, śmierć i zmartwychwstanie Boga wcielonego. Jezus wspominał wielokrotnie o diable. Nie koncentrował się na nim, lecz na swym Ojcu, niemniej w przepowiadaniu Mistrza z Nazaretu i w całej Biblii zły duch jest obecny. Nie jest metaforą zła w świecie. Jest osobą, bytem duchowym, który nieodwołalnie powiedział swemu Stwórcy „nie”. Z postacią szatana mamy pewien paradoks. Z jednej strony wiara w istnienie szatana jest wyśmiewana jako średniowieczny zabobon, z drugiej strony zaś mamy do czynienia z jakąś fascynacją złem. Ta fascynacja niejednokrotnie jest czymś dużo poważniejszym niż to, co ks. Boniecki, broniąc naiwnie Nergala, nazwał „jaselkowym satanizmem”. Kościół raz po raz przypomina, że Zły istnieje i chce nam zaszkodzić. Jednocześnie Kościół unika jakiegś egzaltacji złem i złymi duchami. Ważniejsze jest głoszenie Chrystusa, który już „zwyciężył świat” – jak to czytamy w ewangelii Jana. Świat oznacza tutaj wszystko to, co sprzeciwia się Bogu, a zatem także diabłu. Nie znaczy to jednak, że historia się skończyła. Warto czasem sięgnąć do 13. rozdziału Apokalipsy. Mowa w nim o Smoku (szatanie), Bestii Pierwszej (ziemskiej władzy) i Bestii Drugiej (Fałszywym Proroku). Czytamy, że Bestii Pierwszej „dano wszcząć walkę ze świętymi i zwyciężyć ich” (Ap 13,7), a potem że „nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii” (Ap 13,17). Smok. Bestia Pierwsza i Bestia Druga to Trójca diaboliczna, próbująca zdetronizować Boga w Trójcy jedynego. Dzieje się to w jakiejś mierze w każdym pokoleniu. Wiek XX był erupcją trójcy diabolicznej, ale być może pełna realizacja tej apokaliptycznej wizji jest dopiero przed nami. Dokona się ona w białych rękawiczkach, w imię

m.in. praw człowieka. W każdym razie ostatnie słowo należy do Baranka.

► **Dziś miarą wrażliwości człowieka chce się uczynić jego stosunek do zwierząt i zmian klimatycznych. Jaki jest, Księdza zdaniem, cel takiego działania?**

Genialna Księga Rodzaju, w której znajdujemy klucze do rzeczywistości, ukazuje nam dobitnie kilka fundamentalnych prawd. Po pierwsze, „stworzył Bóg człowieka na swój obraz, [...] stworzył mężczyznę i niewiastę” (Rdz 1,27). Mężczyzna i niewiasta są zatem równi w godności przed Bogiem. Po drugie, Bóg Stwórca dał człowiekowi zadanie, by czynił sobie ziemię z jej stworzeniami poddaną. Człowiek nie ma władzy absolutnej, gdyż nie jest stwórcą, właścicielem, lecz włodarzem, zarządcą odpowiedzialnym przed właścicielem, przed Bogiem. Po trzecie, Bóg „ulepił człowieka z prochu ziemi” (Rdz 2,7), a jednocześnie dał mu swoje tchnienie, tchnienie życia. A zatem człowiek, mężczyzna i kobieta, jest związany z ziemią, z naturą, ale – mając Boskie tchnienie – jest powołany do życia nadprzyrodzonego, do życia wiecznego. Z tego wszystkiego wynika, że człowiek jest kimś szczególnym w świecie stworzeń, bo stworzonym na obraz Boży i powołanym do wiecznej wspólnoty z Bogiem. Tej biblijnej wizji od dziesięcioleci sprzeciwiają się różne, mniej lub bardziej skrajne ideologie, które twierdzą, że nie ma powodów, by mówić o różnicy jakościowej pomiędzy człowiekiem a zwierzętami. Co więcej, chory, będący ciężarem dla siebie i innych człowiek, może być mniej wart niż piękne, sympatyczne zwierzę. Pół roku temu na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie mieliśmy wystawę zdjęć pokazującą różne postawy ateistyczne. Na jednej z fotografii była pani, która głosi nie tylko anty-teizm, lecz także anty-humanizm, czyli pogląd, że we wszechświecie liczy się natura, a człowiek jest przypadkowym wypryskiem tej natury, który w dodatku okazał się szkodnikiem. Dlatego też gdyby ludzkość przestała istnieć, to wszechświat tylko by na tym zyskał. Analogicznie jest ze skrajnym klimatyzmem, czyli antyludzką religią globalnego ocieplenia. Głównym oskarżonym stał się człowiek, który je i wydala, szkodząc ponoć klimatowi. Stąd propagowanie aborcji, eutanazji, bezdzietności. Pojawiają się nawet na serio wypowiedziane propozycje, że trzeba się nauczyć utylizować ludzkie ciało, na przykład jako pokarm i opał. Jak czytamy niektórych ideologów animalizmu i klimatyzmu, to czuję siarkę i słyszę chichot trójcy diabolicznej. Oczywiście trzeba tutaj wspomnieć, że na klimatyzmie niektóre wielkie

korporacje chcą zarabiać. Bo na ideologiach można zbić fortunę. Tym bardziej szkoda ludzi, normalnie, w granicach zdrowego rozsądku, zatroskanych o los zwierząt, skutki zmian klimatycznych czy też zanieczyszczenia, którzy coraz bardziej stają się łupem ideologii. No cóż! Przypomnijmy sobie, że wielu porządnym ludzi padło łupem ideologii komunistycznej, bo szczerze przejęli się losem ubogich robotników i chłopów.

► **Aborcyjny dream team – taki portal lansowała „Gazeta Wyborcza”. Działające w nim kobiety same o sobie piszą, że są zafascynowane metodami zabijania nienarodzonych dzieci, badaczkami samoobsługi aborcyjnej. Kilka miesięcy temu to samo środowisko nagrodziło piosenkarkę, która wyznała, że dokonała aborcji, bo ma za małe mieszkanie na kolejne dziecko. Czy celem propagowania takich treści jest tylko oswajanie ludzi z najbardziej radykalnymi aborcyjnymi przekazami, czy też przede wszystkim niszczenie ich wiary?**

Bycie przeciwnikiem aborcji nie potrzebuje wiary. Wystarczy nie zagłuszać danych naukowych i być przeciwko możliwości zabicia niewinnego człowieka. Oczywiście wiara dostarcza dodatkowych argumentów, ale to, że poczęte dziecko jest istotą ludzką, a nie jakimś niezdefiniowanym zlepkim komórek, to nie kwestia wiary, lecz danych empirycznych. Popatrzmy na wskazany przez panią problem od innej strony. Dawniej aborcji dokonywano, ale raczej nikt się tym nie cheplił. Mówiono, że nie jest to rzecz dobra, ale w pewnych sytuacjach nie ma innego, lepszego wyjścia. Teraz zło aborcji weszło na nowy poziom. Puszy się, chwali, reklamuje. Kobieta mówiąca o dokonaniu aborcji, bo mieszkanie za małe, zostaje nazwana kobietą odważną, staje się bohaterką. Jaki jest cel? Być może patrząc na tego rodzaju zachowania od strony jednostki, można mówić o swego rodzaju terapii polegającej na całkowitym wyparciu jakiegokolwiek poczucia winy i wmówieniu sobie, że to, co się zrobiło, było dobre. To mechanizm znany na przykład w przypadku pedofilii. Co prawda pedofile nie mówią jeszcze głośno o swej dumie pedofilskiej, ale wiemy, że były i są podejmowane próby rozróżnienia złej i dobrej pedofilii, rozwijane są dyskursy o prawie dzieci do poznawania i realizowania ich seksualności. Tak! Duma z popełnianego zła to wyższy stopień diabelskiego kuszenia. Wiąże się to z wejściem w zatwardziałość, z której naprawdę trudno wyjść. W tym chwaleńcu się złem chodzi też o fundamentalne

przewartościowania w życiu społecznym i zakneblowanie ust tym, którzy stoją po stronie dobra. Sprawy mają się mieć tak. Prawo państwowe dopuszcza aborcję. Z tego prawa korzystają kobiety, które mówią, że dzięki aborcji poczuły się wolne, spokojne, szczęśliwe. A tu raptem pojawia się w przestrzeni publicznej ktoś, kto mówi o złu aborcji. Co wtedy? Trzeba pokazać, że to on jest głupi i zły, że nienawidzi kobiet. Co więcej, łamie prawo, bo źle mówi o tych, którzy z prawa korzystają. Bo używa mowy nienawiści. Tak jest na Zachodzie, w Kanadzie, we Francji. W Polsce jest jeszcze inaczej. I to tak bardzo denerwuje lewackich macherów światowej rewolucji.

► Dlaczego środowiska homoseksualne tak aktywnie wspierają ruchy proaborcyjne? Przecież ten temat ich nie dotyczy.

Bo za homoseksualnymi aktywistami stoją te same potężne siły, które stoją za propagowaniem aborcji. Ta sama złość na rzeczywistość i chrześcijańskie dziedzictwo oraz rewolucyjna chęć stworzenia nowej rzeczywistości. Ponadto pracodawcy wielkich koncernów lubią zatrudniać osoby homoseksualne oraz heteroseksualne single, w tym kobiety, które są gotowe dokonać aborcji. Tacy ludzie nie stwarzają problemów, mówiąc, że dziecko chore itp. Nie zapominajmy jednak, że są osoby homoseksualne, które wcale nie podzielają ideologii LGBT, a widok dumnego z siebie pana w stringach i z piórem w pupie żenuje ich tak samo jak mnie.

► Ludzie przedstawiający się jako reprezentanci środowisk LGBT, a także wspierający ich lewicowi politycy i publicyści, z wielkim zaangażowaniem zaprzeczają istnieniu ideologii LGBT. Dlaczego?

Bo chcą kazać wierzyć ludziom, że za LGBT nie stoją żadni ideolodzy, rewolucjoniści, że nie ma wielkiej kasy, układów, manipulacji, walki o władzę, ale że są tylko prześladowani, pozbawieni swych praw ludzie, którym trzeba pomóc. To oczywiście ściema, ale w przypadku co słabszych umysłów funkcjonuje. Tymczasem Biedroń ze swoim partnerem nie są żadnymi prześladowanymi biedakami, lecz osobami, które ze swej homoseksualnej opcji czynią sprawę polityczną. Idee i działalność ruchów LGBT wyczerpują wszelkie znamiona ideologii. Groźnej ideologii, która idzie jak walec, chce zmieniać nie tylko prawo i edukację, lecz także znaczenie podstawowych pojęć, jak płęć, małżeństwo, rodzina. W perspektywie kościelnej uważam, że LGBT to najbardziej groźna herezja, która

– niestety – przeniknęła już do środka wspólnoty wierzących. I nie chodzi tylko o takie czy inne grzechy homoseksualne, lecz właśnie o sposób ideologicznego złego myślenia. Od grzechów homoseksualnych groźniejsze jest homoseksualne skorumpowanie.

► Jak w tym zalewie szaleństwa i niebezpiecznych pomysłów społecznych pozostać sobą? Tak często słyszymy, że to tylko kwestia czasu, jak zgodzimy się na legalizację związków homoseksualnych, aborcji czy poszerzenie praw zwierząt, bo taki postulat coraz wyraźniej jest artykułowany.

Nie tak dawno mówiono, że jest tylko kwestia czasu, kiedy ustrój sprawiedliwości społecznej, zbudowany na ideach Marksa, Engelsa i Lenina, opanieje cały świat, a Związek Radziecki miał trwać wiecznie. Przyznaję, że obecne neomarksistowskie ideologie są bardziej podstępne, a tym samym bardziej niebezpieczne niż stara komuna. Poza tym wzrosły znacząco możliwości medialnego „prania mózgów” oraz takiego domykania w białych rękawiczkach systemu ekonomicznego, aby niewiele było w nim miejsca na wolność nie tylko jednostek, lecz także narodów. Jak w tym szaleństwie pozostać sobą? Różnie można by na to pytanie odpowiedzieć. Ale dla mnie ostatecznie liczy się odpowiedź wynikająca z wiary w Jezusa, narodzonego 2 tys. temu w Betlejem, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka. Przypominajmy sobie słowa Chrystusa: „Na świecie doznacie ucisku, ale miejcie odwagę: Jam zwyciężył świat” (J 16,33); „Zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą” (Mt 16,18); „Jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20). Szaleństwo neomarksistowskiej rewolucji będzie się wzmagać. Czy wygra? Trzeba walczyć, aby tak się nie stało. Ale nawet jeśli wygra, to nie będzie to zwycięstwo ostateczne, lecz czasowe. Bo ostateczne zwycięstwo należy już do Chrystusa. Czas są pełne załamania i przewrotności. I nie brakuje leninowskich „poleznych idiot”, czyli ludzi mających dobre intencje, lecz podatnych na manipulacje społecznych macherów. Nawet w Kościele nie jest już całkiem bezpiecznie. Ale obietnice Jezusa są prawdziwe i na pewno się spełnią. Miałbym zatem radę: chcesz być sobą wśród przeciwności, to zaufaj Bogu narodzonemu w Betlejem. I odnawiaj tę ufność codziennie w postawie oranta: Jezu, ufam Tobie. ■

Ksiądz Dariusz Kowalczyk – jezuita, profesor teologii na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. W latach 2013–2019 dziekan Wydziału Teologii tej uczelni. W latach 2003–2009 przełożony prowincji warszawskiej jezuitów.



Ryszard Czarnecki

O dzieciakach, pożytkach z prawa i księdzu Stasiu

Określenie „przerwanie ciąży” jest wygodne, bo wszyscy wiedzą, o co chodzi. A jednocześnie jakże eufemistyczne: kryje się za tym bowiem zabicie człowieka.

Moja Mama nazywała go po prostu „Staś”. Był synem jej przyjaciółki. Ale rodziny znały się długo: mój dziadek – Ryszard Bieliński – i dziadek Stanisława chodzili w Tatry jeszcze przed I wojną światową. Nasze mamy wychowywały nas same i to budowało między nimi dodatkowe poczucie wspólnoty losu. Staś, zaskakując chyba niektórych, „poszedł na księdza”. Starszy ode mnie miał na mnie spory wpływ: rozmowy o komunizmie, Sowietach, prześladowaniu wierzących w ZSRS. Ale nie tylko. Ksiądz Stanisław Małkowski – bo o nim mowa, powiedzmy to wreszcie – założył ruch Gaudium Vitae. Owa „Radość Życia” była prekursorem organizacji pro life w Polsce. Prekursorzy rozbijali mur obojętności i niewiedzy. Pierwsze materiały antyaborcyjne dostałem właśnie od księdza Stanisława. Kolportaż ich napotykał czasem niespodziewane bariery. Gdy wiosną 1981 roku rozwinęłam ulotki z charakterystycznym embrionem w łonie matki w siedzibie Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Mazowsze, wisiały tam raptem kilka minut. Zerwano je czujnie – lewica laicka nie była wymysłem „katoli”, miała duże wpływy, szczególnie w Warszawie. Teraz, zresztą od wielu lat, jest oczywiste, że „Solidarność” jest po jasnej stronie mocy w kwestii ochrony ludzkiego życia. Wówczas dla nas „prolajferów” (nie mieliśmy pojęcia, iż nimi jesteśmy – termin ten pojawił się dużo później), „nasz” związek zawodowy był obszarem działalności misyjnej, jak wiele innych sfer życia publicznego.

Jako jeden z młodszych posłów na Sejm RP głosowałem za ustawą antyaborcyjną w 1992 roku z pełną świadomością jej niedoskonałości. Wiedzieliśmy wtedy jednak, że „wysadzenie” w powietrze tej legislacji – paradoksalnie rękami największych zwolenników zabijania dzieci wspólnie z największymi, fundamentalnymi jego przeciwnikami – może zamrozić na lata całe ówczesnie obowiązujące, skrajnie proaborcyjne ustawodawstwo. Zresztą z Kościoła instytucjonalnego (nie mówię, że było to stanowisko wszystkich księży) nadchodziły wyraźne sygnały, żeby przegłosować to, co „jest na stole”, bo będzie to realny instrument ochrony życia. Tak uczyniliśmy. Ówczesna, na pew-

no niedoskonała regulacja trwa już blisko trzy dekady i jest solą w oku entuzjastów „pro choise”, wyznawców braku miłosierdzia dla tych, którzy sami bronić się nie mogą.

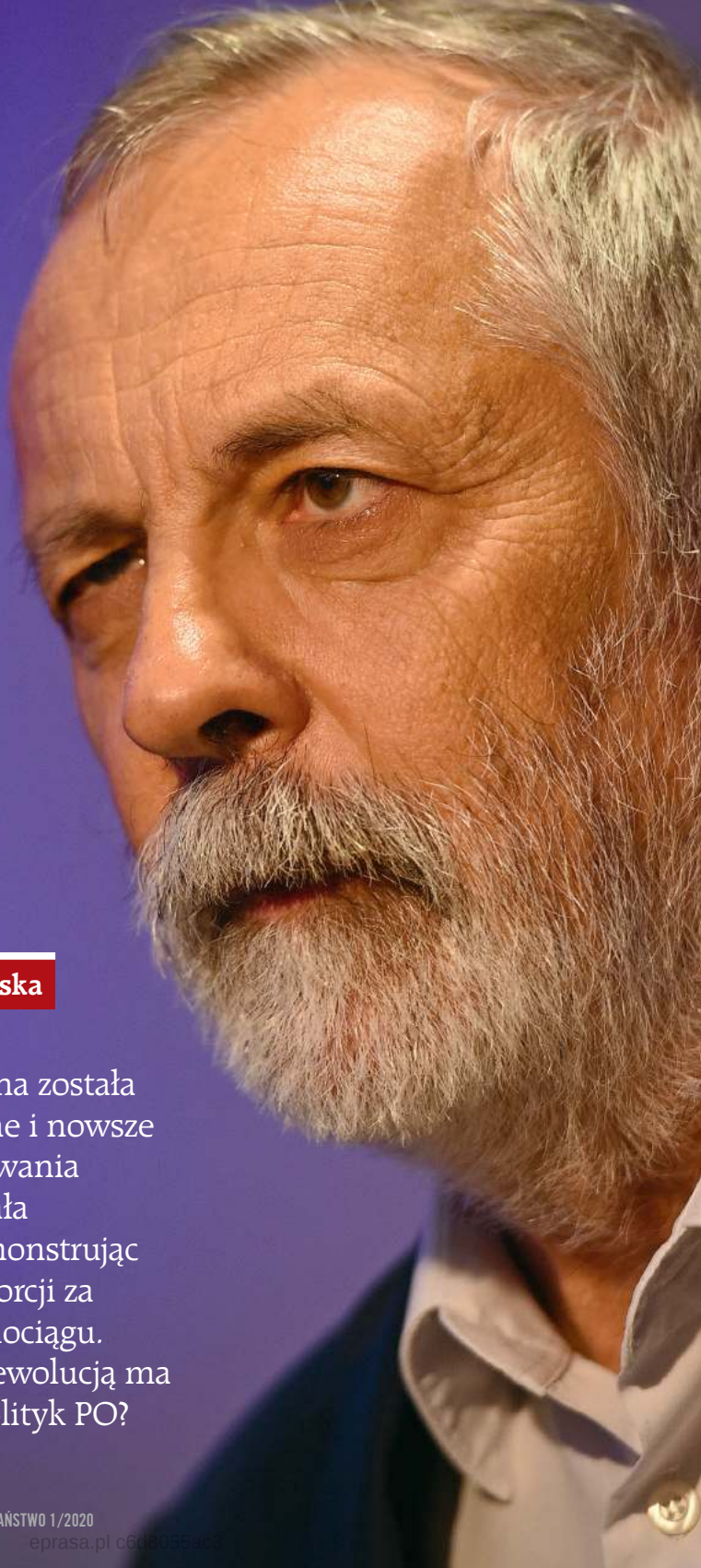
Ciekawe są wnioski wypływające z badań opinii publicznej na temat ochrony życia. Gdy Sejm I kadencji podejmował wspomnianą już regulację „za życiem”, szereg sondażowni sygnalizowało, że niewielka większość Polaków jest przeciw temu projektowi ustawy. Oczywiście być może tego typu „badania” miały też odpowiednio wpływać na społeczeństwo i samych posłów, aby jednak nie zmieniali ustawodawstwa w tym obszarze – ustawodawstwa skądinąd rodem z głębokiego PRL. Ale potem okazało się, że w narodzie rzekomo skłonny do anarchii prawnej właśnie to prawo nie tylko jest szanowane, lecz przede wszystkim ma decydujący wpływ na społeczną świadomość: ustawa „za życiem” funkcjonująca ponad ćwierć wieku znacząco przyczyniła się do zmiany nastawienia społecznego w kierunku troski o życie poczęte. Są wyjątki, gdy Polacy są skłonni pozwolić na zdjęcie „parasola ochronnego” nad ludzkim życiem. Uwaga: są to te same, które w owej ustawie dopuszczają tzw. przerwania ciąży. Zatem znów – identycznie jak poprzednio – i tu prawo kształtuje ludzką, polską świadomość.

Na koniec słowo o języku, o retoryce. Sam przed chwilą użyłem wyświechtanego określenia „przerwanie ciąży”. Wygodne, bo wszyscy wiedzą, o co chodzi. A jednocześnie jakże eufemistyczne: chodzi bowiem o zabicie człowieka. Język i walka o niego w kontekście ochrony życia jest fundamentem. „Liberalizacja ustawy”? Tak? „Liberalizacja” względem nienarodzonych dzieci? Wręcz przeciwnie. Owa rzekoma liberalizacja oznacza przecież w praktyce zaostrezenie (sic!) prawa pozbawiania życia tych bezbronnych istot. Nie dajmy sobie wmawiać „ich” pojęć, „ich” języka. Dlatego konsekwentnie używam słowa „dzieciaki”, zamiast „dzieci nienarodzone” (o „płodach” nie mówiąc). Tak: dzieciaki. To jeszcze bardziej powinno skłaniać do – także emocjonalnej, nie wstydzimy się tego – obrony istot ludzkich, które same bronić się nie są w stanie... ■

Rafał Grupiński – patron rewolucji gangów akuszerek

Krystyna Różańska-Gorgolewska

Część warsztatów poświęcona została aborcji, prezentowano dawne i nowsze narzędzia służące do przerywania ciąży. Prelegentka pokazywała współczesne narzędzia, demonstrując sposób przeprowadzania aborcji za pomocą plastikowego próżniociągu. Co wspólnego z aborcyjną rewolucją ma Rafał Grupiński, czołowy polityk PO?



Wkwietniu tego roku czołowy polityk PO Rafał Grupański, zapytany zniechęca na warszawskim marszu Koalicji Europejskiej, wygadał się, że w sprawie realizacji postulatu środowisk LGBT: „My będziemy na pewno w tej sprawie działać progresywnie. [...] dzisiaj nie eksponujemy tego za bardzo. [...] Może to Rafał robić w Warszawie, ale my nie możemy tego mówić w Pleszewie czy w Świebodzinie, tak? Bo nas przepędzą. Tu jest problem”. Tymczasem to, co miałyby być sferą marzeń i przyszłości dla prominentnego polityka, realizowane jest od dawna pod płaszczykiem kultury i sztuki w jego rodzinnym mieście, czyli Poznaniu, gdzie sztuka służy realizacji politycznych celów.

Rafał Grupański to bowiem nie tylko polityk, lecz także historyk kultury, krytyk literacki i wydawca, w latach 80. założyciel podziemnego czasopisma „Czas Kultury”. Grupański to też czołowy, wieloletni główny rozgrywający polityk wielkopolskiej PO. To on „stworzył” obecnego prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka, pieszczotliwie nazywanego w Poznaniu „Tęczowym Jackiem” ze względu na zamięlowanie do marszy równości i promowania środowisk LGBT – przy równoczesnym lekceważeniu obchodów powstania wielkopolskiego i święta Żołnierzy Wyklętych.

► **„Twórczość zaangażowana politycznie to niezbędny element społeczeństwa”**

Sam Jacek Jaśkowiak w polityce znany nie był, choć miał dookreśloną głębię, z której wyrósł. Swoją polityczną aktywność zaczął jako aparatczyk Związku Młodzieży Wiejskiej (ZMW), która swojego najważniejszego partnera widziała w Wszechzwiązkowym Leninowskim Komunistycznym Związku Młodzieży. Potem, pod koniec lat 80., Jaśkowiak, jak wielu z ZMW, trafił do biznesu – rozpoczął pracę w firmie Jana Kulczyka, znanego z prowadzenia interesów na styku polityki i biznesu. Ostatecznie trafił do „prawdziwej polityki”. W książce Rafała Grupańskiego „Polityka i kultura” (premiera 12 września ubiegłego roku) możemy przeczytać: „Po przegranej Komorowskiego należało dokonać zmian w rządzie. Łącznie z panią premier. [...] Powiedziałem, że jestem gotów stanąć na czele sztabu wyborczego i zrobić wszystko, żebyśmy jesienią wygrali wybory parlamentarne. [...] miałem dobrą ekipę, która wcześniej między innymi zapewniła w Poznaniu zwycięstwo Jackowi Jaśkowiakowi, naszemu kandydatowi wywodzącemu się z ruchów miejskich. W poprzednich wyborach uzyskał zaledwie kilka procent, a gdy my z nim pracowaliśmy, pokonał

uznawanego za niezatapialnego, wręcz odwieczne go prezydenta Ryszarda Grobelnego”.

Wydaje się, że Jaśkowiak „był człowiekiem” Grupańskiego, który z kolei ma znaczący wpływ na kształt kultury w Poznaniu. W tym kontekście wręcz zadziwiająca determinacja Jacka Jaśkowiaka, żeby obsadzić na stanowisku dyrektora miejskiej galerii swojego kandydata w 2017 roku, już tak zadziwiająca nie jest. Przypomnijmy, że Jaśkowiak ogłosił konkurs na stanowisko dyrektora Galerii Miejskiej Arsenał. Komisja konkursowa, którą powołał (choć nie musiał), a w której składzie byli miejscy urzędnicy, radny miejski, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, związków zawodowych oraz stowarzyszeń artystycznych, większością głosów wybrali na to stanowisko dotychczasowego dyrektora, dr. Piotra Bernatowicza. Tymczasem prezydent mimo tego powołał prof. Marka Wasilewskiego. Ta jawna niesprawiedliwość i samowola władzy wywołały szeroką falę komentarzy w całej Polsce. Czy determinacja w uczynieniu dyrektorem prof. Marka Wasilewskiego wskazuje, że upatrywano w nim tego, który zrealizuje wizję kultury, o jakiej Jaśkowiak powiedział, że: „twórczość zaangażowana, także politycznie, to niezbędny element społeczeństwa obywatelskiego [...]”. Dziś nie można tego oderwać od polityki? A Marek Wasilewski „wykazał się” już wcześniej jako reżyser performance, który polegał na tym, że nagi mężczyzna wszedł w czasie mszy św. do kościoła.

Wasilewski nie wziął się jednak znikąd, był redaktorem naczelnym pisma „Czas Kultury”, którego założycielem i wieloletnim redaktorem naczelnym był Rafał Grupański. Kilka lat wcześniej, w 2013 roku, startował na dyrektora Miejskiej Galerii Arsenał. W rozmowie na łamach „Obiegu” powiedział: „Zaangażowanie polityczne w kulturze powinno iść znacznie głębiej, powinno być działalnością krytyczną w dobrze pojętym interesie ogółu. Jestem oczywiście kojarzony z przewodniczącym poznańskiej PO Rafałem Grupańskim. Tego skojarzenia się nie wypieram ani się go nie wstydę”.

► **„Chcę gangów akuserek, brokatowych aborcji, rozlanych łóżysk w każdym kącie”**

Jakie owoce dla kultury przyniosła owa wieloletnia znajomość Marka Wasilewskiego i Rafała Grupańskiego? Spójrzmy na dorobek Galerii Miejskiej Arsenał pod jego kierownictwem.

Pierwszą wystawą z planu wystawienniczego nowego dyrektora Marka Wasilewskiego w Arsenale jesienią 2017 roku była wystawa „Polki, Patriotki, Rebeliantki”. Jej kuratorka – dr hab. Uniwersytetu Arty-

stycznego w Poznaniu, dziekan Wydziału Edukacji Artystycznej i Kuratorstwa Izabela Kowalczyk – zaaranżowała w jej ramach miejsce, gdzie dla odwiedzających przeznaczony był szereg materiałów promocyjnych organizacji zajmujących się „turystyką aborcyjną” i sprzedażą tabletek poronnych. Arsenal zyskał jednak ogólnopolski rozgłos dzięki tzw. warsztatom z aborcji w ramach „Warsztatów z rewolucji”. Ich kuratorką była Zofia nierodzińska (tak życzy sobie, aby pisać jej nazwisko). Inspiracją dla programu „Warsztatów...” były rozruchy społeczne w Europie Zachodniej w 1968 roku. W skład warsztatów wchodziły m.in.: „Współczynnik rewolucyjny” – cykl spotkań, podczas których redaktorzy „Czasu Kultury” czytali na głos fragmenty tekstów o potencjale rewolucyjnym, m.in. „Manifest komunistyczny”; „Warsztaty z Gyne Punk” – działania, podczas których prezentowano „eksperymentalne laboratorium ginekologiczne posługujące się zdegenerowanymi, prostatycznymi technikami pozwalającymi na krytyczne samopoznanie”; „Warsztaty z Feminist Health Care Research Group” – zajęcia określane jako „Mała Szkoła Samopomocy”, której celem jest „odzyskanie praktyk i wiedzy wytworzonej przez ruch zdrowia”, przeciwstawiający się „patriarchalnemu sposobowi rozumienia medycyny” i dążący do „fizycznego i psychologicznego samostanowienia”.

Podczas serii intensywnych spotkań w ramach „Warsztatów z Gyne Punk” (bez ograniczeń wiekowych) uczestnicy mieli dzielić się wiedzą na temat „procesów bioeksploracji”, byli też zachęceni do „ekstremalnego poznania własnego ciała, odzyskania jego obszarów poprzez dekolonizację anatomii przyjemności, do tworzenia narzędzi i zawłaszczania technologii laboratoryjnych”. Działanie to, jak podali organizatorzy, miało na celu „zhackowanie” medycyny i uniezależnienie się od systemu opieki zdrowotnej oraz wzmacnianie seksualnej emancypacji. Dążenia te realizują na co dzień prowadzący warsztaty w Arsenele przedstawiciele Gyne Punk (Klau Chinche i Mysfita Terat) – kataloński kolektyw, który wchodzi w skład „Kolektywu z Calafou” – tworzącego społeczeństwo o charakterze komuny. Współtworzą oni Hackterię – międzynarodową, undergroundową platformę internetową dla osób zainteresowanych tworzeniem alternatywnej rzeczywistości i udziałem w eksperymentach biotechnologicznych. Jej członkowie uważają, że dostęp do osiągnięć technologicznych powinien być nieograniczony, dlatego zajmują się opracowywaniem i promowaniem projektów urządzeń laboratoryjnych, które można wykonać samemu lub wydrukować na drukarkach 3D. Te wynalazki są wykorzystywane przez Gyne Punk do eksperymentów ginekologicznych. Na stronie in-

ternetowej Gyne Punk znajdują się ich postulaty: „Chcę gruczołowych heretyków, nocnych spotkań czarowników gynepunks, własnoręcznych narzędzi aborcyjnych, gangów akuserek, brokatowych aborcji, rozlanych łóżysk w każdym kącie, wywrotowych technik analitycznych, efemerycznych biolabów, otwartych laboratoriów, sekretnych spotkań zaawansowanych technologicznie położnych, czarnych płaszczy, szat. Oddajemy i pozyskujemy własną krew, będącą wścieklą wulkaniczną rzeką naszego gniewu uderzającą w drzwi parlamentu!”. Z upublicznionych na profilu kuratorki czterech filmów wynika, że podczas zajęć z Gyne Punk demonstrowano, jak samodzielnie wykonać narzędzia laboratoryjne. Część warsztatów poświęcona została aborcji, prezentowano dawne i nowsze narzędzia służące do przerywania ciąży. Prelegentka pokazywała współczesne narzędzia, demonstrując sposób przeprowadzania aborcji za pomocą plastikowego próżniociągu położniczego (vacuum) – dokładna, obrazkowa instrukcja usuwania nienarodzonego dziecka przy użyciu vacuum znajduje się na oficjalnym blogu Gyne Punk.

► Pomoc w aborcji do 22. tygodnia ciąży

Z kolei w warsztaty z Feminist Health Care Research Group zaangażowana była Ciocia Basia (lub po niemiecku: Tante Barbara), grupa, której działaczką jest Zofia nierodzińska – zastępczyni Marka Wasilewskiego i kuratorka „Warsztatów z rewolucji”. „Ciocia Basia to grupa aktywistek, która zajmuje się wsparciem dla kobiet, które chcą przyjechać do Berlina, aby dokonać aborcji. Zajmujemy się ułatwianiem kontaktu i organizacją wizyt u dyskretnych, zaufanych i nieocenianych zespołów medycznych zajmujących się doradztwem oraz profesjonalnym przeprowadzaniem zabiegów w cenie ok. 340 euro za aborcję farmakologiczną lub ok. 470 euro za aborcję chirurgiczną. Staramy się wspierać finansowo osoby, których nie stać na regularną cenę zabiegu. [...] Chcemy być funduszem wspierającym aborcję. [...] Oferujemy nasze wsparcie w dostępie do aborcji wszystkim osobom, które go potrzebują, w tym osobom transpłciowym, niebinarnym i queer” – czytamy na stronie internetowej i funpage'u facebookowym Cioci Basi. „My pomagamy w przeprowadzeniu aborcji do 12. tygodnia ciąży. Jeśli ciąża jest bardziej zaawansowana, a nie ma wskazań medycznych do jej przerwania, to zgodnie z niemieckim prawem kobieta nie może jej usunąć. Wtedy pomagamy zorganizować wyjazd do Holandii, gdzie można usunąć ciążę do 22. tygodni” – deklaruje członkini Cioci Basi. Aktywistki zajmują się też pośrednictwem w handlu tabletkami aborcyjnymi.

W komentarzu do fragmentu pracy doktorskiej Zofii nierodzińskiej, w której ujawnia ona swoją działalność w Cioci Basi, Marek Wasilewski pisał: „Sztuka traktowana jest tu jako narzędzie, którego zastosowanie najlepiej sprawdzi się poza białą otynkowanymi ścianami galerii. Ta ostatnia spełnia tu raczej funkcję tymczasowej bezpieczniejszej przestrzeni, która umożliwi artykulację tematów poruszających się na granicy legalności. Inaczej niż white cube jest miejscem świadomym swojej polityczności, zdającym sobie sprawę ze swojego konkretnego usytuowania”.

Ciekawa wydawała się chronologia warsztatów: najpierw warsztaty z kolektywem Gyne Punk, ekstrawagancko wyglądającą parą skłotersów, która przedstawiła szeroki wachlarz ginekologii „zrób to sam”, promuje swoją aktywność często poprzez makabryczne zdjęcia (na przykład okrwawionego wzienika w komplecie z hakiem na sznurku). Następnie zastępczyni dyrektora Zofia nierodzińska organizuje spotkanie m.in. z grupą Cioci Basi, której nierodzińska jest aktywistką, a która zajmuje się organizacją turystyki aborcyjnej i pośrednictwem w nielegalnym obrocie tabletkami aborcyjnymi. Oferta Cioci Basi różni się znacząco od oferty Gyne Punk – grupa współpracuje z wybranymi niemieckimi klinikami (z którymi ma wypracowany system zniżek), przedstawia się solidnie i bezpiecznie. Ponadto aktywistki Cioci Basi zachęcają do wpłacania datków na rzecz kobiet, które chcą się poddać aborcji, ale ich na to nie stać: „Prosimy o jak najwyższą darowiznę” – piszą. Zasadne wydaje się pytanie, czy nie mieliśmy zatem do czynienia z wykorzystywaniem publicznej instytucji do promocji i pośrednictwa w dostępie do usług aborcyjnych i tabletek poronnych oraz czerpania z tychże korzyści finansowych?

► Zabawy fekaliami i pionierzy queerowego romantyzmu

Wydawałoby się, że po tym spektakularnym obnażeniu się przed opinią publiczną z realizacji skrajnych lewicowych postulatów galeria stonuje swój program. Nic podobnego. Dalej było i jest podobnie.

Miesiąc (7 września – 7 października 2018 roku) trwał w Arsenale pod rządami Marka Wasilewskiego projekt „Bedtime” z udziałem kolektywu Coven Berlin, którego członkinie zajmują się m.in. feminizmem, sztuką i tematyką porno. Jeden z ich projektów „Asshole” dotyczył erotyki analnej, wypróżniania i zabawy fekaliami. Miejscem warsztatów było wielkie łóż z baldachimem. Zaproszeni na nocne seanse byli wszyscy, niezależnie od wieku, doświadczenia i płci. „Bedtime” było kolejną

inicjatywą Zofii nierodzińskiej. Pisała ona, zachęcając do udziału: „Dwa nieprzemijające, bezwstydnie obudzone kolektywy queer, Girlhood i COVEN Berlin [...]. Członkowie obu kolektywów zapraszają wszystkich, którzy chcą z nimi wskoczyć do dziesięciometrowej przestrzeni do spania [...] berlińscy magicy z kolektywu COVEN. Pionierzy queerowego romantyzmu zapraszają gości na spacer mentalno-metabolicznymi szlakami bez wizualnych zabezpieczeń”.

Ostatnia aktywność galerii to „Kreatywne Stany Chorobowe: AIDS, HIV, RAK” (8 listopada 2019 – 12 stycznia 2020 roku). W jej ramach: „Prezentowane są [...] materiały poświęcone heroicznej działalności polskich grup aktywistów i aktywistek, przede wszystkim Społecznemu Komitetowi ds. AIDS, Zjednoczeniu Pozytywni w Tęczy i Stowarzyszeniu Sieć Plus oraz kampanie społecznej: HIVokryzja i Niewykrywalni. [...] Przy wsparciu m.in.: Fundacja Edukacji Społecznej, Społeczny Komitet ds. AIDS, Zjednoczenie Pozytywni w Tęczy”. Powyższe Fundacje znajdują się wśród wymienionych przez wiceministra sprawiedliwości Sebastiana Kaletę w bulwersującym raporcie pokazującym, jak warszawski ratusz wydaje miliony złotych na wsparcie organizacji, które m.in. uczą, jak zażywać narkotyki, promują dewiacje seksualne, a nawet walczą o legalizację prostytucji. Każda z tych organizacji promuje ruchy LGBT. Raport przedstawia silne powiązania pomiędzy warszawskim ratuszem a działaniami ruchu LGBT oraz innych skrajnie lewicowych organizacji. Przykładowo Fundacja Edukacji Seksualnej, która działa także aktywnie na rzecz organizacji LGBT i zajmuje się edukacją seksualną dzieci w szkołach, jest autorem spotów, w której dwaj mężczyźni inscenizują scenę seksu oralnego lekarza z pacjentem lub instruuja, jak zażywać narkotyki przed seksem.

W kontekście powyższej działalności Galerii Miejskiej Arsenał ciekawe wydają się słowa z okazji 20-lecia „Czasu Kultury” Rafała Grupińskiego (założyciela i pierwszego redaktora naczelnego pisma) w rozmowie z Markiem Wasilewskim (ówczesnym redaktorem naczelnym): „W tekście zamieszczonym w »Ex Librisie« bodaj w 1992 roku pisałem, że gdy się pokazuje wciąż tak ciemne strony wolności i demokracji jak sprawki tajnej policji czy wkładanie ręki po łokieć w odbyt w poszukiwaniu rozkoszy, to musi się to skończyć albo łaknieniem dyktatury albo powrotem na arcykonserwatywne pozycje”.

Krystyna Różańska-Gorgolewska – malarka, krytyk sztuki, dziennikarka, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu.



Ewa Polak-Palkiewicz

Z PERSPEKTYWY NIEBA



FOT. SASHENKA GUTIERREZ PAVEPA



12 grudnia 2019 roku, w dniu, w którym przypada wspomnienie Najświętszej Maryi Panny z Guadalupe, francuski ruch Renaissance catholique zainicjował akcję modlitewno-ekspiacyjną z powodu uroczystego wprowadzenia figurki inkaskiego bóstwa Pachamamy do Bazyliki św. Piotra. Zaznaczono, że to pierwsze zatwierdzone przez Kościół objawienie Maryjne (12 grudnia 1531 roku) „oddaje ducha dzisiejszego kryzysu ewangelizacji rdzennych mieszkańców Ameryki Łacińskiej i zamieszania, jakie powstało na skutek »akceptacji« pogańskiego bóstwa przez ostatni synod”.

12 grudnia 1531 roku Matka Boża ukazała się Indianinowi Juan Diego na wzgórzu Tepeyac, gdzie wcześniej znajdowała się świątynia Tonantzin – Coatlicue – czczona jako bogini ziemi, życia i śmierci. Aztekowie składali jej ofiary z ludzi, wierząc, że krew daje ziemi płodność. Matka Ziemia Coatlicue czczona była na południu, w rejonie andyjskim, jako Pachamama. Dzięki objawieniom w Guadalupe i cudownemu wizerunkowi Najświętszej Maryi Panny rdzenni mieszkańcy Ameryki Południowej i Środkowej nawrócili się do prawdziwego Boga i zaczęli czcić Matkę Boską, Królową Nieba i Ziemi (według encyklopedii. pwn.pl).

► Co łączy objawienia z Guadalupe z Królową Polski?

Kilkanaście lat temu ordynator jednego z oddziałów znanej kliniki w Mexico City, człowiek elegancki i dowcipny, w wolnych chwilach uprawiający malarstwo, niesłychanie się zdziwił, gdy spotkany w hotelowej kawiarni Niemiec, Paul Badde, oznajmił mu, że przyjechał do stolicy jego kraju, by zobaczyć obraz Pani z Guadalupe. Ten rodowity Meksykanin, były katolik, jak mówił o sobie nie bez dumy, wiedział o tym wizerunku tylko tyle, że „wierzą w niego wieśniacy i głupcy”. Kategoria cudownych obrazów nie mieściła się w jego pragmatycznym umyśle. Przekonany o „kościelnym oszustwie”, próbował namówić Baddego, by zamiast oglądać ten podejrzany malunek, zobaczył akwarele z Paryża jego pędzla.

Obyta w świecie inteligencja miasta Meksyk chętnie natomiast rozprawia o pomysłowym przejściu pod prezbiterium w bazylice, w której umieszczony jest obraz Pani z Guadalupe. Prowadzi ono pielgrzymów bezpośrednio pod obraz. Trzy małe windy unoszą ich na poziom obrazu, kolejna zabiera ich z powrotem. To nowatorskie rozwiązanie jest ich zdaniem doskonałym remedium na coś tak pospolitego i trywialnego jak tłum pielgrzymów.

Współczesni neopoganie w różnych „cudach” nauki i techniki, z którymi są tak dumni, upatrują swój absolut. Chcą tylko jednego – bez przeszkód się nim rozkoszować. Podobni są do dawnych pogan, którzy urodzaje czy triumf wojenny uznawali za znak przyjaźni bogów. Zapowiedź powodzenia odkrywali w układzie gwiazd, obfitym pokarmie, świetle i cieple; byli więźniami materii. Tak jest i dziś. Czując się niepewnie wobec wieczności,

czepiamy się tego, co materialne, doraźne i przemijające, tracąc wzrok i słuch duchowy. Nieuleczalna choroba, śmierć fizyczna bywa wstrząsem, który przychodzi zbyt późno, by mógł mieć dobroczynne znaczenie.

Autor książki o Pani z Guadalupe, Paul Badde („Guadalupe. Objawienie, które zmieniło dzieje świata”), chciał zrozumieć treść niesłychanej interwencji Niebios, jaka miała miejsce w Meksyku w 1531 roku. Badając ją, był zmuszony sięgnąć do historycznego kontekstu cudu Morenity, jak nazywają Maryję z Guadalupe Indianie meksykańscy. Zestawienie faktów przyniosło zadziwiające odpowiedzi. Pierwsze spotkanie Indianina Juana Diego z Niepokalaną na wzgórzu Tepeyac nastąpiło rankiem 9 grudnia 1531 roku. Trzydzieści trzy lata wcześniej Axayacatl, szósty władca Azteków, zlecił wykonanie kalendarza słonecznego. Wyrzeźbiono go w jednej kamiennej bryle, w kształcie koła o średnicy ponad czterech metrów. Była to „święta księga” Indian, oddawano jej kult. Mimo że po zdobyciu azteckiej stolicy Tenochtitlan Hiszpanie zrzucili kalendarz ze szczytu najwyższej świątyni miasta na bruk, nie uległ on zniszczeniu (dziś jest przechowywany w muzeum antropologicznym w Mexico City). W samym jego centrum znajdują się oczy boga słońca... I oto w idealnym centrum wizerunku Dziewicy z Guadalupe Indianie ze zdumieniem odkryli oczy Dzieciątka, Boga spoczywającego w łonie Dziewicy! Mogli to zrobić tylko oni – kwiat jaśminu, który znajduje się na sukni Maryi w tym właśnie miejscu, symbolizuje w ich kulturze Boga. Don Mario Rojas Sanchez, jeden z najwykśszych znawców Wizerunku, konkluduje: „Obraz był dla Indian nowym kalendarzem, na którym napisano: »Santissima Virgen« nosi w sobie prawdziwe Słońce: Boga [...] W jednym ujęciu przekładał całą Ewangelię na język Indian”.

Tajemnic jest więcej. Są fascynujące, jak chociażby ta, że układ gwiazd na płaszczu Morenity oddaje wiernie ich konstelację z grudnia 1531 roku, ale nie tak, jak widzi się je z ziemi, lecz w sposób, w jaki można je dostrzec „od drugiej strony”, z perspektywy nieba. Podobnie jak Całun Turyński, meksykański wizerunek poddawany jest szczegółowym naukowym badaniom. Tajemnica jednak pozostaje tajemnicą. Nie wszystko da się wyjaśnić. „Kolorowa fotografia” Maryi sprzed blisko 500 lat, utrwalona na włóknach kruchej pospolitej rośliny, jaką jest agawa, brak jakichkolwiek śladów farb, przy nieuchwytnych, zmieniających się w zależności od miejsca i światła barwach, nieprzenikniony wyraz twarzy Niepoka-

lanej... I wreszcie nadzwyczajne odkrycie, którego dokona każdy, kto zbliży się z lupą do źrenicy Maryi – by ujrzeć w nich scenę rozwinięcia płaszcza Juan Diego u biskupa Zumárragi wraz ze wszystkimi obecnymi przy tym postaciami.

Autor książki o Pani z Guadalupe także został uzbrojony w lupę przez don Mario Sancheza, gdy oglądał z bliska ów kwiat jaśminu w samym centrum cudownego Wizerunku. „To przecież niemożliwe!” – wyrwał mu się okrzyk. „Owszem, owszem – śmiał się don Mario, mrugając oczami. – Dziecko, prawda? Jego oczy są jeszcze na pół zamknięte... Właśnie się budzi... Niespodziewanie w środku pączka ujrzalem otwarte oko, nieco niżej drobny nos, jeszcze niżej małe usta i brodę”.

Bóg jest wielkim realistą. To, co stworzone, jest doskonałe. Zapominają o tym współcześni artyści, naukowcy i politycy, tak często lądujący w objęciach pychy; przyjęli tę prawdę bez protestu „dżicy”. Piękno stworzenia prowadzi do prawdy. Ujrzeć piękno to poznać doskonałość, samego Boga. To pokochać Go i chcieć żyć dla Niego. Bo piękno wyzwała miłość. Dziś Oblicze Królowej Polski, które jest dla Polaków uosobieniem piękna, zostało znieważone. Ktoś nie może znieść tego Oblicza, które jest dla nas Obrazem Boga. A ono, tak samo jak wizerunek Morenity, jest pełnią. Twierdzą odwiecznej prawdy, bez której nie sposób żyć.

► Co o przemocy mogła sądzić Maryja?

Paula Baddego uderzyły także cyfry i daty: w czasie, gdy Maryja objawiła się mieszkańcom Meksyku, w Europie na skutek reformacji 8 mln chrześcijan odłączyło się od Kościoła. Wkrótce po objawieniu Matki Bożej na wzgórzu Tepeyac taka sama rzesza (8–9 mln Indian) w bardzo krótkim czasie (w ciągu trzech, czterech lat) przyjęła chrzest z rąk misjonarzy posługujących w Meksyku. Tubyłcy, którzy wcześniej nie byli w stanie wyzbyć się bezsilnej nienawiści do najeźdźców z Europy, stali się ich przyjaciółmi. Fala nawróceń była niepowstrzymana. Misjonarze chrzcili po dwóch, od wschodu do zachodu słońca. Oto największy z cudów. Także u Hiszpanów zniknęło poczucie wyższości wobec Indian. Gniew z powodu oporu Azteków, także ich niechęć do przyjęcia dobrodziejstw wyższej cywilizacji, zastąpiła bezinteresowna miłość, łagodność, opiekuńczość.

Zdobywcy Meksyku wierzyli w Tróję Świętą, ale nie zawsze byli przykładem chrześcijańskich cnót. Rzezie religijne w Europie Zachodniej, których autorami byli również Europejczycy, nie przynoszą nikomu chwały. Przypomnijmy, co

działo się w Wiecznym Mieście zaledwie cztery lata przed objawieniem się Pani z Guadalupe, w czasie Sacco di Roma. Po zwycięstwie nad Maurami Hiszpanie stali się postrachem Europy, przypomina Paul Badde. W maju 1527 roku cesarscy landsknechci urządzili w papieskim Rzymie masakrę. Sacco di Roma było wstrząsem dla całego świata zachodniego. W mieście szaleli pozbawieni sumienia żołnierze niemieccy (14 tys.) i hiszpańscy (6 tys.), którzy byli przecież chrześcijanami.

W Europie dotkniętej trwającą wiele dekad okrutną wojną wyznaniową obroniła się jedynie katolicka Polska. Tu nie było zbrodni na tle religijnym – męczeństwo św. Andrzeja Boboli, św. Jana Sarkandra i św. Melchiora Grodzieckiego były jednak czymś wyjątkowym – nikogo też siłą militarną i groźbą nie zmuszano do powrotu na łono Kościoła. Jezuici dzięki swoim misjom w krótkim czasie odzyskali dla wiary katolickiej zagrożone protestantyzmem Kresy. Także kalwińską i arianą szlachtę, te konwersje grupy „wielkich panów” okazały się w większości powierzchowne i przemijające.

A jednocześnie, niewiele lat wcześniej, na Soborze w Konstancji (1414–1418) Polska przedstawiła – za pośrednictwem Pawła Włodkowica z Brudzewa, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego – traktat „Fides ex necessitate esse non debet”, który każdą wojnę napastniczą piętnował jako zbrodnię, i to niezależnie od tego, czy atakowani są chrześcijanie czy poganie. Sobór i Ojciec Święty przyjęli to stanowisko jako zgodne z nauczaniem Kościoła.

„Rzeczpospolita Obojga Narodów już na początku XV wieku wypracowała zasady prawne dotyczące wolności narodów” – przypomina autor hasła w „Powszechnej Encyklopedii Filozofii”. „Obroniła je przed najważniejszymi ówczesnymi międzynarodowymi trybunałami, a także sama je zastosowała. Nie było więc dziełem przypadku, że przez całe stulecia, przez trudny okres reformacji, kiedy zachodnia Europa spływała krwią w niekończących się wojnach religijnych, a także w wiekach późniejszych, Rzeczpospolita była krajem tolerancyjnym, przyjaznym dla obcych, szanującym prawa mniejszości, które prześladowane w innych krajach, osiedlały się na ziemiach polskich, wiedząc, że tu znajdą spokój”.

Nasza Ojczyzna była jednak wyjątkiem. Potwierdziła to sama Maryja, wyjawiając (po blisko 200 latach od wystąpienia Pawła Włodkowica na Soborze w Konstancji) swe pragnienie, by Polska została Jej Królestwem. 14 sierpnia 1608 roku, do-

kładnie 40 lat po śmierci św. Stanisława Kostki, Niepokalana objawiła to życzenie o. Juliuszowi Mancinellemu, włoskiemu jezuitcie. Objawienie powtórzyło się 17 sierpnia 1617 roku. Oba uznane zostały przez Kościół. Ich następstwem były śluby Jana Kazimierza we Lwowie.

► Czyż nie jestem przy tobie ja, twoja Matka?

Kojące słowa Niepokalanej wypowiedziane do Indianina Juana Diego, katolika ochrzczonego kilka lat przed objawieniem przez przybyłych wraz z Cortézem franciszkanów, przypomina inskrypcja zapisana złotymi literami na ścianie bazyliki w Mexico City, gdzie umieszczona jest Morenita: „Czyż nie otaczam cię swoją opieką i troską?”.

Niepokalana przyszła nie tylko do Indian. Jej wpływ objął także rozgoryczonych i zawiedzionych zdobywców kontynentu. W obliczu tak nieodpartego uroku miłości i łagodności, w obliczu prawdy zawartej w obliczu Przczystej Dziewicy, zapewne i oni ujrzeli swoją waleczność wobec „dzikich”, wspartą miazdzącą przewagą techniki i broni, swoją niepowstrzymaną radość z powodu przerażenia Indian rzeniem ich koni (nieznanych tu wcześniej) jako śmieszne stroszenie piór. Hernando Cortéz, awanturnik i nieustraszony wojownik, autor podboju państwa Azteków, próbował nawracać ich władcę Montezumę II – uwięziwszy go uprzednio w jego pałacu i żywcem paląc jego dostojników. Przez kilka nocy opowiadał mu o Chrystusie, zmartwychwstaniu i Niepokalanym Poczęciu Maryi. Przy wszystkich swoich zaletach, odwadze i inteligencji, był to człowiek niesłychanie gwałtowny i porywczy, w afekcie zabił własną żonę.

A jednak nie można rezygnować z realizmu – i również ze zwykłego poczucia sprawiedliwości – w tej historii nie jest tak, jak podkreśla m.in. Vittorio Messori – że „z jednej strony miałyby się znajdować bezbronne anioły, z drugiej zaś okrutne demony. Między innymi Hernando Cortés, który położył kres wielkiemu imperium Azteków”. Mimo że jest on przedstawiany przez wielu historyków (także przez współczesnego mu hiszpańskiego dominikanina Batalomé Las Casala) wyłącznie jako czarny charakter. Widział przecież „na własne oczy płynącą z piramid rzekę krwi ludzkiej z poświęcanych bogom ofiar”. Włoski pisarz ostrzega, że przy ocenie podboju obydwu Ameryk przez Europejczyków trzeba wystrzegać się moralizującego utopizmu, który chciałby widzieć historię tworzoną tylko w atmosferze ukłónów, dobrych manier i »proszę, najpierw pan«.

Nieuchronne „starcie dwóch kultur, które nie miało precedensu w historii świata: epoka kamienna przeciw epoce żelaza, obsydian i krzemień przeciwko stali z Toledo, płóty przeciwko łę, strzały przeciw prochowi i kulom armatnim”, jak podsumowuje Paul Badde, było zatem śmiertelnym kłinczem, w którym nie było zwycięzców. To była pułapka dla obu stron. „Zuchwała śmiałość europejskich chrześcijan epoki renesansu przeciwko pogańskim łękom Indian, stłamszonych przez władzę tłumu nieobliczalnych bogów” nie przyniosła, bo nie mogła przynieść miłości do Kościoła. Potrzebna była interwencja Nieba.

Nie można zapominać także, że już w XVI wieku, jak pisze Messori, »protestanckie mocarstwa północne – przede wszystkim Wielka Brytania i Holandia – rozpoczęły wojnę psychologiczną, wymyślając «czarną legendę» barbarzyństwa i uciśku, jakich w swoich dominacjach zamorskich dopuściła się Hiszpania, z którą państwa te walczyły o hegemonię na morzu».

Kwestia, czy Chrystusa można komukolwiek narzucić siłą, jest niezwykle doniosła, a zarazem delikatna i kontrowersyjna. Czy żeby kogoś nawrócić, trzeba w pewnych sytuacjach wcześniej konieczne go pokonać – czasem uwieść albo upokorzyć? Paradoks przybyszy z Europy polegał na tym, że przy całej swojej waleczności, a nawet wzniosłości ideałów – okręt Cortéza wszak nosił nazwę Santa Maria de la Concepción – nie potrafili pozyskać serc podbitych ludów. Być może nie stanowili pociągającego przykładu. Chrystianizacja musiała ogarnąć także tych, którzy stawali się mimowolnymi ofiarami własnych metod podboju.

A przecież przybysze z Europy byli świadomi, że ciąży na nich obowiązek chrystianizacji ludów Ameryki. To nie była wycieczka krajoznawcza ani też wyprawa po złoto. Czuli się synami Kościoła, wyprawę finansowała władczyni Hiszpanii, królowa Izabela, zwana „katolicką”, i nie mogli zapominać, że „Kościół jest stworzony i powołany do tego, by głosić prawdy wiary – tej wiary, która jest dobrem najwyższym, od którego zależą wszystkie pozostałe dobra. Dlatego św. Piotr przedstawia przepowiadanie Ewangelii jako coś, co wynika z Boskiego nakazu. [...] Ten rozkaz rozciąga się na wszystkie czasy i na całą ziemię: »Nie zważając na czasy nieświadomości. WZYWA BÓG TERAZ, WSZĘDZIE I WSZYSTKICH LUDZI do nawrócenia« (Dz 17, 30). Czy można jednak w imię wiary zadawać człowiekowi śmierć?

By opowiedzieć prawdę o nawróceniu Ameryki Południowej i Środkowej, trzeba, jak twierdzi Messori, odłożyć na półkę wszystkie te „budujące

apele, aby »każdy pozostawał na swojej ziemi, nie targając się na ziemię innych«. W historii nie ma miejsca dla czegoś takiego. »Wszystkie cywilizacje są owocem przemieszczania, które nigdy nie miało pokojowego charakteru. Bez obrazu dla Historii Świętej (bo Ziemia Obiecana Żydom przez Boga nie należała do nich, lecz została przez nich wydartą siłą poprzednim mieszkańcom), owe szlachetne dusze, pomstujące na złych uzurpatorów obydwu Ameryk, zapominają, że w momencie przybycia na te ziemie owi Europejczycy znaleźli tam innych uzurpatorów. Imperia Azteków oraz Inków zostały stworzone przy użyciu przemocy i utrzymywane przy pomocy krwawego ucisku przez ludy najeźdźców, które sprowadzały tubylców do roli niewolników».

Tryumfy »paru dziesiątek Hiszpanów przeciw tysiącom wojowników indiańskich» były w istocie owocem »poparcia samach tubylców, uciskanych przez Inków i Azteków». Hiszpanie przyjmowani byli niejednokrotnie jako wyzwoliciele. Dziś jednak jesteśmy pod przemożnym władaniem pojęć religijnych, które przekonują, że każda forma przemocy lub godzenia się na przemoc zasługuje na potępienie. A przecież, jak przekonuje m.in. prof. Romano Amerio, »bywają przypadki, w których nietolerancja – właśnie w obronie prawdy, która jest wyższą wartością – jest konieczna i nie przypadłościowa». Potrzebuje jej szeroko pojmowane miłosierdzie. To, które ma na celu przede wszystkim losy ludzkiej duszy po śmierci.

A z drugiej strony, nie tylko podbite przez Azteków plemiona indiańskie, także sami Aztekowie w głębi duszy mieli dosyć gwałtów i okrucieństwa. Ich ponure, nienasycone krwią ludzką bóstwa były źródłem ich tajonej udręki. Aztekowie byli jednym z najokrutniejszych ludów w historii, a ich mroczna religia oparta była na masowych ofiarach ludzkich. »Nieprzejednanie, niekiedy złość pierwszych katolików, którzy tam przybyli, są usprawiedliwione wobec tego ponurego bałwochwaltwa; w tamtejszych świątyniach płynęła zawsze krew ludzka». Po raz pierwszy też w dziejach »Europejczycy stykali się z kulturami tak różnymi i dalekimi od ich własnych. W odróżnieniu jednak od Anglosasów, którzy ograniczyli się do zagłady »obcych«, zastanych w Nowym Świecie, Iberowie przyjęli wezwanie kulturalne i religijne z całą powagą, co stanowi jeden z tytułów do ich chwały». Jeżeli zaś zdarzały się nadużycia wobec ludności tubylczej, spotykały się one ze sprzeciwem nie tylko Kościoła – na wszelkich poziomach hierarchii – lecz także państwa, »podyktowanym przez głęboką świadomość chrześcijańską» (Vittorio Messori).

Z tysiąca sześciuset Hiszpanów walczących z Indianami zginęła w tej walce ponad połowa, zanim pokonane żelaznym orężem imperium Azteków, z armią liczącą kilkaset tysięcy Indian, bezwładnie runęło u ich stóp. Aztekowie doskonale zdawali sobie sprawę z rozmiarów swojej klęski, czuli też jej wymiar religijny. Byli w potrzasku. I oto, zaraz po cudzie na wzgórzu Tepeyac, »doszło do połączenia największych przeciwieństw». Dwa narody stały się jednym. Wbrew »czarnej legendzie» podbojowi Ameryki przez Hiszpanów nie towarzyszyło ludobójstwo Indian, a ci, którzy »uniknęli masakry», nie zostali sprowadzeni do stanu niewolników. Przeciwnie, byli chronieni przez specjalny załącznik do testamentu królowej Izabeli, która traktowała ich jako swoich poddanych, napominając tylko, by »postępowali w taki sposób, by traktować ich sprawiedliwie i po ludzku, a jeśli odniosą jakąkolwiek szkodę, niechaj im to zostanie wynagrodzone». Zaś objawienia Niepokalanej na wzgórzu Tepeyac – w tym konkretnym miejscu i czasie – mówią z niesłychaną precyzją wszystko to, co sama Maryja mogła myśleć o konieczności poprowadzenia pogan z tego kontynentu do Jej Syna.

► Odwrotność kalendarza

Oglądając z bliska cudowny wizerunek Maryi, można dostrzec, że kolory obrazu, na który pada światło słońca, są całkowicie odmienne niż te, które znane są z kopii czy podziwiane z pewnej odległości. Paul Badde określił je jako kolory raju, dodając, że są takie »jak w jutrzence»: niezwykle, subtelny róż, który wpada w odcień między i brązu, zgaszona zieleń zmieszana z błękitem, barwa morza, złoto.

Wizerunek Niepokalanej z Guadalupe jest pełen tajemnic, które wszakże dla »dzikich» Azteków było w 1531 roku niczym otwarta księga. Czytali je »słowo po słowie», znak po znaku i ich serca zaczynały płonąć radością. W taki sposób może mówić tylko Bóg! Wykorzystując i prostując z największą starannością wszystkie linie krzywe. Do takich linii należał także kalendarz Azteków, zbiór zasad starożytnej cywilizacji, próba pierwotnego uporządkowania świata. Dzięki azteckiemu kalendarzowi faktyczni władcy tej krainy, kapłani, fałszowali rzeczywistość, by utrzymać poddanych w bałwochwalczym kulcie, a zarazem w ścisłej hierarchii. Wyznawcy kalendarza odznaczali się wielką wrażliwością na znaki widzialne. Wizerunek Maryi na płaszczu z włókien agawy stał się dla Azteków rzeczywi-

stym „antykalendarzem”, dla którego w jednej chwili odrzucili ten dotychczasowy. Obraz Morenity przemówił do nich z ogromną siłą, ukazując porywającą prawdę o Bogu, do którego – nie znając Go – tak bardzo tęsknili. Wyrwał ich dusze z zakłętego kręgu religijnego lęku i osaczenia przez demoniczny fatalizm.

Aztekowie byli poganami, lecz nie byli ślepi. Zastanawiali się nad sensem wszystkich znaków. Dopóki nie wiedzieli, kim jest Bóg, dopóty odczytywali je fałszywie. Lecz znając ich serca Maryja – Pogromczyni całego kłamstwa, nienawidząca wszelkiego fałszu – przybyła, by osobiście zniszczyć fałszywy obraz i zastąpić go prawdziwym. Przybyła nie tylko jako Posłanka, Nauczycielka i Mistrzyni, Burzycielka gmachu dawnych wierzeń, lecz przede wszystkim jako nieskończenie dobra Dziewica i Matka, przytulająca do serca swoje dzieci. Jej nauka o prawdziwym Bogu przyniosła udęczonym własnym losem Indianom niewypowiedzianą ulgę, przeogromne szczęście. Zdjęła z ich nóg i rąk kajdany duchowego niewolnictwa.

► Maryja maluje małą dziewczynkę

Maryja uczyniła to wszystko w niezrównany sposób, właściwy sobie, pełen prostoty i wdzięku. Nie wolno pominąć dziewczęcości postaci Niepokalanej ze Wzgórza Tepeyac. Tak. Ona przy poczęciu Syna była jednocześnie dziewczynką i kobietą. Całkowita niewinność i całkowita dojrzałość duchowa spłoty się w tym Arcydziele rąk Boga w jedną, absolutnie niezwykłą i najbardziej naturalną zarazem całość.

„Starożytne złe duchy bliskie człowiekowi, po społu panowie i słudzy, straszliwi patriarchowie, którzy kierowali pierwszymi krokami Adama na progu przekłętą świata, Chytrość i Pycha patrzą oto z daleka na to cudowne Stworzenie umieszczone poza ich zasięgiem, nietykalne i bezbronne. Zapewne, nasz biedny rodzaj ludzki niewiele jest wart, jednak dziecięstwo wzrusza go do głębi, niewiedza maluczkich każe spuszczać oczy... Najświętsza Panna była Niewinnością... Spojrzenie Najświętszej Panny to jest jedynie spojrzenie naprawdę dziecięce, jedyne prawdziwe spojrzenie dziecka, które kiedykolwiek spoczęło na naszej hańbie i naszej niedoli” (Georges Bernanos, „Dziennik wiejskiego proboszcza”).

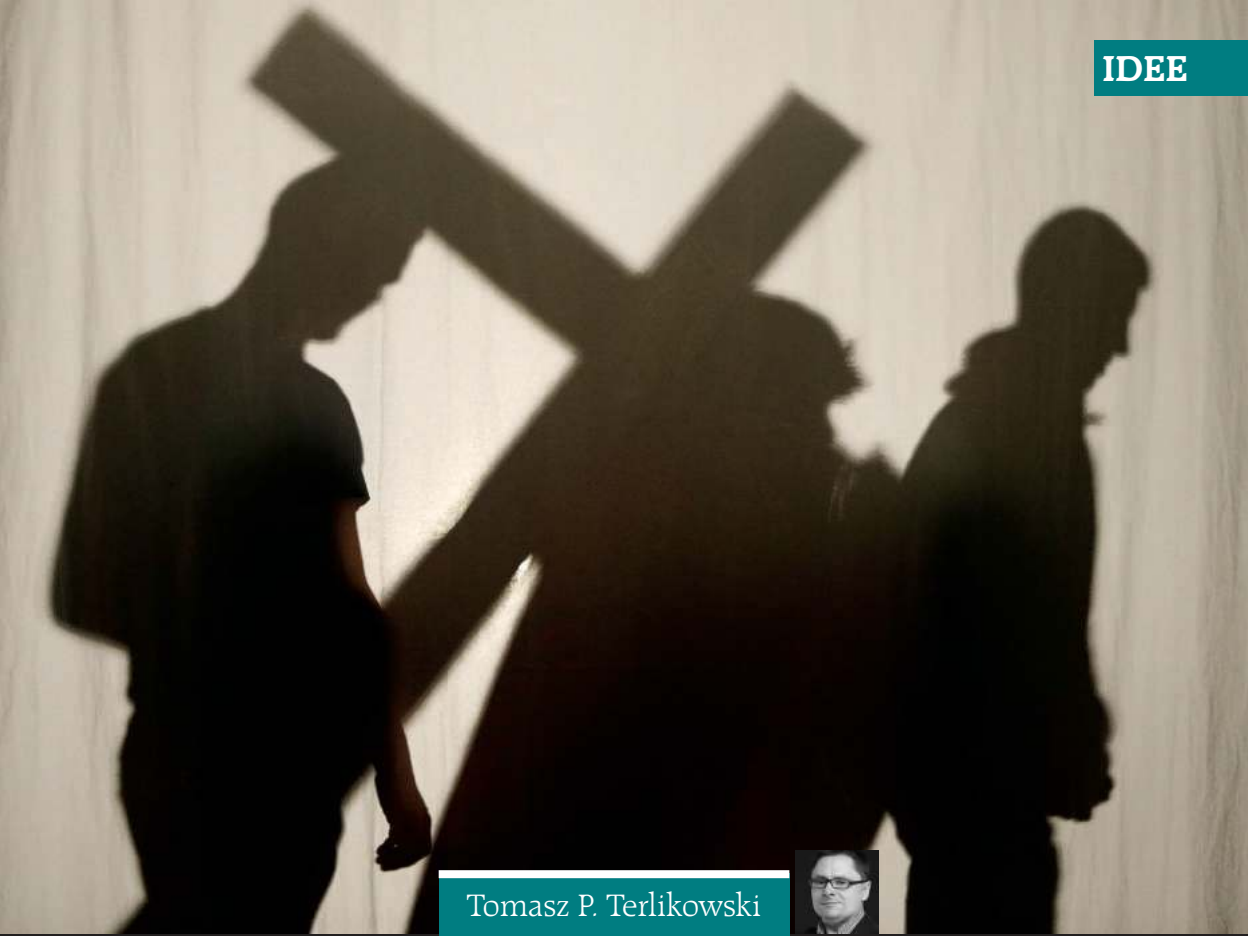
Zanim do wybrzeży Ameryki Południowej przybyły okręty Hernanda Cortéza, na których znajdowała się garstka misjonarzy, z Andaluzji odpłynął w kierunku wybrzeży Nowego Świata

zagliwiec Krzysztofa Kolumba „Santa Maria”, któremu towarzyszyły dwa inne okręty – „Pinta” i „Niña”.

„Niekiedy – pisze w swojej książce Paul Badde – zestawiali nazwy jego trzech okrętów w dziwnie brzmiące hiszpańskie zdanie: »Santa Maria pinta (la) niña – Święta Maryja maluje małą dziewczynkę«. Już samo zdanie było godne uwagi, a przecież był to dopiero początek niewiarygodnej historii...”

To fakt, że odkrycie złotonośnych pokładów na Nowej Ziemi było marzeniem Krzysztofa Kolumba, marzeniem także tych, którzy jego wyprawę finansowali, Ferdynanda i Izabeli, zwanych królami katolickimi. Gdy wytyka się Kolumbowi ten motyw, zapomina się jednak, że nieustraszony żeglarz pragnął złota nie dla siebie. Wtedy, tak jak i dziś, pieniądze decydowały o wielu przedsięwzięciach religijnych. Kolumb chciał, jak przypomina Messori, „znaleźć złoto [...] na sfinansowanie wielkiej krucjaty, która zaprowadziłaby Hiszpanów za Gibraltar, aby zająć muzułmańską Afrykę i stamtąd skierować się ku Jerozolimie, by odbić z rąk wyznawców Allaha Święty Grób, utracony przez chrześcijan przed trzystu laty”. Tym żył, o to zabiegał, po to wyruszył przez Atlantyk. Jeden z poważnych historyków portugalskich prof. Jose Carlos Calazans oraz Amerykanin, Manuel Rosa, prowadzą od lat badania, mają przekonać świat nauki, że Kolumb był w istocie z pochodzenia Polakiem, synem króla Władysława Warneńczyka, któremu – choć był ciężko ranny – udało się zbiec z pola bitwy pod Warną i przedostać w przebraniu na południe Europy. Jednym z motywów tej hipotezy jest fakt, że Krzysztof Kolumb, według oficjalnej biografii, syn rzemieślnika, ożenił się z córką wysokiego rodu, co w owych czasach byłoby czymś niewyobrażalnym, a także jego znakomite wykształcenie i łatwy dostęp do pary królewskiej. „Jeszcze w swoim testamentie Kolumb przypominał królom o obowiązku wyprawy krzyżowej” – pisze Messori. „Nie doszła ona do skutku z powodu wybuchu protestanckiej Reformacji, która na wieki podzieliła świat chrześcijański”.

W historii, którą pisze Bóg, nie ma rzeczy nieważnych... Abyśmy dobrze zrozumieli wydarzenia, które rozgrywają się na naszych oczach – i pojęli, że On jest jej Autorem – zostawia nam „bileciki”, ukryte komunikaty, które musimy odnaleźć i odczytać, by nie utknąć w labiryncie fałszywych tropów. Każdy szczegół może okazać się istotny, a nawet decydujący, o ile napotka go niewinne spojrzenie i szczerą pragnienie poznania prawdy. ■



Tomasz P. Terlikowski



Niemiecka rewolucja eklezjalna

To nad Renem zarówno w ramach „drogi synodalnej”, jak i szerzej – w ogóle decyzji i debat, jakie tam zapadają, kształtuje się przyszłość Kościoła w Europie. Jeśli sami nie przemyślimy problemów stawianych przez niemieckich katolików, to ich rozwiązania zostaną nam narzucone.

Niespełna miesiąc temu w Niemczech rozpoczęła się katolicka „droga synodalna”, której celem jest głęboka zmiana doktryny, a przynajmniej praktyki katolickiej. Tak jak po Synodzie Amazońskim, nic po tym wydarzeniu w Kościele katolickim nie będzie już takie samo. I to nawet jeśli część z wniosków owej drogi zostanie zanegowane przez Watykan. Skąd taka opinia? Odpowiedź jest prosta. Kościół niemiecki jest nie tylko największym obecnie graczem eklesjalnym na świecie, ma potężną (nawet jeśli niesłuszną i złą) teologię, a jego hierarchowie – by wymienić tylko kardynałów Waltera Kaspera i Reinharda Marxa – to najbliżsi współpracownicy papieża Franciszka, który od nich często czerpie inspiracje. I dlatego mimo dochodzących niekiedy z Watykanu krytyk „drogi synodalnej” trzeba jasno powiedzieć, że to, co zostanie na niej ustalone, prędzej czy później będzie wprowadzone w życie, i to nie tylko na terenie Niemiec czy Kościołów niemieckojęzycznych, lecz także prawdopodobnie w całej Europie.

► Rezygnacja z grzechu ciężkiego

Jak głęboka może to być zmiana, pokazują informacje z ostatnich tygodni w Niemczech. Na początku grudnia Komisja ds. Rodziny Konferencji Episkopatu Niemiec po konsultacjach z gronem naukowców uznała, że homoseksualizm należy do „normalnych form predyspozycji seksualnych”, a to oznacza, że nie powinien być uznawany za „obiektywnie nieuporządkowany”, i że w porządku biologicznym czy naturalnym może być on zestawiany z heteroseksualizmem. Członkowie komisji nie posunęli się – wiele wskazuje na to, że na razie – do uznania aktów homoseksualnych za dopuszczalne moralnie, ale... zamiast tego oznajmili, że „stosunek seksualny po rozwodzie i ponownym małżeństwie” nie jest już zakwalifikowany jako grzech ciężki, a zatem nie skutkuje ogólnym wykluczeniem z przyjmowania Eucharystii. Opinię taką wygłosiło zaś dwóch biskupów Heiner Koch i Franz-Josef Bode, a nie jacyś przypadkowi hierarchowie.

Mocne? A to dopiero początek. Jednym z tematów obrad „drogi synodalnej” ma być bowiem reforma katolickiej etyki, szczególnie seksualnej. Uznanie ponownych małżeństw to pierwszy krok, ale wiele wskazuje na to, że uczestnicy obrad będą chcieli przede wszystkim zaakceptować akty homoseksualne, część pozamałżeńskich aktów heteroseksualnych, uznać jakąś wartość związków osób tej samej płci (a może nawet wprowadzić liturgię ich błogosławieństwa) i zaakceptować antykoncepcję. Takie postulaty od dawna głosi część niemieckich biskupów, teologów, a także działaczy świeckich, i to właśnie te – progresywne – grupy w „procesie synodalnym” są najmocniejsze. Kilku biskupów przeciwnych zmianom jest w mniejszości i nieliczni w Niemczech traktują ich poważnie.

Można i trzeba oczywiście zadawać pytanie, na ile – po takich reformach – katolicka etyka seksualna pozostanie

jeszcze katolicka, a na ile stanie się protestancka, a może wręcz utylitarna, ale trzeba sobie powiedzieć, że wiele wskazuje na to, że proces synodalny owe zmiany wprowadzi, a jeśli coś jest pytaniem, to co najwyżej to, ile z nich zaakceptuje Stolica Apostolska i czy w ogóle zdecyduje się ona na jasne stanowisko w tej sprawie.

► Kobiety za ołtarze

Drugą zmianą, która – niemal na pewno – zostanie wprowadzona, jest... zwiększenie, i to radykalne, roli kobiet w Kościele. W Niemczech nie oznacza to ani wprowadzenia ich do rad parafialnych czy kurii biskupich, ani większej roli na wydziałach teologicznych czy w świątyniach, bo wiem to wszystko już się tam dokonało. Kobiety odprowadzają rozmaite nabożeństwa w szatach liturgicznych, udzielają komunii, a nawet prowadzą pogrzeby, są także obecne na wszystkich szczeblach drabiny zarządzania. Jeśli więc coś ma ulec zmianie, to jest to kwestia święceń kapłańskich. Tak, wiem, że to niemożliwe, że św. Jan Paweł II zakazał wprowadzania takiej zmiany, uznając, że Kościół nie ma takiej władzy. Jest także faktem, że święcenie wyłącznie mężczyzn jest wspólną tradycją Wschodu i Zachodu chrześcijańskiego, a wprowadzenie święceń dla kobiet (i to nawet jak się zdaje diakonatu) mogłoby zamrozić dialog katolicko-prawosławny, ale... No właśnie, jest jedno istotne „ale”. Mianowicie kardynał Walter Kasper, a to jeden z najważniejszych rozgrywających tego pontyfikatu, a zatem gdy zaczyna on o czymś mówić, to nie wolno tego lekceważyć. Kilka lat temu zaczął pisać, że rozwodnicy w ponownych związkach zostaną dopuszczeni do Komunii Świętej, i to bez potrzeby przemiany swojego życia, której symbolicznym wyrazem jest decyzja o życiu w czystości. Teraz mówi zupełnie wprost, że „zmiana w Kościele” może objąć również święcenia kapłańskie dla kobiet. Nie od razu, z czasem, ale jednak. „Trudno to wyjaśnić obecnie, ale wierzę, że to jest starożytna tradycja, którą dzielimy z Kościołami wschodnimi. Sądzę jednak, że z czasem drzwi zostaną otwarte. Poza tym jest wiele posług Kościoła, w których święcenia nie są potrzebne” – oznajmił kardynał i teologiczny, i doktrynalny trendsetter. I jeśli komuś wydaje się, że to niemożliwe, niech przypomni sobie, co myślano o powiązaniu nierozzerwalności małżeństwa z dyscypliną sakramentalną. Duszpasterskie powody w Kościele, w którym teologia ma być podporządkowana duszpasterstwu, a teoria praktyce, zawsze się znajdują. I tak się składa, że mówi on to na krótko przed synodem. Jeśli więc ktoś uważa, że „proces synodalny” tego akurat zmienić nie może, to... ostrożnie z tą pewnością.

► Pytania o władzę

„Proces synodalny”, żeby oddać mu sprawiedliwość, stawia jednak także pytania ważne i istotne z punktu widzenia Kościoła. Jednym z takich pytań jest kwestia władzy biskupiej i jej ograniczeń. Ten problem związany jest ze skan-

dalami seksualnymi, które są jednym z bezpośrednich powodów zwołania synodu. O co chodzi? Otóż, jak wynika z raportu opublikowanego w ubiegłym roku, a przygotowanego na zlecenie Konferencji Episkopatu Niemiec, prawie 4,4 proc. wszystkich niemieckich księży, pracujących tam w latach 1945–2014, jest wiarygodnie oskarżonych o molestowanie seksualne dzieci i młodzieży. Ofiarami byli w większości chłopcy, a ponad połowa ofiar nie miała więcej niż 13 lat. W co szóstym przypadku doszło do gwałtu. Dane te pojawiły się już w ubiegłym roku, i już wtedy wiadomo było, że biskupi tuszowali sprawy, przenosili winnych na nowe parafie, przekupywali oskarżających. I nikt nigdy nie poniósł za to odpowiedzialności.

To właśnie ów skandal skłonił niemieckich katolików do zadania sobie pytania o odpowiedzialność biskupów, ale także o katolickie struktury władzy, w których biskup nie odpowiada za swoje czyny przed nikim poza papieżem i Panem Bogiem. W efekcie bardzo trudno jest pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy zaniedbali swoje obowiązki, nie usunęli ze stanu duchownego winnych czy wręcz tuszowali takie sprawy. Jak wyciągnąć wobec nich konsekwencje? Czy biskup powinien w jakiś sposób odpowiadać także przed ludem Bożym, to pytania, które zadają sobie obecnie niemieccy biskupi i świeccy. I choć niemiecki katolicyzm skłania się ku opcji demokratycznej, to wcale nie jest to jedyna możliwa odpowiedź. W starożytności, a nawet średniowieczu biskupów mianowały kapituły nie bez wpływu lokalnych władców, a odwoływali czasem napaleni wierni, którzy zwyczajnie wypędzali ich z miasta. Owszem, niekiedy wypędzali za gorliwość, ale czasem za całkiem realne przewiny. Jeśli teraz jest inaczej, to tylko dlatego, że Kościół przyjął od państw – zresztą z pewnym opóźnieniem – absolutystyczną formę władzy, wedle której Kościół to papież i biskupi, władza płynie tylko z góry, a lud Boży ma jedynie słuchać. I choć Sobór Watykański II zmodyfikował to myślenie od strony teologicznej, to w kwestii praktyki władzy niewiele się zmieniło. A jeśli już, to tylko na gorsze, bo jednostkową odpowiedzialność zastąpiła bezwładna władza rozproszona w biurokracjach Konferencji Episkopatów. To akurat warto zmienić, choć niekoniecznie w kierunku sugerowanym przez niemieckich katolików.

► Celibat i wyzwanie świadectwa

Istotnym pytaniem w czasie synodu niemieckiego będzie także kwestia nowej tożsamości kapłańskiej, czyli w istocie celibatu. Niemcy chcą go oczywiście znieść i choć uważam to za błąd, to warto sobie zadać pytanie o to, jak powinien on być obecnie przeżywany.

Warto czasem wracać do fundamentów, do pierwszych wieków chrześcijaństwa, by zrozumieć zasady, które tak bardzo obrosły już tradycją, że ich do końca nie rozumiemy. Tak jest z celibatem, który w debacie publicznej często jest uzasadniany argumentami pragmatycznymi (ksiądz-celibatariusz może się bardziej poświęcić parafii, ludziom itd.)

Tyle że gdyby potraktować ten argument poważnie trzeba by uznać, że również lekarze powinni żyć w celibacie... Poza tym są również znakomici i oddani wiernym, niekiedy lepsi od celibatariuszy, księża czy pastory z żonaci. Żona bądź jej brak nie wpływa na oddanie mężczyzny pracy, którą wykonuje, a argument pragmatyczny jest zwyczajnie słaby. Dlatego warto sobie przypomnieć, jaki był sens celibatu (wtedy jeszcze nieobowiązkowego) w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Otóż życie kapłana, życie mnicha ma być ukierunkowane na jeden cel, a jest nim chwała Boża. Codzienność, małżeńskie kłopoty, skupienie na zajęciach świeckich odrywa nas od tego jedynego, co jest w życiu kapłana i mnicha najważniejsze, czyli od jedności z Bogiem.

Kłopot z tym argumentem jest taki, że wymaga on ogromnie dużo od celibatariusza, bo w takim życiu będzie chodziło nie o samą samotność (która, powiedzmy sobie szczerze, bez zakorzenienia w Bogu jest pozbawiona jakiegokolwiek szczególnej wartości, a może łatwo przemienić się w okazję do wygodniejszego, spokojniejszego niż z gromadą dzieciaków życia), ale o to, by życie celibatariusza było całkowicie skierowane ku Bogu i tylko ku Niemu, by to On był jedynym celem życia i funkcjonowania. Ofiara z codzienności, w tym z małżeństwa, jest elementem tego ukierunkowania, ale nie obejmuje ona tylko bezzenności, lecz także stan posiadania (rzeczy doczesne także odciągają od Tego Jednego), samopoczucie itd.

► Konieczna odpowiedź

Dlaczego o tym mówię? Bo tylko naprawdę radykalnie przeżywany celibat ma – w naszych pełnych apologii singielstwa czasach – sens. I tylko on może być argumentem za utrzymaniem obowiązkowej reguły celibatu. Wszystko inne to pragmatyczne dodatki do tej podstawowej zasady. Niemiecki proces synodalny mógłby o tym przypomnieć, choć zapewne tego nie zrobi.

Jeśli my chcemy to zrobić, ale także jeśli chcemy uniknąć ślepego kopiowania niemieckich rozwiązań, to warto wypracować własne. I to nie tylko dla Polski, lecz także dla całej Europy Środkowo-Wschodniej. Kościół w Polsce, Czechach, na Słowacji, Ukrainie, w Chorwacji czy na Węgrzech ma podobne styl myślenia, podobnie widzi rzeczywistość i ma równie wielki szacunek dla św. Jana Pawła II. Dlatego zamiast obrażać się na Niemców, warto wykorzystać ich pomysł i wezwania papieża Franciszka do decentralizacji i zacząć obrady środkowoeuropejskiej drogi synodalnej. Część z pytań może być podobna, część odmienna, ale warto zastanowić się nad tym, jakiej drogi katolickiej chcemy na XXI wiek. Jest to tym ważniejsze, że jeśli nie zrobimy tego sami, to załatwią to za nas niemieccy katolicy. A że własny Kościół doprowadzili już oni do oplakanego stanu, to nie warto im zostawiać w rękach naszych Kościołów lokalnych. Wiem, że ten postulat jest bardzo trudny do realizacji, ale jeśli polski model katolicyzmu ma zostać zachowany (przy reformie wielu kwestii), to nie ma innej drogi. ■

Paraliż miałby się dokonać przy pomocy dyspozycyjnych wobec totalnej opozycji sędziów, głównie Sądu Najwyższego, którzy są skupieni wokół kończącej swą kadencję Pierwszej Prezes Małgorzaty Gersdorf. Wykorzystuje się do tego Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej i jego rzeczywiste lub wyimaginowane uprawnienia – mówi konstytucjonalista **PRZEMYSŁAW CZARNEK**, poseł PiS, w rozmowie z **HUBERTEM KOWALSKIM**.

SĘDZIOWIE KASTOWSCY CHCĄ MIEĆ SWOJEGO SZEFA SĄDU NAJWYŻSZEGO

► **Do niedawna sprzeciw opozycyjnych polityków i środowisk sędziowskich wobec rządu ograniczał się głównie do manifestacji ulicznych. Obecnie jednak dochodzi do prób negocjowania statusu sędziów nominowanych przez nową Krajową Radę Sądownictwa. Trudno nie odnieść wrażenia, że tym razem totalna opozycja próbuje sparaliżować państwo.**

Tak w istocie jest. Tym razem ten paraliż miałby się dokonać przy pomocy dyspozycyjnych wobec totalnej opozycji sędziów, głównie Sądu Najwyższego, którzy są skupieni wokół kończącej swą kadencję Pierwszej Prezes Małgorzaty Gersdorf. Wykorzystuje się do tego Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej i jego rzeczywiste lub wymagane uprawnienia.

► **Opozycjni sędziowie twierdzą, że TSUE w sposób jasny i precyzyjny sformułował wskazówki do oceny niezawisłości i bezstronności sądu. Czy rzeczywiście tak jest?**

Trybunał nie sformułował takich wskazówek. Jako Polska nie przekazaliśmy Unii Europejskiej prawa do organizowania nam wymiaru sprawiedliwości. W tym wyroku nie ma przesłanek, które pozwalałyby sędziom badać niezawisłość i niezależność organów państwa. W szczególności nie ma podstaw do tego, by badać niezależność innych sędziów powołanych przez prezydenta na wniosek nowej KRS.

► **Sąd Najwyższy stwierdził wprost, że rzekomo każdy sąd w Polsce ma obowiązek badać z urzędu, czy przewidziany w niedawnym wyroku TSUE standard oceny niezawisłości danego sądu został zapewniony. Czy SN ma prawo formułować tego typu nakazy?**

W żadnym wypadku, to kompletny absurd. Wyroki TSUE nie mają charakteru źródeł prawa powszechnie obowiązującego. W związku z tym nie wiążą w sposób bezwzględny, nie wiążą wszystkich sądów. Oczywiście są podstawy do tego, by przyjąć, że TSUE miał prawo stwierdzić, iż do kompetencji sądu odsyłającego, czyli Izby Pracy Sądu Najwyższego, należy zbadanie, czy Izba Dyscyplinarna ma gwarancje niezależności. Jednak dotyczy to tylko konkretnej sprawy przejścia w stan spoczynku sędziego NSA, bo tego dotyczyło pytanie prejudycjalne. To wyłącznie jednostkowa kompetencja w tej konkretnej sprawie. Zatem to orzeczenie nie ma charakteru źródła prawa i nie może stanowić podstawy do stwierdzeń Sądu Najwyższego, o których Pan wspominał. Takie działania SN to pomieszanie systemów. W Polsce mamy civil law, nie common law, zatem wyroki TSUE nie mogą być rozumiane jako precedens prawotwórczy. Z precedensa-

mi mamy do czynienia w common law w Wielkiej Brytanii czy w Stanach Zjednoczonych. Te kraje należą do anglosaskiej kultury prawnej. My natomiast mamy kontynentalną kulturę prawną i tutaj wyroki nie są źródłem prawa. Podczas orzekania sędziowie mają obowiązek opierać się przede wszystkim na ustawach, a nie na wyrokach.

► **Skoro to takie oczywiste, to dlaczego tak wielu znanych prawników brnie w kłamstwa?**

Wygląda na to, że fałszywe argumenty są instrumentem w rękach totalnej opozycji do zwalczania rządów Prawa i Sprawiedliwości. Być może liczą na sowite profity w przyszłości, kiedy opozycja przejmie władzę. Niestety nie widzę innego wytłumaczenia.

► **Izba Pracy SN uznała również, że Izba Dyscyplinarna nie jest sądem w rozumieniu prawa unijnego i krajowego. Czy rzeczywiście jedna izba ma prawo orzekać o legalności drugiej?**

Oczywiście że nie ma takiego prawa. To absurd, aberacja, zamach na praworządność. To uderzenie w polski ład konstytucyjny. Tylko tak mogę to skomentować.

► **Dlaczego kasta sędziowska tak bardzo boi się Izby Dyscyplinarnej?**

Bo sędziowie byli do tej pory zupełnie bezkarni. Dotychczasowe dyscyplinowanie miało na ogół charakter symboliczny mimo wielu przewinień i niesprawiedliwości w wyrokowaniu. Mówię o tych sędziach, którzy odezwali się od rzeczywistości i dopuszczali się rażącego łamania prawa. Ich właśnie broni kasta i im przeszkadza Izba Dyscyplinarna. Dlatego właśnie w tę Izbę uderzono najmocniej. Chodzi również o wybór nowego Pierwszego Prezesa SN. Sędziowie kastowscy nie chcą dopuścić, aby to był prezes, którego powoła prezydent na podstawie obowiązujących przepisów. Chcą zwlekać, mając nadzieję, że Andrzej Duda przegra wybory. Chcą doprowadzić do paraliżu w zakresie wyłonienia kandydata na Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego. Przepisy przez nas proponowane uzdrawiają sytuację i studzą niezdrowe emocje wokół wyboru tego kandydata.

► **Profesor Matczak, prawnik związany z totalną opozycją, twierdzi, że nowa KRS „produkuje nielegalnych sędziów”. Ale przecież są oni powoływani przez prezydenta na mocy przysługującej mu konstytucyjnej prerogatywy. Dlaczego opozycja walczy z konstytucją, której do niedawna broniła?**

Dokładnie tak to wygląda. Opozycja i jej prawnicy, tacy jak prof. Matczak, wybiórczo stosują przepisy konstytucji, nie zauważając innych przepisów i całości unormowania. A następnie wychodzą na ulice i krzyczą „Kon-sty-tu-cja”. To jest absolutna aberracja. Te środowiska mówią o konstytucji tylko wtedy, gdy jest im ona do czegoś potrzebna. Działają w taki sposób, by osiągnąć cele polityczne.

► **Opozycjini prawnicy twierdzą także, że poprzez przystąpienie do UE Polska zgodziła się na zasadę pierwszeństwa prawa unijnego, czego skutkiem miałyby być możliwości pomijania polskich przepisów. A co z polską konstytucją?**

Konstytucja jest nadrzędna we wszystkich sprawach, których nie przekazaliśmy UE, a przecież nie wszystkie przekazaliśmy. W szczególności nie przekazaliśmy kwestii organizacji wymiaru sprawiedliwości, więc ta materia pozostaje w polskiej kompetencji. Co więcej, nigdzie nie ma przepisu, który dawałby uprawnienie poszczególnym sędziom sądów krajowych do pomijania ustawy polskiej czy konstytucji tylko dlatego, że według nich dana ustawa jest niezgodna z prawem unijnym. To nie leży w ich kompetencji. Sędziowie podlegają ustawom, w konstytucji jest to wyraźnie napisane.

► **Co może zrobić sędzia, jeśli ma wątpliwość co do zgodności danego przepisu z prawem unijnym?**

Może zadać pytanie prejudycjalne do TSUE, ale nie może pomijać przepisu bez pytania prejudycjalnego. Trzeba dyscyplinować sędziów, którzy dopuszczają się takich działań. Owszem, istnieje zasada pierwszeństwa prawa unijnego w zakresie określonych kompetencji Unii i ona musi być stosowana, ale za pomocą orzecznictwa TSUE. Za pomocą odpowiedzi na pytania prejudycjalne Trybunał może orzec, czy dana regulacja jest zgodna z prawem unijnym i nakazywać państwu członkowskiemu zmianę prawa w tych fragmentach, w których jest ono niezgodne z prawem wspólnotowym. W omawianym przypadku TSUE nie nakazał takich zmian, czego opozycja nie chce przyjąć do wiadomości.

► **Totalnej opozycji nie podoba się również obecny Trybunał Konstytucyjny, dlatego niektórzy prawnicy zachęcają sędziów, aby samodzielnie stwierdzali niekonstytucyjność danego przepisu w indywidualnych sprawach, w których orzekają. Czy taka kontrola jest dopuszczalna?**

Taki rodzaj kontroli nie istnieje w polskim i europejskim systemie prawnym. Jest ona charakterystyczna dla systemu common law w Stanach Zjednoczonych, o którym wspominałem. Nasza kontrola konstytucyjności prawa jest scentralizowana i wykonuje ją tylko TK. Wie to każdy student II roku prawa. Jeżeli sędzia ma wątpliwość co do konstytucyjności przepisu prawa, ma obowiązek przekazać pytanie prawne do Trybunału Konstytucyjnego i czekać na odpowiedź. Jeśli natomiast go nie zadaje, to ma obowiązek stosowania przepisu ustawy. Nie może rozstrzygać samodzielnie o niekonstytucyjności przepisu. A to, że opozycji nie podoba się obecny Trybunał, to kwestia wyłącznie ich oceny, która nie może wywoływać żadnych skutków prawnych. TK jest i działa legalnie.

► **Jednak istnieje ryzyko, że pod wpływem polityków sędziowie będą pomijać przepisy ustaw, które uznają za niekonstytucyjne, pomijając stanowisko Trybunału Konstytucyjnego. Jakie widzi Pan zagrożenia z tym związane?**

To są działania obliczone na dalszą anarchizację życia prawnego, na dalszy chaos prawny. Stosuje się po to, by następnie zrzucić odpowiedzialność za anarchię na rządzących. Totalna opozycja i związani z nią sędziowie są gotowi manipulować normami prawnymi, rzekomo walcząc o praworządność, mimo że w istocie sami łamią prawo. Szyte grubymi nićmi.

► **Czy próba zastosowania tej „kontroli” przez poszczególne sądy rzeczywiście może doprowadzić do paraliżu państwa? Przecież istnieje ryzyko, że poszczególni sędziowie będą odmiennie oceniać konstytucyjność tych samych przepisów.**

Myszę, że uda się opanować całą tę sytuację. Totalna opozycja stworzyła przekaz, z którego ma wynikać, że przeciwko reformie są wszyscy sędziowie, ale to nieprawda. Na szczęście zdecydowana większość z nich zachowuje się tak, jak przystało na autorytet sędziowski. Nowe przepisy będą odpowiedzią na sprzeczne z polskim prawem działania niektórych sędziów.

► **Pana zdaniem uda się ostatecznie zapobiec chaosowi prawnemu i zwalczyć związki środowiska sędziowskiego z politykami?**

Jak najbardziej. To kolejny ważny etap reformy wymiaru sprawiedliwości w zakresie odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów. Polacy oczekują od nas wprowadzenia realnych zmian w sądownictwie. Musimy temu sprostać. ■

Twoje finanse codziennie

CYKL „GAZETY POLSKIEJ CODZIENNIE”

- ➔ ***Poznaj nowoczesne sposoby płatności.***
- ➔ ***Dowiedz się o produktach bankowych, oszczędnościowych i inwestycyjnych.***
- ➔ ***Przeczytaj o zasadach bezpiecznego korzystania z usług instytucji finansowych.***

**Szukaj w papierowych wydaniach dziennika
oraz na stronie gpcodziennie.pl/nbp**

NBP

Narodowy Bank Polski

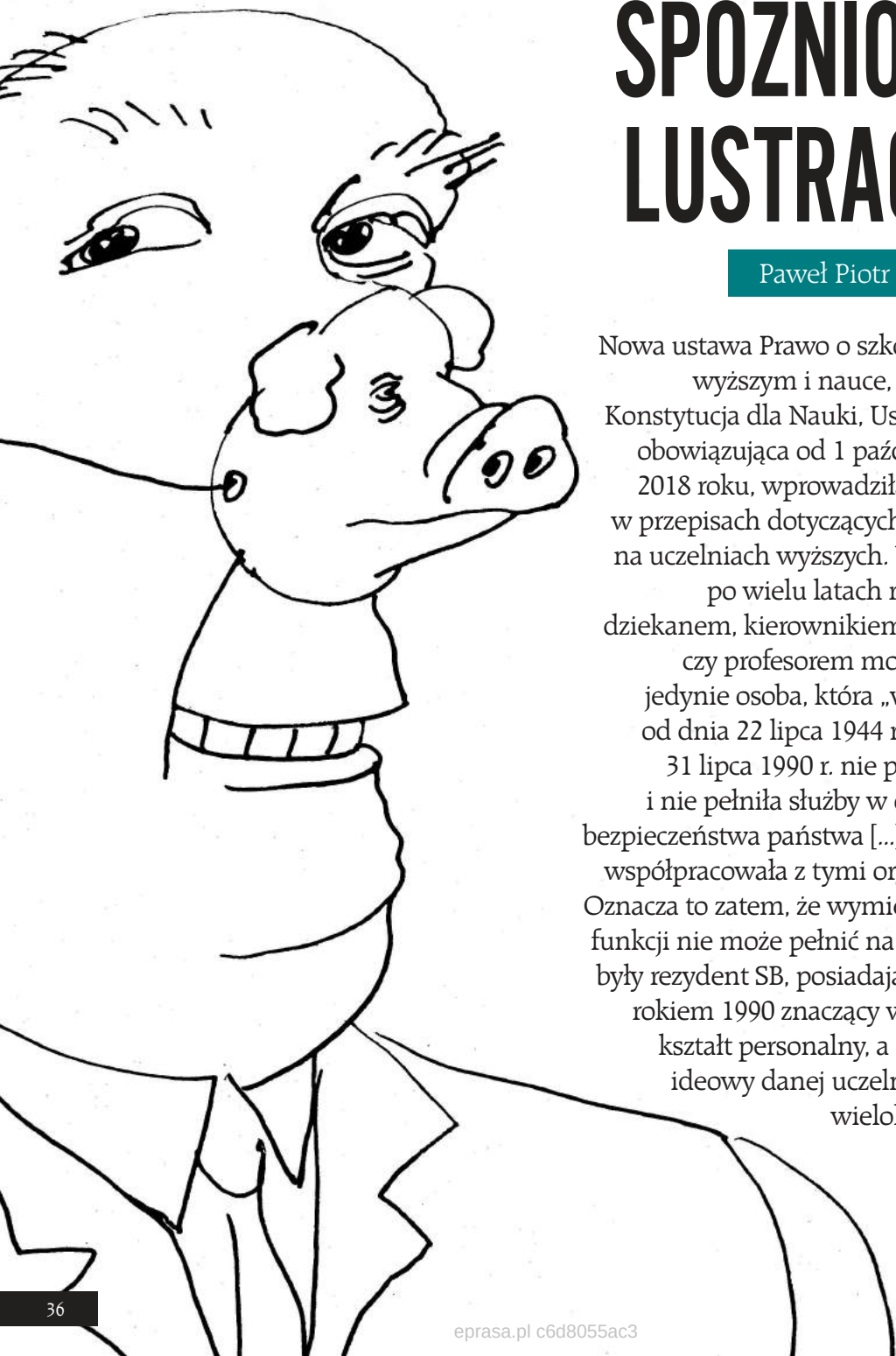
Projekt realizowany
z Narodowym Bankiem Polskim
w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl/c6d8055ac3

SPÓŹNIONA LUSTRACJA

Paweł Piotr Warot

Nowa ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, czyli tzw. Konstytucja dla Nauki, Ustawa 2.0, obowiązująca od 1 października 2018 roku, wprowadziła zmiany w przepisach dotyczących lustracji na uczelniach wyższych. W końcu po wielu latach rektorem, dziekanem, kierownikiem katedry czy profesorem może zostać jedynie osoba, która „w okresie od dnia 22 lipca 1944 r. do dnia 31 lipca 1990 r. nie pracowała i nie pełniła służby w organach bezpieczeństwa państwa [...] oraz nie współpracowała z tymi organami”. Oznacza to zatem, że wymienionych funkcji nie może pełnić na przykład były rezydent SB, posiadający przed rokiem 1990 znaczący wpływ na kształt personalny, a co gorsza ideowy danej uczelni, czy też wieloletni TW.



Ustawa ministra Jarosława Gowina, przez jednych chwalona, przez innych krytykowana, właśnie w punkcie odnoszącym się do lustracji pracowników funkcyjnych uczelni posiada bezspornie atuty, choć postawienie legistycznej tamy w obejmowaniu uniwersyteckich posad przez komunistyczną agenturę spóźnione jest o wiele lat. Minęło 30 lat od zakończenia PRL, minęły lata dziewięćdziesiąte i dwutysięczne, tak istotne dla polskiego szkolnictwa wyższego, za chwilę rozpoczyna się trzecia dekada XXI wieku. Oczywiście tysiące osobowych źródeł informacji SB jest jeszcze obecnych na uczelniach, jednakże znaczna część osób bezpośrednio uwikłanych w kontakty z bezpieczeńką nie żyje lub przeszła już na „zasłużone” emerytury. Jednak jak coraz częściej się przekonujemy, zdążyli oni wychować swoich następców wyznających „odpowiednie” ideologie i zapatrywania polityczne.

Większość wpływowych przedstawicieli środowiska naukowego jest zdania, że lustracja na uczelniach już się dokonała i nie ma do czego wracać. Okres rozliczeń już się zakończył. Poprzednia obowiązująca od 2006 roku ustawa lustracyjna została w znacznym stopniu złagodzona przez ówczesny Trybunał Konstytucyjny. Byłem świadkiem tego, jak przedstawiciele środowisk naukowych wznosili toasty za decyzję trybunału. Dotychczasowa ustawa nie zakazywała pełnienia funkcji kierowniczych na uczelniach osobom, które ujawniły fakt pracy lub współpracy z UB, SB. Dla dobrego samopoczucia uczonych, kiedy przyznali się do współpracy lub pracy w bezpieczeńku, nie było to nawet upubliczniane. Nawet ci, którzy skłamáli w oświadczeniach lustracyjnych i prawomocnymi, wyrokami sądów zostali uznani za kłamców lustracyjnych, nie tracili pracy na uczelniach, a jedynie przez krótki, symboliczny okres nie mogli pełnić funkcji kierowniczych. Wszystko to dowodzi, że dotychczasowy zapis dotyczący lustracji był niewystarczający, a nowa ustawa lustracyjna może dotyczyć nawet kilku tysięcy osób, które podjęły się współpracy z SB. Przez dziesięciolecie od upadku PRL m.in. za wychowanie akademickie nowej polskiej elity odpowiadały w znacznym stopniu osoby uwikłane w komunistyczną przeszłość, nierzadko powiązane z byłą bezpieczeńką.

Dość dobrze znamy przypadki uwikłania we współpracę z SB profesorów ze stołecznego świata nauki. Jak jednak przedstawia się sytuacja w innych ośrodkach akademickich? Jako przykład podajmy Olsztyn.

► Autor resortowych podręczników

Stanisław Pikulski – dziekan Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, który zmarł w 2016 roku. Na stronie uczelni widnieje nota, iż odszedł „zasłużony profesor, wybitny uczony oraz wychowawca wielu pokoleń młodzieży akademickiej”. Od

1998 roku Pikulski wykładał w Instytucie Prawa i Administracji w WSP w Olsztynie, która w 1999 roku weszła w skład UWM. Od 2001 roku wielokrotnie był dziekanem Wydziału Prawa i Administracji tej uczelni. Przez wiele lat pełnił funkcję rektora na uczelniach prywatnych – w WSP w Białymstoku oraz w Wyższej Szkole Euroregionalnej (zwanej powszechnie „Sorboną”) w Józefowie. Oficjalny biogram wspomina o tym, iż pracę naukowo-badawczą rozpoczynał w Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie, w Instytucie Kryminalistyki i Kryminologii, gdzie pełnił funkcję kierownika Zakładu Przestępczości Gospodarczej. Następnie na Wydziale Bezpieczeństwa Państwa, gdzie pełnił funkcję prodziekana ds. naukowych, „Autorytet z zakresu prawa karnego”, „pierwszy dziekan”, „wyróżniony wieloma odznaczeniami państwowymi, oddany przyjaciel współpracowników i studentów” – w tym oficjalnym biogramie brakuje jednak istotnych wzmianek mówiących o tym, iż Pikulski był wysoko postawionym w hierarchii bezpiekniackiej funkcjonariuszem: podpułkownikiem, w latach 80. kierownikiem w Zakładzie V Akademii Spraw Wewnętrznych, a następnie zastępcą Komendanta Wyższej Szkoły Oficerskiej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie. Co więcej, od 16 listopada 1966 roku służył w MO, a następnie na własną prośbę od 31 sierpnia 1971 roku – na co w dokumentacji zwrócona jest uwaga – przeniesiony został do Biura Śledczego MSW. W czerwcu 1974 roku przyczynił się do aresztowania Mariana Błotnego podejrzanego o szpiegostwo na rzecz wywiadu amerykańskiego, za co został wynagrodzony.

Pikulski jednak przede wszystkim był autorem resortowych podręczników SB. Już same ich tytuły wiele mogą nam powiedzieć o autorze. Pierwsza publikacja, pochodząca z 1985 roku, nosi tytuł „Podstawy prawne, pojęcia i zasady pracy operacyjnej”, druga, z roku 1987, dotyczy zagadnień „Przestępstwa szpiegostwa w teorii i w praktyce”. Dość powiedzieć, że wydaną kilka lat temu książkę znanego prof. Filipa Musiała, „Podręcznik bezpieki”, poprzedza motto właśnie samego Pikulskiego, brzmiące: „Gdy zabraknie środków prawnych w działaniu SB, to sięgajć należy po środki poza prawne...”. Oto inny z cytatów z publikacji Pikulskiego odnoszący się do „Solidarności”: „Obserwacja wskazuje, że wewnętrznym sytuacjom kryzysowym towarzyszą zwykle duże rozprężenie społeczne i zachwianie zaufania społecznego do porządku prawnego i organów państwowych”. To nie koniec – dalej argumentuje, iż „w takich sytuacjach występują także sprzyjające okoliczności do uaktywnienia się przestępczych środowisk oraz sił antypaństwowych, które zapowiadając atrakcyjne programy odnowy, dążą do pozyskania zaufania niezadowolonych rzesz obywateli, a odpowiednio manipulując ruchami społecznymi, próbują zmateralizować swoje społeczne założenia. Przypomnijmy, że w okresie od sierpnia 1980 r. do 13 grudnia 1981 r.

w PRL intensywna działalność sił antysocjalistycznych doprowadziła do sytuacji zbliżonej do kontrewolucji...". Samą działalność „S” określał Pikulski mianem „zjawisk patologii społecznej stanowiących znaczną uciążliwość w funkcjonowaniu państwa i w dużej mierze dezorganizującą zasady współżycia społecznego”. Pisał też dalej: „Można je porównać do niebezpiecznych chorób niszczących żywe organizmy”. Studenci, poznajcie pełny wykaz publikacji swoich profesorów!

► Dyrektor instytutu

Przypadek współpracy z SB prof. Zoi Jaroszewicz-Piersławcew, jeszcze nie tak dawno dyrektor Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Humanistycznego UWM w Olsztynie, jest charakterystyczny dla osób, których związki z bezpieczeństwem, po okresie intensywniej współpracy, musiały zmienić charakter z powodu wstąpienia do partii komunistycznej. Jaroszewicz-Piersławcew, była aktywistka Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, według dokumentów została zwerbowana do współpracy z SB podczas studiów w WSP w Olsztynie. Współpracowała stosunkowo krótko, bo od 22 kwietnia 1978 do lipca 1979 roku. Pozyskana do współpracy została w celu zapewnienia dopływu informacji na temat własnej uczelni, którą bezpieka inwigilowała w ramach niezachowanej sprawy obiektowej krypt. „Uczelnia N”. Jako TW „Ewa” miała informować o „wrogich faktach” i „nastrojach”. Po przeprowadzeniu wszechstronnego rozpoznania jej osoby, „bez tremy” wyraziła zgodę na współpracę z SB: „dobrowolnie i bez sprzeciwu napisała zobowiązanie o współpracy”. Informowała w tym czasie o kolegach ze studiów. Otrzymywała zadania obserwowania konkretnych osób. Rozmawiała z esbekiem na temat „elementów antysocjalistycznych”, zapewniając, że nie ma nic przeciw instytucjom, których zajęcie polega na zwalczaniu takowych na uczelni. Z przykrością zauważała zbyt małe upartyjnienie młodzieży akademickiej oraz jej zbyt słabe „polityczno-społeczne zaangażowanie”. W 1979 roku ukończyła studia i wstąpiła do PZPR. Grzegorz Okoński – jej oficer prowadzący – uznał, iż w przypadku zatrudnienia „Ewy” w WSP planuje się utrzymywanie z nią dalszej łączności, tym razem na zasadzie kontaktu operacyjnego.

Z niezwykle osobliwego Leksykonu Kultury Warmii i Mazur dowiedzieć się możemy, że prof. Jaroszewicz-Piersławcew w latach 2002–2005 zasiadała w Senacie UWM w Olsztynie. Od 2003 roku pełniła funkcję zastępcy dyrektora ds. naukowych Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Humanistycznego UWM, a w 2005 roku została dyrektorem Instytutu, posiadając oddatą znaczący wpływ na działalność placówki kształcącej wiedzę, postawę, a kto wie czy i nie ducha przyszłych humanistów.

► Dziekan teologii

Jak wynika z przywołanego już Leksykonu Kultury Warmii i Mazur, ks. Cyprian Rogowski w 2000 roku rozpoczął pracę jako prof. nadzw. na Wydziale Teologii UWM. Od 2000 roku kierował Katedrą Katechetyki i Pedagogiki Religii. W latach 2002–2008 był dziekanem Wydziału Teologii, członkiem Senatu uczelni, m.in. członkiem Komisji ds. Kadrowych. W 2010 roku wydawało się, iż zakończył pracę na olsztyńskim uniwersytecie, jednak w 2011 roku ponownie ją rozpoczął, ale... na Wydziale Turystyki. Z leksykonu dowiedzieć się jeszcze możemy, iż ks. prof. Rogowski jest członkiem rad naukowych wielu czasopism, m.in.: „Pedagogia Chrystiana”. W swoich badaniach skupiać się ma m.in. na koncepcjach przekazu wiary we współczesnym świecie, miejscu religii w szkole oraz dydaktyce symbolu. Rogowski jest lub był członkiem licznych instytucji oraz towarzystw, m.in. Komitetu Nauk Teologicznych PAN (w latach 2003–2006) oraz Sekcji Teologicznej Konferencji Episkopatu Polski.

Ten sam ks. prof. Rogowski w 2010 roku uznany został przez sąd kłamcą lustracyjnym. Według dokumentów Rogowski od 1982 roku przez osiem lat był tajnym, świadomym współpracownikiem SB. Działając pod pseudonimem „Kamil”, dostarczał informacje na temat duchownych, życia kurii olsztyńskiej, a także Polonii z Włoch i Niemiec.

Wydaje się, że spośród przyczyn, które spowodowały, iż Rogowski zgodził się podjąć współpracę z bezpieczeństwem, największe znaczenie miały przede wszystkim jego chorobliwe ambicje oraz chęć osiągnięcia za wszelką cenę zamierzonych celów dotyczących kariery zawodowej. Jak podkreślała to SB: „ceni pieniądze”. Policja polityczna wykorzystała jego konflikt z przełożonymi, którzy na początku lat 80. odmawiali mu zgody na wyjazd na studia doktorskie do Niemiec. Natomiast SB przeciwnie – umożliwiała mu wyjazd, uznając, iż jego współpraca jest perspektywiczna, gdyż w przyszłości może piastować ważne stanowisko w Kościele, i pośrednio się nie pomylili. Rogowski w czasie współpracy krytykował postawę ludzi „S”, uznając, iż była ona dość naiwna. Chwalił ustrój Polski Ludowej. O Polonii mówił, iż żałuje swojej ucieczki z kraju. Opowiadał o ordynariuszu diecezji bp. Janie Obląku. Za wszelką cenę chciał, „aby jego kontakty [z SB] były dyskretne, gdyż mogłoby to mu zaszkodzić”. Narzekał, że praca na parafii nie pozwala na poszerzenie swojej wiedzy i stanowi jednocześnie najniższy szczebel pracy w Kościele”. Informował o chorobach duchownych i ich skłonnościach alkoholowych. O konfliktach na linii kuria-duchowieństwo „dołowe”. Dostarczał SB wiedzy o nastrojach wśród parafian, co stanowi swego rodzaju osobliwy donos na wiernych. Mówił, odnosząc się do osoby ks. Jerzego Popiełuszki, iż ksiądz nie może uprawiać polityki. Informował też SB o nastrojach po zabójstwie Kapelana „S”.

► Rektor akademii

Andrzej Hopfer – prof. nauk technicznych, specjalista z zakresu geodezji, gospodarki nieruchomościami w tym wyceny nieruchomości. Brat znanego z lat 80. dziennikarza Tomasza Hopfera. W latach 1981–1984, a także 1990–1996 rektor Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Prezydent Polskiej Federacji Stowarzyszeń Rzeczników Majątkowych. Od 2003 roku rektor Wyższej Szkoły Inżynierii Gospodarki w Słupsku. Od 2013 roku rektor w Wyższej Szkole Gospodarowania Nieruchomościami w Warszawie. Przedstawiciel Polski w komisji Międzynarodowej Federacji Geodetów, członek Państwowej Komisji Kwalifikacyjnej do spraw uprawnień i licencji zawodowych. Laureat licznych nagród ministerialnych. Doktor honoris causa Uniwersytetu w Sopron oraz Uniwersytetu Rolniczego im. H. Kołłątaja w Krakowie. Honorowy obywatel Olsztyna. Autor ekspertyz, opinii oraz recenzji i opracowań dla ministerstw, Sejmu oraz polskich i zagranicznych uczelni. Za swoją działalność akademicką odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Tyle oficjalnie. A nieoficjalnie: według dokumentów Andrzeja Hopfera w latach 1973–1985 był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Prezes”. Profesor został pozyskany do współpracy przez Wydział II olsztyńskiej SB przy okazji ubiegania się o wyjazd do Wielkiej Brytanii, w ramach stypendium British Council. Wyjeżdżając do Anglii, pełnił jednak dwojaką rolę, śledząc m.in. działalność BC na zlecenie perełowskiego wywiadu. Do jego zadań należało też dostarczanie informacji o wyjazdach za granicę naukowców ART i przyjazdach cudzoziemców na teren Kortowa. Hopferowi jako TW bezpieczeństwa bez przeszkód umożliwiała kolejne wyjazdy zagranicę. SB oceniała: „Przekazane przez niego informacje były przydatne i w znacznym stopniu pogłębiały posiadane przez nas [SB] rozpoznanie”. Dlatego nie dziwi fakt, że po wprowadzeniu stanu wojennego Hopfer, będąc członkiem Rady Krajowej PRON, wykazał względem władz – jak zapisali esbecy – „pryncypialnie lojalną postawę”.

► Guru dziennikarstwa

Na koniec przykład osoby, która nie podjęła się tajnej współpracy z policją polityczną PRL, której nie obejmie żadna ustawa lustracyjna, gdyż redaktor Wojciech Ogrodziński, o którym mowa, w odróżnieniu od wymienionych powyżej akademików, jawnie swoją działalnością wspierał trwanie systemu komunistycznego w Polsce. Niestety już w III RP przez lata miał on okazję prowadzić zajęcia z adeptami dziennikarstwa, wpływając, jak możemy przypuszczać, na kształtowanie postaw młodych ludzi.

Ogrodzińskiego wiele osób nad Łyną uważa za autorzyet miejscowego dziennikarstwa. To długoletni pracow-

nik Polskiego Radia Olsztyn, autor licznych reportaży, felietonów i słuchowisk oraz... właśnie wykładowca akademicki. W jego oficjalnej biografii, zamieszczonej na stronach tzw. Leksykonu Kultury Warmii i Mazur, znajduje się informacja, iż „na początku lat osiemdziesiątych objął funkcję zastępcy redaktora naczelnego olsztyńskiej rozgłośni i sprawował ją do 1991 r. W latach 2001–2006 był wiceprezesem zarządu RO”.

Niestety dla wielu dawnych działaczy opozycji antykomunistycznej, m.in. członków „S” i NZS, obecność Ogrodzińskiego w mediach i życiu publicznym również po 1989 roku kojarzy się – i całkiem słusznie – z czasami realnego socjalizmu. Jest przez nich postrzegany jako relik minionej epoki. Ogrodziński po okresie transformacji bez problemu, czy – jak byśmy inaczej powiedzieli – bez strat, odnalazł się w realiach Polski niepodległej.

Ogrodziński w latach 1963–1967 należał do ZMS, a następnie udzielał się w SZSP. Od 1974 roku działał w ateistycznym Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej i Towarzystwie Wiedzy Powszechnej. Z PZPR Ogrodziński związał się w 1977 roku, przy czym od 1979 roku sprawował funkcję II sekretarza POP w Radiu Olsztyn. Żadnej z tych informacji nie ma w jakimkolwiek oficjalnym leksykonie.

Władze uważały, że Ogrodziński ma wszelkie kwalifikacje do objęcia kierowniczego stanowiska w Radiu. „W niebanalny sposób transponuje problemy polityczne, ideologiczne, wychowawcze na komunikatywny język” – pisali funkcjonariusze SB w charakterystyce Ogrodzińskiego i dodawali: „Ideowo i politycznie ukształtowany, dbający o właściwe pryncypia programowe”. Od 12 października 1981 roku jako kierownik redakcji publicystyczno-informacyjnej został skierowany przez SB „do wyk[onywania] prac tajno-obronnych”. I nie trzeba było czekać długo, by te przeszkolenia miały okazać się przydatne. Po wprowadzeniu stanu wojennego Ogrodziński pomyślnie przeszedł 12 stycznia 1982 roku weryfikację specjalnej komisji, która wystąpiła do kierownictwa Radiokomitetu o powołanie tego redaktora na zastępcę redaktora naczelnego Radia. Redaktor Wiesław Gawinek, który został usunięty z pracy w Komitecie Radia i Telewizji w Olsztynie, pisząc o takich dziennikarzach jak Ogrodziński, nazwał ich „nominatami stanu wojennego”.

Zapisy lustracyjne nowej ustawy o szkolnictwie wyższym wyeliminują ze stanowisk kierowniczych wyższych uczelni osoby związane z SB, ale nie wyeliminują z uczelni ich całkiem. To i tak postęp. Co jednak z wykładowcami pokroju redaktora Ogrodzińskiego, którego nie obejmą żadne zapisy lustracyjne? Zatem w jaki sposób chcemy zdekomunizować polskie uczelnie? ■

dr Paweł Piotr Warot – naczelnik Biura Edukacji Narodowej IPN O. Białystok



Małgorzata Matuszak



Stare stereotypy wciąż rzucają cienie

Według danych GUS za drugi kwartał 2019 roku współczynnik aktywności zawodowej osób niepełnosprawnych w wieku produkcyjnym wynosi 29,6 procenta. To niewiele.

Dlaczego tak się dzieje?

Na podjęcie aktywności zawodowej wielu niepełnosprawnym nie pozwala stan ich choroby. Istnieje jednak spora ich grupa, która pracować by mogła, lecz tego nie robi. Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele, wypływają one z wielu ograniczeń tkwiących zarówno w samych niepełnosprawnych, jak i w ich otoczeniu. Można to zmienić, jednak trudno jest od razu nadrobić zaległości, które narastały przez długi czas. Wiele w tym względzie już uległo zmianie, ale wciąż sporo pozostało do zrobienia.

► Zagrożeni wykluczeniem

Niepełnosprawni są grupą ludzi w szczególnie sposób narażoną na wykluczenie społeczne. Zgodnie z definicjami przyjętymi w Narodowej Strategii Integracji Społecznej przyczynia się ono do ograniczenia możliwości uczestnictwa, wpływania i korzystania z podstawowych instytucji publicznych i rynków, które powinny być dostępne dla wszystkich, jak również utrudnia zgodnie z prawem pełnienie ról społecznych, korzystanie z dóbr publicznych i infrastruktury społecznej, gromadzenie zasobów i zdobywanie dochodów w godny sposób.

Niepełnosprawność ma wiele postaci, trudno jest ją jednoznacznie zdefiniować. Jeśli chodzi o analizę zatrudnienia osób z niepełnosprawnością, możemy odróżnić grupę osób z niepełnosprawnością prawną i tylko biologiczną. Pierwsza z nich to osoby, które posiadają odpowiednie, aktualne orzeczenie wydane przez organ do tego uprawniony, druga to osoby, które nie posiadają orzeczenia, ale mają (odczuwają) całkowicie lub poważnie ograniczoną zdolność do wykonywania czynności podstawowych uzależnioną od wieku danej osoby.

Jedno jest jednak pewne – im niepełnosprawność większa, tym większe wiąże się z nią ryzyko wykluczenia społecznego. Związane jest ono nie tylko ze zdrowotną sytuacją osoby z niepełnosprawnością, lecz także ze stereotypami, które niestety wciąż pokutują w naszym społeczeństwie. Oczywiście w porównaniu z tym, jak sytuacja wyglądała jeszcze stosunkowo niedawno, dzisiaj jest już dużo lepiej, wciąż jednak możemy spotkać się z niezrozumieniem osób niepełnosprawnych, ich sytuacji i potrzeb. Zakłopotanie, litość, żal, nadopiekiliwość, ale też lekceważenie, a nawet pogarda – niestety tego doświadczają ludzie niepełnosprawni. Społeczeństwo ich wyklucza, oni więc wykluczają się ze społeczeństwa. Tworzy się błędne koło.

Jednym ze sposobów wyjścia z tego zakłętego kręgu jest większa otwartość rynku pracy dla ludzi z niepełnosprawnościami. Aktywność zawodowa ludzi z dysfunkcjami jest niezmiernie ważnym, za-

sadniczym wręcz sposobem na poprawę ich wizerunku społecznego, w sposób istotny oddziałującym na zmianę postrzegania osób niepełnosprawnych przez otoczenie. Na osobę niepełnosprawną przestaje się wówczas patrzeć przez pryzmat jej niepełnej sprawności, ciała czy intelektu, lecz zaczyna dostrzegać się to, co potrafi, jej uzdolnienia i możliwości, a nie braki. Patrzy się na nią jak na osobę mającą takie same potrzeby, prawa i obowiązki jak osoba w pełni sprawne.

► Nie tylko zarobek

Praca dla osoby niepełnosprawnej nie jest więc tylko źródłem dochodu, sposobem na zarobienie tak bardzo jej potrzebnych środków, choć i ten aspekt jest niezwykle ważny. Koszty życia z niepełnosprawnością są powiększone, praca zaś pomaga w zaspokojeniu potrzeb egzystencjalnych i daje niezwykle ważne poczucie większej niezależności ekonomicznej. Możliwość pracy oznacza coś o wiele większego – daje satysfakcję, pozwala czuć się potrzebnym, „takim samym jak inni”, zwiększa poczucie własnej wartości i stabilizuje samoocenę. Wzmacnia poczucie sensu życia i reguluje aktywność osoby niepełnosprawnej, zwłaszcza samotnej.

Praca daje możliwość większego usamodzielnienia się, zwiększenia niezależności w życiu osobistym i społecznym oraz poczucia świadomego kierowania własnym życiem. Stanowi również wypełnienie czasu wolnego, którego nadmiar jest dla osoby niepełnosprawnej niekiedy aż przytłaczający. Uczy strategii rozwiązywania problemów, radzenia sobie z trudnymi sytuacjami życiowymi, bycia z innymi, w grupie, w społeczeństwie. Przyczynia się również do poszerzenia grona znajomych i przyjaciół.

Musi być oczywiście dobrana do stanu zdrowia danej osoby, jej predyspozycji, zdolności i kompetencji, kiedy jednak tak się dzieje, pomaga odzyskać wiarę w siebie, utwierdzić się w przekonaniu, że można bez lęku i wstydu żyć aktywnie w swoim środowisku. To niezwykle ważne. Niepełnosprawny człowiek zamknięty w czterech ścianach swego mieszkania, bez kontaktu z ludźmi, utrwała swe stany lękowe i rezygnacyjne, utwierdza się w beznadziei, a często również stymuluje postawy agresywne i roszczeniowe, blokuje postęp integracji.

Bezrobotny niepełnosprawny w dwójnasób odczuwa wykluczenie społeczne. Niestety zakres problemów, z jakimi borykają się osoby niepełnosprawne na rynku pracy, jest zróżnicowany i szeroki, odnoszący się zarówno do samych osób niepełnosprawnych, jak i pracodawców, a także szeroko rozumianego otoczenia.

► Barier istnieje wiele

Do głównych problemów leżących po stronie niepełnosprawnych – według raportu „Analiza sytuacji osób niepełnosprawnych w Polsce i Unii Europejskiej”, przygotowanego w ramach projektu „Zatrudnienie osób niepełnosprawnych – perspektywy wzrostu” – zaliczyć można: 1. niski poziom aktywności zawodowej i związana z tym wysoką stopę bezrobocia; 2. izolację społeczną, będącą konsekwencją braku samodzielności i konieczność zapewnienia nieustannej pomocy ze strony innych osób, w tym szczególnie członków rodzin osób niepełnosprawnych, a także istnienie barier mentalnych najbliższego otoczenia osób niepełnosprawnych, skutkujących wycofaniem z aktywności społecznej i zawodowej; 3. problemy związane z utrzymaniem zdobytego zatrudnienia, co ma związek także z niewystarczającymi możliwościami podnoszenia kwalifikacji.

Wśród głównych barier po stronie pracodawców wyróżnić można: 1. negatywne postrzeganie osób niepełnosprawnych przez przedstawicieli wielu instytucji publicznych i przedsiębiorców; 2. brak przygotowania pracodawców funkcjonujących na otwartym rynku pracy do zatrudniania osób niepełnosprawnych; 3. stereotypy i uprzedzenia pracodawców związane z postrzeganiem takich osób jako mniej wydajnych, obarczonych ryzykiem częstych zwolnień chorobowych, większym narażeniem na wypadki; 4. obawy pracodawców związane z ponoszeniem zbyt dużych kosztów zatrudnienia i świadczenia pracy przez osoby niepełnosprawne.

Istnieje też wiele innych czynników, które utrudniają, a nawet uniemożliwiają wręcz podjęcie pracy przez osoby niepełnosprawne. Wypływają one z barier funkcjonalnych, przede wszystkim architektonicznych, transportowych, technicznych i w komunikowaniu się, które utrudniają życie codzienne, cóż dopiero mówić o życiu zawodowym. Jest to szczególnie istotne w małych miejscowościach i na wsiach, gdzie bariery te skutecznie ograniczają możliwość przemieszczania się. Zakup samochodu i utrzymanie go to dla osoby niepełnosprawnej wydatek przekraczający najczęściej jej możliwości finansowe, niepełnosprawność niektórych osób wyklucza zaś w ogóle kierowanie autem.

► Wykształcenie to podstawa

Wykształcenie to niezwykle ważna sprawa, również dla osób niepełnosprawnych, których możliwości wykonywania niektórych prac są ograniczone, dlatego ich edukacyjna droga musi być w szczególnie staranny sposób przemyślana i dostosowana z jednej strony do ich stanu zdrowia, z drugiej do możliwości odnalezienia się później na rynku pracy. Niestety wskaźnik wykształcenia osób niepełnosprawnych jest wciąż bardzo niski. Dlaczego tak się dzieje? Można w tym miejscu wymienić wiele czynników: brak chęci samych osób niepełnosprawnych, które

często nie wierzą w to, że nauka może cokolwiek w ich życiu zmienić, z braku odpowiednich kierunków szkół, odpowiednio wyposażonych i dostosowanych do potrzeb osób z niepełnosprawnościami.

Rozważania na temat niskiego poziomu wykształcenia osób niepełnosprawnych zostały zaprezentowane w raporcie PFRON – „Badania wpływu kierunku i poziomu wykształcenia na aktywność zawodową osób niepełnosprawnych”. Wynika z niego, że podstawowymi problemami, z którymi borykają się osoby niepełnosprawne, są: 1. brak wiary, iż edukacja poprawi sytuację na rynku pracy; 2. poczucie predestynacji do wykonywania gorszych zawodów; 3. ograniczenia finansowe i zdrowotne; 4. nieprawidłowa postawa opiekunów; 5. brak wiedzy odnośnie do możliwości kształcenia; 6. brak potrzeby kształcenia się; 7. strach będący wynikiem wcześniejszych negatywnych doświadczeń na tym polu.

Według tego raportu zaledwie około 5 proc. osób niepełnosprawnych posiada wykształcenie wyższe. Tak niski wskaźnik wynika m.in. z faktycznych barier utrudniających niepełnosprawnym osobom zdobycie wykształcenia (kwestie materialne, problemy komunikacyjne), ale też z braku wiary w możliwość przełamania tych barier. 32 procent osób ze znacznym stopniem niepełnosprawności i niepełnosprawnych od urodzenia przyznaje, że byli źle traktowani i dyskryminowani w szkole publicznej, 46 proc. nie wie zaś, gdzie się zgłosić, by podnieść swoje kwalifikacje zawodowe. Wielu nie wie, gdzie są miejsca, w których organizuje się kursy, a nawet że takowe w ogóle istnieją. 20 procent osób z niepełnosprawnością ruchową nie chce w ogóle podejmować dalszej nauki. Osoby niepełnosprawne nie rozumieją, jak ważna jest dla nich edukacja, nauka pożytecznego dla nich zawodu, dostosowanego do wymagań rynku pracy.

► Zmiany na lepsze

Na szczęście to się zmienia, młodzi ludzie niepełnosprawni coraz lepiej rozumieją, jak bardzo wykształcenie jest im potrzebne w ich codziennej egzystencji i rozwoju osobistym. I to niejedynie zmiany – wiele się też już zmieniło w aktach prawnych i mentalności ludzkiej. Pracodawcy również coraz przychylniej patrzą na osoby niepełnosprawne, zwłaszcza że wiążą się z tym – słusznie zresztą – określone profity. Powstaje wiele projektów aktywizujących zawodowo osoby z niepełnosprawnościami, a także miejsca, w których mogą pracować. Oprócz „otwartego” rynku pracy istnieją jednak zakłady pracy chronionej i spółdzielnie socjalne, w których zatrudnienie znaleźć mogą nie tylko osoby niepełnosprawne, lecz także inne zagrożone wykluczeniem społecznym. Do zrobienia wciąż jest dużo, w porównaniu jednak z tym, jak sytuacja wyglądała choćby dziesięć lat temu, można mieć nadzieję, że to nie koniec. Że będzie jeszcze lepiej. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... prokrastynacja

Termin „prokrastynacja” pochodzi od łacińskiego słowa „procrastinatio” oznaczającego „odroczenie, zwłokę, odkładanie na później, opóźnianie”. Pojęciem tym określa się tendencję, nazywaną nową chorobą cywilizacyjną, „zmorą” XXI wieku, polegającą na chronicznej tendencji odwlekania tego, co i tak musimy zrobić, będąc równocześnie świadomymi konsekwencji, jakie z tego wypływają.

Czy nie jest to tylko nowa nazwa dla starego problemu, z którym od zawsze borykał się człowiek? Bardziej „naukowym” zamiennikiem dla zwykłego lenistwa? Lenistwo i prokrastynacja mają wiele cech wspólnych, jednak sporo je też różni. To co je łączy, to niechęć do działania i brak motywacji, prokrastynatorzy jednak, w odróżnieniu od osób leniwych, aspirują do osiągnięć i mają intencje ukończenia danego zadania, nawet jeśli wiąże się to z kosztami, takimi jak stres, poczucie winy i innymi negatywnymi emocjami. Innymi słowy, ludzie leniwi nie lubią pracy i jest im z tym dobrze, „odwlekanie” zaś odczuwają dyskomfort związany ze swym postępowaniem. Chcieliby się zmienić, mają jednak trudności w realizacji swych zamierzeń.

Dlaczego tak się dzieje? Czym powodowana jest prokrastynacja? Jest ona procesem o wiele bardziej skomplikowanym niż lenistwo, u jej podstaw znajdują się zaś może wiele przyczyn. Pierwszą z nich jest lęk przed porażką lub sukcesem. Część psychologów twierdzi, że za prokrastynacją stoi wychowanie – wysokie wymagania stawiane od najmłodszych lat i wmaiwianie, że trzeba zawsze być najlepszym w tym, co się robi. Ludzie, którzy tego doświadczyli, odkładają daną czynność, gdyż daje im to złudne poczucie bezpieczeństwa, ochronę przed ewentualną porażką. Inni ludzie boją się odpowiedzialności i oczekiwań związanych z sukcesem, chronicznie odwołując się do daną czynność, chronią się i uciekają przed ewentualnym powodzeniem i związanymi z nim konsekwencjami. Drugą przyczyną zwlekania może być potrzeba stymulacji. Niektórzy ludzie

pracują najlepiej pod wpływem stresu i silnych wrażeń związanych z pracą „na ostatnią chwilę”, odwołując się do wykonywania danej czynności, by dostarczyć sobie odpowiedniej dawki emocji. Za trzecią przyczynę prokrastynacji uważa się perfekcjonizm – jeśli ktoś wymaga od siebie perfekcyjnego wykonania jakiegoś zadania, wówczas tak szczegółowo i dokładnie przygotowuje się do niego, że na samo wykonanie go w sposób, który by go satysfakcjonował, po prostu brakuje mu już czasu. Po czwarte, za chronicznym odwlekaniami mogą stać też geny, na co wskazują niektóre badania. Niewykluczone, że przekładanie na później wiąże się z ograniczaniem impulsywności, która w zamierzonych czasach pomagała nam z jednej strony przetrwać, z drugiej zaś doprowadzała do złych decyzji.

Odwlekanie pracy w czasie dotyczy i dotyka nas wszystkich, w mniejszym bądź większym stopniu. Nie każda jednak tego rodzaju zwłoka jest w istocie prokrastynacją. Do odkładania na później czynności, które winniśmy wykonać, przyznaje się 80 proc. naszego społeczeństwa, ale „tylko” co czwarta osoba cierpi rzeczywiście na prokrastynację. Należy podkreślić pięciokrotny wzrost, który nastąpił w tym względzie w ciągu ostatnich 30 lat. Tendencja ta z pewnością będzie się utrzymywać, współczesność bowiem wzmacnia w nas pokusy odkładania czegoś na później. Współczesne technologie nie są jednak jedynymi czynnikami, które możemy za to zjawisko winić. Żyjemy w ciągłym pędzie, w którym łatwo się zatracić. Uciekamy więc, szukamy szybkich nagród, co stanowi doskonałe podłoże dla prokrastynacji. Ona nie jest problemem z zarządzaniem czasem, ale z emocjami, z którymi nie potrafimy sobie poradzić.

Mamy dziś również ogromny problem w definiowaniu prawdziwych swoich celów i patrzeniu na siebie jako całość. Nie czujemy związku pomiędzy sobą w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Zapominamy, że winniśmy patrzeć na swoje zamierzenia, na każde płaszczyźnie swojego życia, również zawodowe, w kontekście szerszej hierarchii wartości w naszym życiu. ■



Piotr Lisiewicz

Rekordzista spod Monte Cassino



W przedwojennej
Polsce nazwisko
lekkoatlety Antoniego
Maszewskiego,
10-krotnego mistrza
kraj i olimpijczyka,
znało każde dziecko.
„Dopadł kpt. Maszewski
z 6 baonu, rekordzista
szybkobiegacz
przedwojenny.
Zaryła się przed
tomiganem [pistoletem
maszynowym – przyp.
PL] Maszewskiego
uciekająca wataha. Już
przytomnieją, już im
wstyd okropny: – My...
nic nie wiemy, panie
kapitanie – krzyczeli
– że Niemcy tuż... Panikę
opanowano” – pisał
o jego bohaterstwie pod
Monte Cassino Melchior
Wańkowicz. Maszewski
poległ w walkach
o Ankone, ale została
po nim legenda. „Wzór
żołnierza – męstwa,
prawości i koleżeństwa”
– tak według relacji
Wańkowicza wspominali
go uczestnicy walk.

Major Antoni Maszewski (awans z kapita-
na na majora pośmiertny) był sportow-
cem w stylu przedwojennym, jakże od-
miennym od późniejszych wzorców –
oficer wojska polskiego, wykształcony prawnik,
sędzia sądu wojkowego...

► Bocianie gniazdo i furtka z dworku do kościoła

Antoni Maszewski urodził się 5 maja 1908 roku w Kamieńsku, w rodzinie sekretarza gminy Bolesława Feliksa Maszewskiego herbu Nowina oraz Stanisławy Marii z Rojewskich herbu Cholewa. Grzegorz Turlejski, były burmistrz Kamieńska i działacz Solidarności, autor książki „Antoni Maszewski – olimpijczyk i żołnierz”, odkopał urzędowe dokumenty dotyczące jego narodzin.

W jego akcie urodzenia znalazł się następujący zapis: „Odbyło się w osadzie Kamieńsk dnia dziesiątego czerwca tysiąc dziewięćset ósmego roku o godzinie czwartej po południu. Przybyli: Bolesław Maszewski, gminny pisarz, mieszkający w osadzie Kamieńsk, mający trzydzieści pięć lat w obecności Stefana Bielika mającego dwadzieścia cztery lata, aptekarza z miasta Piotrkowa, przedstawili nam niemowlę płci męskiej oznajmiając, że urodziło się ono w osadzie Kamieńsk dnia piątego maja tego roku o godzinie jedenastej wieczorem z prawej żony Stanisławy z Rojewskich, mającej dwadzieścia siedem lat. Niemowlęciu temu na chrzcie świętym, który odbył się w tym dniu, daliśmy imię Antoni, a chrzestnymi jego byli: Stefan Bielik i Felicja Rojewska. Akt ten został spisany później z przyczyny oczekiwania na ojca chrzestnego. Akt ten oznajmiałemu i świadkom został przez nas przeczytany i przez nich podpisany”.

Antoni miał trzy siostry – Bolesławę, Emilię i Helenę oraz dwóch braci – Jerzego i Mariana. Co wiadomo o ich gospodarstwie? Turlejski przytacza Kronikę Kamieńska Kazimierza Tazbira, w której czytamy: „W końcu XIX w. Stanisław Psarski zlikwidował majątek ziemski [...] Dworski budynek mieszkalny, budynki gospodarcze, sad i stawy kupił sekretarz gminy Bolesław Maszewski. Na wprost budynku były trzy stawy zarybiane, obok nich łąki. Do budynku przylegał duży sad i rozległe pola. Obok dworku istniał spichlerz zbożowy, posiadający ściany metrowej grubości i dach pokryty blachą”.

W pobliżu dworku znajdowała się olbrzymia stodoła, a na niej – bocianie gniazdo. Do posiadłości dworskiej przylegały kościółek i plebania z zabudowaniami gospodarczymi. Całość ogrodzona była murem parkanem. „W parkanie była urządzona furtka, by właściciel dworku miał krótszą drogę do kościółka” – czytamy.

Z Kamieńska przenieśli się do Rozpry. Jego rodzice byli właścicielami młyna i stać ich było, by zatrudnić dla syna guwernantkę. Turlejski pisze: „W 1913 r. Bolesław Maszewski pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego Kółka Rolniczego w Kamieńsku, powstałego w tym samym roku. Przewodniczącym był Jan Zaremba – dziedzic dóbr Pytowice. W pierwszych latach niepodległości Bolesław Maszewski sprzedawał wszystkie swoje nieruchomości Józefowi Manieckiemu i Janowi Kubickiemu, wyjeżdżając wraz z rodziną do Rozpry, gdzie zakupił młyn wodny”.

► „Nie dla zysku, nie dla sławy, jeno dla Ojczyzny Sprawy!”

Maszewski ukończył gimnazjum i liceum im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim. Już będąc uczniem gimnazjum, miał sportowe osiągnięcia – uprawiał lekką atletykę i pływał, a w piotrkowskim Sokole biegał i skakał w dal. Zawołaniem piotrkowskiego gniazda „Sokoła” było: „Nie dla zysku, nie dla sławy, jeno dla Ojczyzny Sprawy!”.

Sport był wówczas na fali, na ziemiach polskich wyróżniały się tu Kraków i Lwów, gdzie młodzież inteligentka i robotnicza sięgała po nowinki z kultury fizycznej. Początki lekkiej atletyki w III RP nie były łatwe, brakowało obiektów sportowych i pieniędzy. Zawodnicy sami musieli wносить składki, by uprawiać choćby biegi. Mimo trudności zaczęły się treningi, starty, organizowano też kursy trenerskie. Sportowcy w owym czasie uprawiali przeważnie nie jedną dyscyplinę, a kilka równocześnie.

Pierwszym sukcesem Maszewskiego był tytuł mistrza łódzkiego okręgu Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. W książce „Chwała olimpijczykom” czytamy: „W 1930 roku na starcie lekkoatletycznych mistrzostw Polski, które odbywały się w Warszawie, stanął młodziutki student prawa [...] Zwyciężył w biegu na 400 m przez płotki i przyczynił się waleśnie do zwycięstwa drużyny Polonii w sztafecie 4 × 400 m. Natychmiast obwołano go »objawieniem mistrzostw« [...] Już dwa miesiące później Antoni Maszewski wchodzi do reprezentacji Polski na mecz z Czechosłowacją”.

Reprezentant Polski prosto z boiska biegał na wykłady na Uniwersytecie Warszawskim. W czerwcu 1933 roku ukończył prawo. Potem w Modlinie ukończył dywizyjny kurs podchorążych rezerwy przy 32. Pułku Piechoty, zajmując pierwsze miejsce. Uzyskał stopień z tytułem podchorążego w 21 pp. Uprawiając sport, był jednocześnie aplikantem przy sądzie okręgowym. W 1936 roku został sędzią w Wojskowym Sądzie Okręgowym w Warszawie.

► „Potrafił zwyciężać w najtrudniejszych pojedynkach”

W tym czasie był zawodnikiem dwóch warszawskich klubów. W latach 1928–1934 i w 1938 roku występował w barwach Polonii Warszawa. Natomiast w latach 1935–1937 nosił koszulkę warszawskiej Legii. Lata 30. to jego epoka, gdy chodzi o bieg przez płotki na dystansie 400 metrów. Tytuł mistrza kraju stracił tylko raz, w 1934 roku. Biegał także na 800 metrów, kilka razy zdobywając tytuł wicemistrza kraju.

W 1932 roku Antoni Maszewski pobił rekord Polski w biegu na 500 m. „Przegląd Sportowy” pisał, że jego występ był porywający, mimo kiepskiej jakości bieżni i złych warunków atmosferycznych. „Zaimponował nam... Tak biegnie człowiek, który ma za sobą systematyczny, racjonalny, długi trening” – relacjonował reporter „PS”.

Rekord Polski bił jeszcze dwa razy – w sztafecie 4 × 400 metrów oraz tzw. sztafecie szwedzkiej, w której zawodnicy przebiegają kolejno dystanse 100, 200, 300 i 400 metrów. „Na bieżni wykazywał niezwykłą ambicję i bojowość, potrafił zwyciężać w najtrudniejszych pojedynkach” – pisze Turlejski.

► Rekord Polski z kontuzją

1 sierpnia 1936 roku o 15.00 Adolf Hitler wyruszył czarną limuzyną z Kancelarii Rzeszy na stadion olimpijski Reichssportfeld. Setki tysięcy ludzi ustawiły się na ulicach, aby powitać Führera. Sto tysięcy osób zgromadzonych pod stadionem odśpiewało „Deutschland, Deutschland über alles”.

W tym czasie sportowcy, wyraźnie zapomniani jako drugorzędni bohaterowie olimpiady, mokli na Polu Majowym przed Bramą Maratońską stadionu olimpijskiego. Po trzech godzinach czekania pozwolono im w końcu na przededefilowanie przed lożą honorową.

Do Berlina przyjechało ponad 120 reprezentantów Polski. Podczas igrzysk w Berlinie Maszewski reprezentował Polskę w sztafecie 4 × 400 metrów. Występ nie był sukcesem, bo dwaj zawodnicy, w tym sam Maszewski, nie byli w pełni sił. Turlejski pisze: „Jego partnerami w zespole byli Klemens Biniakowski, Kazimierz Kucharski i Tadeusz Śliwak. Przedstartowe prognozy wysoko notowały naszą sztafetę. Przed startem Antoni Maszewski i Klemens Biniakowski odnieśli bolesne kontuzje, jednak zdecydowali się na start. Na pierwszej zmianie Tadeusz Śliwak był drugi, za Amerykaninem. Na drugiej zmianie biegł kontuzjowany Antoni Maszewski, minęli go Japończyk i Węgier. Na trzeciej zmianie biegł Kazimierz Kucharski, który wyprzedził Japończyka i zbli-

żył się do Węgry. Biegający na ostatniej zmianie kontuzjowany Klemens Biniakowski, stoczył porywającą walkę z Węgrem, biegł z nim pierś w pierś, na finiszu jednak osłabił i przybiegł trzeci”.

„Występ naszej sztafety wypadł o klasę lepiej, niż mogliśmy się spodziewać. Mało mieliśmy zaufania do biegaczy, którzy w ostatnich czasach raz po raz nawiedzani byli przez kontuzje, a tymczasem – zabrakło 2 metrów, aby przedostać się do finału!” – relacjonował „Przegląd Sportowy”. Sztafeta pobiła rekord Polski wynikiem 3.17.60, jednak nie stanęła na podium. Sukces odniosła za to polska oszczepniczka Maria Kwaśniewska, która jako jedyna na podium nie podniosła ręki w nazistowskim pozdrowieniu (poza nią na podium były tylko Niemki), a na słowa Führera: „Gratuluję małej Polce”, odpowiedziała: „Wcale nie czuję się mniejsza od pana”.

Ogółem Maszewski 22 razy, w latach 1929–1938, reprezentował Polskę w meczach międzypaństwowych. 31 marca 1936 roku podporucznik Antoni Maszewski został przeniesiony do korpusu oficerów audytu. 1 kwietnia 1938 roku otrzymał awans na stopień porucznika. W 1939 roku został asystentem w Wojskowej Prokuraturze Okręgowej nr V w Krakowie.

► Sport w obozach internowania

Przed 1 września 1939 roku porucznik Maszewski został zmobilizowany. Uczestniczył w kampanii wrześniowej, walcząc w bitwie nad Bzurą i pod Kockiem. Po wrześniowej klęsce Polski udało mu się uniknąć aresztowania i przedostać się na Węgry.

Sportowcy, którzy trafili na Węgry, starali się poprzez sportową aktywność pokonać przygnębienie i utrzymać bojowego ducha wśród uciekinierów. Bernard Woltmann w pracy „Przejawy działalności sportowej w wojskowych obozach dla internowanych (1939–1944)” pisze: „W okresie od 18 września do 11 października 1939 r. uszło na Węgry ponad 40 tysięcy polskich żołnierzy. Wśród nich było wielu sportowców, między innymi olimpijczycy: lekkoatleci Kazimierz Fiałka i Antoni Maszewski, jeździec Tadeusz Sokołowski i narciarz Władysław Żytkowicz. W obozach dla internowanych, w jakich się znaleźli, zapałował nastrój przygnębienia spowodowany doniesieniami o możliwości utracenia przez nich praw jeńческих i brakiem aktywności ruchowej. W takiej atmosferze rodziły się spontaniczne próby utrzymania sprawności fizycznej. Wprowadzono więc różnego rodzaju ćwiczenia, zwłaszcza gimnastykę poranną i marsze kondycyjne wokół miejsca zakwaterowania (20–40 okrążeń po około 400 m). Niektórzy wojskowi grali też w piłkę nożną”.

Z czasem działania te przyjęły zorganizowane formy. „W październiku 1939 r. byli działacze KS »Junak« Drohobycz skupili wokół siebie większość polskich sportowców przebywających na Węgrzech. Drużyna piłki nożnej, w której znaleźli się piłkarze z krakowskich klubów »Wisła« i »Cracovia«, lwowskiej »Pogoni«, ŁKS-u, wileńskiego »Ogniwa« i innych, rozegrała tam około 40 meczów, uzyskując m.in. remisowy rezultat 1:1 z reprezentacją Budapesztu” – pisze Woltmann.

► Krzyż Walecznych za Tobruk

Na Węgrzech Maszewski dowiedział się, podobnie jak inni, że we Francji powstaje polskie wojsko. Udało mu się zdobyć dokumenty zezwalające na przekroczenie granicy i przedostał się do Francji. „Nie chce zajmować się sprawami administracyjnymi, prosi o przydział na front, prośba jego zostaje uwzględniona i porucznik Antoni Maszewski zostaje żołnierzem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich” – pisze Turlejski. Jaki był jej skład, opisywał w „Karpackiej Brygadzie” Marian Hemar:

*Myśmy tutaj szli z Narwiku,
Wy przez Węgry, a my z Czech.
Nas tu w Syrii jest bez liku,
A nas z Niemiec zwiało trzech!
My przez morza, a wy z Flandrii,
My górami, wy przez las!
Teraz wszyscy do Aleksandrii,
Teraz my już wszyscy wraz.*

Podobnie jak Maszewski do brygady tej zgłosiło się wielu innych wybitnych sportowców, którzy trafili do Francji. Woltmann wymienia: „Utworzono kilka dywizji i brygad (m.in. Samodzielną Brygadę Strzelców Podhalańskich), obejmujących ogółem ponad 71 tysięcy mężczyzn. Wśród nich było wielu wybitnych sportowców: wspomniani już Antoni Maszewski i Tadeusz Sokołowski, a ponadto narciarze Adam Bachleda Curuś, Wojciech Gąsienica-Juhas, Jan Kula, Henryk Mückenbrunn, Jan Schindler »Jajo«, Władysław Zienkiewicz i olimpijczyk Józef Zubek, hokeista na lodzie Stefan Csorich, bokser »Moryc« Woźniakiewicz, piłkarz Feliks Dyrda”.

Jako porucznik w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich dowodzonej przez generała Kopańskiego Maszewski walczył w bitwie o Tobruk, czyli najcięższej bitwie kampanii afrykańskiej. Już to jej chrzest bojowy. Brygada objęła najtrudniejszy odcinek frontu, tzw. Wzgórze Medauar. Naprzeciw znajdowały się wyborowe oddziały

niemieckie. Polskie stanowiska znajdowały się od niemieckich w niektórych miejscach w odległości zaledwie 100–150 metrów. Patrole, wypady i niszczenie wież obserwacyjnych – to była dla Polaków codzienność. Trudność walk potęgowały trudne warunki klimatyczne i poczucie całkowitego odcięcia od świata. Podczas tych długich walk Maszewski wyróżnił się szczególnym męstwem, za co otrzymał Krzyż Walecznych i awans na stopień kapitana. Niestety, nie miało mu być dane wypełnienie słów innej piosenki Mariana Hemara:

*Kiedys, gdy z tej wojny wróce
Za jakieś kilkadziesiąt lat,
Plecak złożę, buty zrzucę
I wyciągnę nogi rad.*

*Wnuków zbierze się gromadka,
Ciesząc mnie szczebiotem swym,
I o bajkę będą prosić dziadka,
A cóż ja opowiem im?!*

*Pamiętaj o tym wnuku,
Że dziadzio był w Tobruku
I myślał sobie: oj, niedobrze,
Oj, niedobrze, coś za dużo huku.*

► „Zaryła się przed tomiganem Maszewskiego uciekająca wataha”

Po Tobruku Maszewski walczył we Włoszech. Pod Monte Cassino był dowódcą 6 batalionu w 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Przed bitwą generał Władysław Anders ogłosił pamiętną odezwę do żołnierzy: „Kochani moi Bracia i Dzieci. Nadeszła chwila bitwy. Długo czekaliśmy na tę chwilę odwetu i zemsty nad odwiecznym naszym wrogiem... Zadanie, które nam przypadło, rozslawi na cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego Narodu, podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni. Niech lew mieszka w Waszym sercu... z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych Bóg, Honor i Ojczyzna”.

Kapitan Maszewski należał do tych, którzy najdzielniej wypełnili te słowa. Melchior Wańkowicz w trzecim tomie książki „Monte Cassino” napisze: „Przed nim jeszcze dopadł kpt. Maszewski z 6 baonu, rekordzista szybkiego biegacza przedwojenny. Zaryła się przed tomiganem Maszewskiego uciekająca wataha. Już przytomnieją już im wstyd okropny: – My ... nic nie wiemy, panie kapitanie – krzyczeli – że Niemcy tuż... Panikę opanowano...”.

Polacy zdobyli Monte Cassino i pierwszy raz zaśpiewali „Czerwone maki”, które dla wielu z nich stało się na wygnaniu drugim hymnem Polski:

*Ruñeli przez ogień, straceńcy,
niejeden z nich dostał i padł,
jak ci z Somosierry szaleńcy,
jak ci spod Rokietnej sprzed lat.*

Ich autor, Feliks Konarski, czyli Ref-Ren, napisze: „Śpiewając po raz pierwszy Czerwone maki u stóp klasztornej góry, płakaliśmy wszyscy. Żołnierze płakali z nami. Czerwone maki, które zakwitły tej nocy, stały się jeszcze jednym symbolem bohaterstwa i ofiary – i hołdem ludzi żywych dla tych, którzy przez miłość wolności polegli dla wolności ludzi...”.

Dwa miesiące później Maszewski dowodził 4 batalionem 3 Dywizji Strzelców Karpackich w bitwie o Ankone port – nad Adriatykiem, pełen starożytnych zabytków. 7 czerwca 1944 roku 3 Dywizja Strzelców Karpackich zlizowała hinduską 4 Dywizję Piechoty, a od 15 czerwca 2 Korpus Polski rozpoczął działania pościgowe nad Adriatykiem. Polacy zdobyli Loreto, Recanati, Castelfidardo – 1 lipca, Osimo – 5 lipca i wzgórze S. Piero – 6 lipca. Silny opór stawiał nieprzyjaciół na przedpolu miasta i portu Ankona. Anders postanowił wykonać główne uderzenie siłami 5 Dywizji Piechoty, która opanować dominujące wzgórze w rejonie Paterniano – Monte della Crescia – Monte Tarto. 3 Dywizja Strzelców Karpackich z Karpackim Pułkiem Ułanów otrzymała zadanie wiązania nieprzyjaciela walką i prowadzenia działań demonstracyjnych.

O zasługach Maszewskiego Wańkowicz pisze: „Jako dowódca batalionu w bitwie pod Osimo dnia 5 lipca 1944 r. objawiając dowództwo batalionu w czasie natarcia na 217 wykazał niezwykle opanowanie jako dowódca, trzeźwością oceny sytuacji oraz odwagę osobistą, wykonując wspólne natarcie z czołgami na 217. Swoim zachowaniem się w walce wzbudził podziw u podwładnych”. 5 sierpnia 1944 roku batalion Maszewskiego walczył w bitwie pod Roncitelli. „Pierwszorządnie przeprowadził akcję zapewniając podstawę wyjściową do późniejszego natarcia Dywizji. W akcji tej wykazał wysokie wartości dowódcze, trwając przez kilka dni z batalionem w trudnych warunkach walki, odwiedzając najbardziej ekspozycyjne odcinki” – czytamy.

Podczas jednej z takich ryzykownych walk trafił go niemiecki pocisk artyleryjski. Poległ 5 sierpnia 1944 roku. Pod Ankoną poległ także inny wybitny lekkoatleta Leonid Fiedoruk – mistrz kraju i rekordzista w rzucie dyskiem. Podczas walk o Ankone 2 Korpus Polski stracił 39 oficerów i 338 szeregowych zabitych

i rannych. Walki o Ankone zostały upamiętnione na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, napisem na jednej z tablic – „ANKONA 17–18 VII 1944”.

Antoni Maszewski został pośmiertnie awansowany do stopnia majora i odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino.

► „Niebieska Pani niech Was ukołysze”

Pochowany został na Polskim Cmentarzu Wojennym w Loreto, w kwaterze XII-F-5, w jednym z 1080 tamtejszych grobów, pasujących do opisu z „Czerwonych maków”: „Czy widzisz ten rząd białych krzyży? Tam Polak z honorem brał ślub”. Cmentarz położony jest na stoku pomiędzy Sanktuarium Santa Casa w Loreto i Autostradą Adriatycką z amfiteatralnym widokiem na morze i na Ankone. Na kaplicy Chrystusa Ukrzyżowanego, usytuowanej nad grobami, znajduje się epitafium:

*Ta niebieska Pani niech Was ukołysze
Wiekuistym snem miłości.
Wiatr od pobliskiego morza i z tego wzgórza
Niech delikatnie nad Wami powiewa.
Szumiąc niech Wam przynosi z daleka
Czułe słowa Waszych matek i żon.*

Duchowymi strażniczkami polskich mogił na Cmentarzu Wojennym w Loreto są dziś Siostry Najświętszej Rodziny z Nazaretu, zwane Siostrami Nazaretankami. Każdemu, kto chce nawiedzić i pomodlić się za dusze spoczywające u stóp bazyliki loretańskiej, Siostry udostępniają klucz do bramy cmentarnej.

Jak pisze Turlejski, jego imię i nazwisko wykute jest na tablicy pamiątkowej w dzisiejszym Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim, wśród wychowanków i profesorów, którzy oddali życie w walce o wolność i niepodległość Ojczyzny. Pamięć o wielkim sportowcu i polskim bohaterze jest dziś przywracana. Jego imię nosi dziś stadion sportowy Czarnych Rozprza. Gmina Kamieńsk wydała pamiątkowe medale z jego podobizną, zorganizowana została też wystawa „Antoni Maszewski olimpijczyk i żołnierz 2 korpusu”.

9 listopada 2018 roku odbyła się uroczystość nadania Sali Gimnastycznej w I LO w Piotrkowie imienia majora Antoniego Maszewskiego. Tablica poświęcona została przez księdza prałata Grzegorza Gogola, a odsłonięcia, razem z duchownym dokonali dyrektor Henryk Michalski oraz uczennica klasy 1c Zuzanna Derlatka. W ubiegłym roku na jego grób dotarła sztafeta rowerowa „Rowerem do Monte Cassino”. ■

Dariusz Jarosiński



DZIEKUJEMY CI ZA ŻYCIE

1

Niewielu polskich dowódców partyzanckich ostatniej wojny może wykazać się podobnymi osiągnięciami co porucznik Adolf Pilch „Góra” „Dolina”, cichociemny, komendant Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego AK, żołnierz Powstania Warszawskiego. Stoczył ponad 200 bitew i potyczek z Niemcami i Sowietami – o niewielu z nich można powiedzieć, że były przegrane.



1. Adolf Pilch „Góra” „Dolina”. Niezwykła postać, niezwykła historia
2. Sztab por. Adolfa Pilcha „Góry”, Starzynki koło Iwienica, wiosna 1944 roku

Porucznik Pilch dokonał rzeczy wydawać by się mogło niemożliwej – w sytuacji potwornego zagrożenia odbudował rozbity przez bolszewików oddział partyzancki, który w szczytowym okresie liczył prawie 900 żołnierzy. Na jego terenie działania – w powiecie stołpeckim, najdalej na wschód wysuniętym w województwie nowogrodzkim, w Puszczy Nalibockiej – dużo groźniejszym wrogiem od Niemców była partyzantka sowiecka. Od początku grudnia 1943 roku do czerwca 1944 roku prowadził z bolszewikami niemal regularną zwycięską wojnę. Uratował od zagłady wiele polskich kresowych wiosek, wiele ludzkich istnień. Jego oddział okazał się niezłomny mimo przeważających sił sowieckich.

Latem 1944 roku por. Adolf Pilch „Góra” przeprowadził swój oddział z Puszczy Nalibockiej do Puszczy Kampinoskiej, aby wesprzeć walczących powstańców warszawskich, ale też by uniknąć starcia z nadciągającymi od wschodu frontowymi oddziałami Armii Czerwonej. Dzięki temu niezwyktemu rajdowi jego żołnierze zostali uratowani od niechybnej śmierci z rąk czerwonoarmistów. Wraz z oddziałem „Góry” do centralnej Polski przedostało się też wielu Polaków, mieszkańców kresowych wiosek, zagrożonych aresztowaniami, łagrami, wywózką na Syberię.

► Oficer bardzo pragmatyczny

Szczęśliwie por. Pilch nie podzielił losu wielu polskich bohaterów, nie został zamordowany, nie został wrzucony do dołów śmierci – wyjechał za granicę, mieszkał po wojnie w Anglii w Londynie. W tym roku będziemy obchodzili 20. rocznicę jego śmierci. Niemniej został skazany przez komunistów na infamię, a jeżeli o nim wspominać, to jak o „niemieckim kolaborancie”, bo ratując swoich żołnierzy, a przede wszystkim mieszkańców Kresów przed napadami sowieckich i żydowskich band, będąc w sytuacji śmiertelnego zagrożenia, zawarł z Niemcami niepisany rozejm i przyjmował od nich broń i amunicję. Nie trzeba posiadać dużej wiedzy historycznej, żeby dojść do wniosku, że gdyby nie niezłomna postawa por. Pilcha „Góry”, ale też dowódców innych nowogrodzkich oddziałów partyzanckich, m.in. rtm. Józefa Świdry „Lecha”, ppor. Czesława Zajączkowskiego „Ragnera”, którzy wbrew rozkazom Komendy Głównej AK, grożącej im kary śmierci, przyjęli broń od Niemców, setki, a może tysiące naszych obywateli na Nowogrodzczyźnie zginęłyby z rąk bolszewickich oprawców.

Adolf Pilch „Góra”, który po dotarciu ze swoim niezłomnym oddziałem zameldował się w Komendzie Głównej AK w Puszczy Kampinoskiej w lipcu 1944 roku, przyjął pseudonim „Dolina”, wykazał, dobitnie walcząc z Niemcami na przedpolach Warszawy, w Powstaniu Warszawskim, że nie jest żadnym kolaborantem niemieckim, a jego umowa o nieagresji na Nowogrodzczyźnie miała charakter lokalny i taktyczny.

Przykro to powiedzieć, ale Adolf Pilch jest ciągle mało znany w Polsce. Tak to już jest, że raczej bohaterami naszych opowieści są żołnierze, którzy zginęli w boju, ewentualnie zostali zamordowani w więzieniu. Na pewno też przez lata, kiedy nie można było prowadzić rzetelnych badań historycznych, uwierał zarzut kolaboracji z Niemcami. Dzisiaj mamy świetne opracowania, publikacje nie tylko na temat samego por. „Góry”, lecz także wojny polsko-sowieckiej na Nowogródczyźnie, m.in. Kazimierza Krajewskiego, Bogdana Musiała, Zygmunta Boradyna czy Mariana Podgórcznego, żołnierza por. „Góry”.

Adolf Pilch nie był z całą pewnością typem dowódcy watazki, wprost przeciwnie – mierzył siły na zamiary, szanował swoich żołnierzy, nie szarżował ich życiem. Jego podstawowym celem była ochrona życia Polaków mieszkających na Kresach. Był oficerem bardzo pragmatycznym, nieulegającym emocjom, twardo stąpającym po ziemi.

Jak wielką nienawiścią musieli pałać komuniści do Adolfa Pilcha, ale też jego dzielnych żołnierzy, może świadczyć fakt, że bohaterski ułan, chor. Zdzisław Nurkiewicz „Noc”, jeden z najwybitniejszych polskich kawalerzystów, dowódców ostatniej wojny, musiał przez wiele lat ukrywać się po roku 1945 pod zmienioną tożsamością. 15 stycznia 1959 roku został aresztowany w Krzeszowicach-Czatkowicach przez funkcjonariuszy SB-MO i zielonogórskich prokuratorów. W pokazowym procesie dla „zdrajców narodu i zbrodniarzy faszystowskich” wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze z 25 marca 1960 roku komuniści skazali go na karę śmierci, zamienioną następnie na 15 lat pozbawienia wolności. Przez rok przebywał w celi śmierci. Z powodu złego stanu zdrowia z więzienia wyszedł w czerwcu 1969 roku. W 2005 roku Sąd Okręgowy w Krakowie unieważnił wyrok wydany w 1960 roku. Przez ostatnie 10 lat życia działał na rzecz kombatanów, dawnych podkomendnych i weteranów AK z „Grupy Kampinos”.

► Z Wielkiej Brytanii do Puszczy Nalibockiej

Adolf Pilch urodził się w 1914 roku w Wiśle, miasteczku położonym w Beskidzie Śląskim. Zarówno w Wiśle, jak i w okolicy, na przykład w Ustroniu, nazwisko Pilch jest bardzo popularne. Podobnie jak większość mieszkańców Śląska Cieszyńskiego rodzina Pilchów była wyznania ewangelicko-augsburskiego. Jako że Adolf był bardzo dobrze rozwiniętym intelektualnie dzieckiem, do szkoły powszechnej w Wiśle zaczął uczęszczać już w wieku 5 lat. W 1935 roku ukończył słynną warszawską Państwową Wyższą Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Służbę wojskową odbył w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty przy 26. Dywizji Piechoty w Skierniewicach.

Po wybuchu wojny nie zamierzał siedzieć z założonymi rekoma i patrzeć spokojnie, jak Niemcy i Sowieci podbijają Polskę i Europę. Na początku 1940 roku, po pokonaniu licznych przeciwności losu, po wielu perypetiach, udało mu się

dotrzeć na Węgry. Do Francji dopłynął greckim statkiem „Patris”. W maju 1940 roku w miasteczku Bressuire zgłosił się do Polskich Sił Zbrojnych, do 9. Pułku Piechoty. We wspomnieniowej książce „Partyzanci trzech puszczy” (Oficina Wydawnicza Mireki, 2013) nie szczędził słów krytyki, a nawet kpin pod adresem żołnierzy francuskich: „Żołnierze francuscy byli umundurowani jak najgorsze łapsderdaki: mundury porozpinane, nakrycia głowy noszone tak, jak było wygodniej, buty nieczyszczone, słowem byli to zupełni łachmaniarze. Ale nigdy nie zobaczyło się żołnierza francuskiego bez kilkultrowego bidonu z winem, z którego stale popijał – w marszu, w rowie, siedząc na przydrożnym krawężniku itd. Żadnego szacunku dla starszych. Trudno było mówić o jakiegokolwiek dyscyplinie, a wyobrazić sobie żołnierza francuskiego w boju było po prostu niemożliwością”.

Po kapitulacji Francji i ewakuacji polskich żołnierzy Adolf Pilch dotarł do Plymouth w Wielkiej Brytanii. Tutaj przeszedł szkolenie cichociemnych – elity polskiej dywersji. Jedynie co czwarty kandydat na cichociemnego kończył kurs. Nie wszyscy wytrzymywali trudy treningów, szkoleń wymagających dużej odporności fizycznej i psychicznej. W nocy z 16 na 17 lutego 1943 roku beskidzki góral z Wisły został przerzucony do Polski. Od tej pory znany był pod pseudonimem „Góra”, otrzymał awans na stopień podporucznika. Dowództwo AK przydzieliło go do Kedywu Okręgu Białostockiego AK „Czapla”, a później do Okręgu Nowogródzkiego AK „Nów”. Działalność konspiracyjna, partyzancka w tym Okręgu, a już szczególnie w Puszczy Nalibockiej, była dużo trudniejsza i bardziej skomplikowana niż w Generalnym Gubernatorstwie czy na ziemiach włączonych do Rzeszy. Tutaj było kilku wrogów: Niemcy, Białorusini, Sowieci i związani z nimi Żydzi, choćby z oddziału Tewego Bielskiego. Oddziały sowieckich partyzantów składały się ze zrzuconych specjalnie na zaplecze frontu dowódców oraz maruderów pozostałych po rozgromieniu Armii Czerwonej przez Niemców w czerwcu 1941 roku. Liczyły one prawie 10 tysięcy ludzi. Bolszewicy nie walczyli z Niemcami, zajmowali się tzw. bambioszkami, napadami rabunkowymi na pobliskie polskie wsie.

Warto wspomnieć, że pierwszy polski oddział partyzancki w Puszczy Nalibockiej powstał w 1939 roku wkrótce po wejściu na Kresy Armii Czerwonej. Tworzyli go żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza, harcerze, członkowie organizacji strzeleckich. Oddziałem dowodził podoficer KOP pochodzący z Iwienicy, kapral Leonard Dąbrowski „Łońka”. Dopiero w połowie czerwca 1940 roku bolszewikom udało się rozbić polskich partyzantów, ocaleni z oblawy Polacy zasilili później Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK. W Lidzie, Nalibokach, Stołpcach, Iwienicy działały organizacje podziemne, niektóre z nich przetrwały całą okupację, jak choćby Pierwsza Kresowa Drużyna Harcerzy im. Adama Mickiewicza, która prowadziła konspirację na terenie gminy Zaostrowiec.

► Nie tylko Naliboki

We wrześniu 1943 roku ppor. „Góra” dotarł do obozu Polskiego Oddziału Partyzanckiego w Puszczy Nalibockiej w Obwodzie AK Stołpce. Oprócz ppor. „Góry” do nowogródzkiej jednostki przybyli dwaj inni cichociemni: ppor. Lech Rydzewski „Grom” i ppor. Ezechieli Łoś „Ikwa”. Organizatorami oddziału byli porucznik łączności rezerwy Kacper Miłaszewski „Lewald”, absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i porucznik rezerwy Walenty Parchimowicz „Waldan”. Stołpce leżały nad rzeką Niemen, były ostatnią stacją kolejową przed granicą z Sowietami.

Polski Oddział Partyzancki pod dowództwem por. rez. Kacpra Miłaszewskiego „Lewalda” mógł powstać po wyrażeniu na to zgody przez Sowietów, którzy posiadali ogromne siły w tym terenie. Komendant Okręgu Nowogródek AK płk Janusz Prawdziej-Szłaski „Borsuk” w publikacji „Nowogródzyczna w walce 1940–1945” (Londyn, 1976) pisze, iż bolszewicy postawili takie oto warunki: 1. Dowództwo i oddziały rekrutować się będą tylko z miejscowej ludności. 2. Żadnych obcych przybyszów bez wiedzy ich przyjmować nie wolno. 3. Żadnej łączności z Londynem, Warszawą ani związkami konspiracyjnymi. 4. Mają prawo do wglądu oraz dysponowania oddziałami. 5. Żadnych działań nie wolno podejmować bez ich wiedzy. 6. Wszelka zdobycz wojenna podlega podziałowi według ich uznania. 7. Ograniczona wielkość oddziału. 8. Wolność szerzenia propagandy sowieckiej i wygłaszanie różnych pogawędek – bez żadnego sprzeciwu ze strony polskiej itd.

Polscy organizatorzy oddziału partyzanckiego w Obwodzie Stołpce AK nie mieli zamiaru ulegać Sowietom – nie stosowali się do stawianych przez nich warunków, zachowywali niezależność. „Dnia 4 czerwca 1943 roku na wyznaczonej zbiórce w lesie stanęło około 60 ludzi z bronią, amunicją i częściowo z końmi i oporzędzeniem – wspominał płk »Borsuk«. To był początek. Po paru tygodniach ochotników przybywa coraz więcej, tak że stan oddziałów bardzo się rozrasta. Bolszewicy chwilowo nie wtrącają się do naszych spraw i robota posuwa się naprzód. Ludność miejscowa bardzo się podniosła na duchu. Żądania późniejsze bolszewików o wprowadzenie warunków umowy odkładano i wykrywano się pod różnymi pozorami. Pozornie trwały obopólne sympatie”.

Należy dodać, w jakich okolicznościach formowany był Polski Oddział Partyzancki (POP). Otóż 8 maja 1943 roku oddziały sowieckich partyzantów wspólnie z partyzantami żydowskimi Tewje Bielskiego zamordowały 128 mieszkańców miasteczka Naliboki, którzy byli podejrzewani o przynależność do samoobrony lub Armii Krajowej. W sposób wyjątkowo bestialski zostały zamordowane kobiety i dzieci. Bolszewickie źródła chwaliły się wręcz, iż śmierć w masakrze poniosło 250 osób narodowości polskiej. Bandyci spalili kościół, szkołę, pocztę, remizę strażacką, wiele domów mieszkalnych. Mieszkańcy zostali ograbieni z wszelkiego

dobytku, bolszewicy ukradli m.in. 100 krów i 70 koni. Niezwykle tragiczny był los Naliboków, kresowego miasteczka – trzy miesiące później, 6 sierpnia, Niemcy w ramach tzw. Operacji „Hermann” dokonali pacyfikacji, a mieszkańców wywieźli na roboty przymusowe do Rzeszy. Zapewne masakra dokonana przez żydowskich bolszewików przyspieszyła decyzję o powstaniu Polskiego Oddziału Partyzanckiego.

W połowie czerwca 1943 roku Polski Oddział Partyzancki liczył już 130 żołnierzy. Pierwszym mocnym akordem nowo powstałego oddziału był atak na 500-osobowy niemiecki garnizon w Iwieniu przeprowadzony 19 czerwca. Garnizon został rozbity, w walce zginęło około 150 żołnierzy niemieckich, ponad 100 policjantów białoruskich zdezerterowało i przyłączyło się do polskiego oddziału. W policji białoruskiej znajdowało się wielu zakonspirowanych żołnierzy AK. Straty własne żołnierzy por. „Lewalda” były niewielkie. Z więzienia uwolniono aresztowanych członków polskiej siatki konspiracyjnej. Na furmankach Akowcy wywieźli wiele skrzyń broni, amunicji, różnego rodzaju sprzętu, a także zapasy żywności. Przez niemal dobę Iwieniec był wolnym miasteczkiem. Na wielu domach zawisły biało-czerwone flagi. Wydarzenie to przeszło do historii jako Powstanie Iwienieckie.

► Na uroczysku Drywiezna

Stołpeccy żołnierze „Lewalda” obozowali w południowo-wschodniej części Puszczy Nalibockiej, na uroczysku Drywiezna. Z czasem rozbudowany Polski Oddział Partyzancki przybrał nazwę Zgrupowania Stołpeckiego AK lub Stołpecko-Nalibockiego. Niezwykle ważną rolę w Zgrupowaniu odgrywał od początku ułan chor. Zdzisław Nurkiewicz „Noc” – w krótkim czasie z podległego mu zwiadu konnego, z którym zajął lotnisko polowe w czasie akcji bojowej na garnizon niemiecki w Iwierciu, zorganizował dywizjon. Jego niebywałym sukcesem było odtworzenie przedwojennego pułku, 27. Pułku Ułanów im. Króla Stefana Batorego – pełne cztery szwadrony liniowe, szwadron CKM/LKM na taczankach i pluton łączności z zapleczem sanitarnym i kwatermistrzostwem oraz warsztatami. Ułani chor. „Nocy” byli nienagannie ubrani, uzbrojeni, kontynuowali tradycje pułku, który wykazał się wieloma sukcesami, bijąc bolszewików w wojnie 1920 roku.

Przez pewien czas relacje między partyzantami polskimi i sowieckimi były na tyle poprawne, że uczestniczyli nawet we wspólnych akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom. Bolszewicy jednak cały czas prowadzili podwójną grę: usiłowali przekonać polskie dowództwo o dobrych zamiarach, ale różnymi niegodziwymi sposobami starali się, by Niemcy zniszczyli polskie oddziały partyzanckie. 6 listopada 1943 roku dowództwo nad Batalionem Stołpeckim objął mjr Władław Pełka „Wadaw”, jego zastępcą został por. Adolf Pilch „Góra”, a por. Kasper Miłaszewski „Lewald” pełnił funkcję adiutanta.

Pierwszy sekretarz KC Komunistycznej Partii Białorusi gen. Ponomarienko, dowódca sowieckiego Głównego Sztabu Partyzanckiego, notabene po wojnie ambasador Sowietów w Polsce, zwalczał w sposób niezwykle brutalny polski ruch niepodległościowy na Kresach II RP. W sierpniu 1943 roku z jego rozkazu zamordowanych zostało 80 naszych żołnierzy por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica” na Wileńszczyźnie nad jeziorem Narocz. 26 sierpnia tego roku por. „Kmicic” wraz z czterema partyzantami zostali zaproszeni przez Sowietów „na rozmowy”. Z rozmów już nie powrócili, bolszewicy w tym czasie dokonali napaści na polski obóz partyzancki. Wykonawcą rozkazu był Fiodor Markow, komisarz sowieckiej Brygady im. Woroszyłowa, przedwojenny absolwent seminarium nauczycielskiego w Święcianach, członek Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Oddział Markowa i por. „Kmicica” stacjonowały po sąsiedztwie nad jeziorem Narocz, wspólnie przeprowadzały akcje przeciwko Niemcom. Po dokonaniu zbrodni na polskich żołnierzach Markow w raporcie do Ponomarienki pisał: „Podjęmujemy wszelkie środki w celu całkowitej likwidacji rozproszonych bandyckich uzbrojonych grup polskich, [...] [aby] oczyścić wszystkie nasze tereny z tego podłego śmiecia”.

Sowieckie oddziały partyzanckie stanowiły duże zagrożenie dla mieszkańców polskich wsi, miasteczek północno-wschodnich Kresów, zachowywały się jak pospolite bandy rabunkowe. Bolszewicy kradli dosłownie wszystko, co wpadło im w ręce. Na napady rabunkowe, zwane pieszczołliwie „bambioszkami”, najbardziej narażeni byli mieszkańcy wschodnich terenów Nowogródzczyzny. Bolszewicy zdecydowanie dużo lepiej odżywiali się na polskich Kresach niż wcześniej u siebie w domu. Zawsze mieli tłuszcze, mięso, mleko, jaja, kury, miód. 25 października 1943 roku por. Adolf Pilch „Góra” informował w meldunku komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK: „Dzisiaj w rejonach sowieckich za granicą znaleźć można więcej bydła niż w 1939 roku, ponieważ partyzanci sowieccy zabierają po naszej stronie wszystko co mogą. Część zostawiają dla siebie, a część wywożą za granicę. Teraz sytuacja jest taka, że po tamtej stronie jest wszystko, a u nas zupełna bieda”. (Zygmunt Boradyn, „Niemen. Rzeka niezgody. Polsko-sowiecka wojna partyzancka na Nowogródzczyźnie 1943–1944”, Oficyna Wydawnicza RYTM, 2013).

► Z rozkazu Ponomarienki

Rosnące w siłę Zgrupowanie Stołpeckie AK budziło duże obawy bolszewików. Na jesieni 1943 roku wyraźnie zaczął się ujawniać konflikt między partyzantami sowieckimi a polskimi. 26 września 1943 roku stołpeccy partyzanci meldowali Komendzie Okręgu: „Partyzanci sowieccy, którzy przedtem odnosili się do nas tolerancyjnie, w związku z ostatnimi zwycięstwami na froncie i zbliżaniem się frontu zaczęli odnosić się do nas prowokacyjnie, bo są silniejsi od nas pod względem uzbrojenia i liczebności” (Z. Boradyn, „Niemen. Rzeka niezgody...”).

14 listopada 1943 roku gen. Ponomarienko wydał rozkaz likwidacji stołpeckiego oddziału AK. W rozporządzeniu bojowym dowództwa Brygady im. Stalina, która miała dokonać pacyfikacji Polskiego Oddziału Partyzanckiego, znalazł się zapis: „Jeżeli podczas rozbijania legiijsi będą stawiać opór, należy użyć siły aż do rozstrzelania. W wypadku użycia broni przez polskich legionistów [partyzantów – przyp. D.J.] rozstrzeliwać na miejscu”.

1 grudnia 1943 roku dowództwo partyzantki sowieckiej przystąpiło do wykonania rozkazu gen. Ponomarienki – podstępnej likwidacji Batalionu Stołpeckiego AK. Oficerów polskich, zaproszonych na naradę do pobliskiego sztabu partyzantki sowieckiej, okrążono w drodze, rozbrojono i aresztowano. W składzie delegacji znajdowali się mjr Wacław Pelka „Wacław”, por. Kacper Miłaszewski „Lewald”, ppor. Ezechił Łoś „Ikwa”, ppor. Maciej Rzewuski „Zator”, ppor. Julian Bobrownicki „Klin”, ppor. Walenty Parchimowicz „Waldan”, pchor. „Junosza”, a także kilku innych oficerów oraz kilkunastu żołnierzy eskorty. Kilku oficerów rozstrzelano w puszczy zaraz po rozbrojeniu, a pięciu, wraz z dowódcą mjr. Pelką „Wacławem”, wywieziono samolotem z Puszczy Nalibockiej do więzienia na Łubiance w Moskwie.

Polscy partyzanci kwatrujący w obozowisku w Drywieznie oraz przebywająca nieco dalej 2. kompania ppor. Lecha Rydzewskiego „Groma” zostały zaatakowane przez prawie 2 tys. sowieckich partyzantów z brygad im. Stalina i Frunzego. Zaskoczeni żołnierze AK nie stawiali większego oporu. Historycy szacują, że bolszewicy wzięli do niewoli około 160 oficerów, podoficerów i szeregowców. Do niewoli dostali się m.in. por. Lech Rydzewski „Grom” oraz por. Aleksander Warakomski „Świr”, komendant Obwodu Stołpe AK. Można powiedzieć, że bolszewicy powtórzyli na Nowogródzczyźnie 1 grudnia ten sam scenariusz, który zastosowali na Wileńszczyźnie nad jeziorem Narocz kilka miesięcy wcześniej.

Szczęśliwie rozbrojenia uniknęły oddział kawalerii pod dowództwem chor. Zdzisława Nurkiewicza „Nocy” i grupa 30 żołnierzy ppor. Adolfa Pilcha „Góry”. Żołnierze ci przebywali poza obozem podczas bolszewickiego ataku. W sumie uratowało się około 70 partyzantów. Bolszewicy rzucili duże siły, by dopaść partyzantów por. „Góry”. Uważali, że jest to kwestia dwóch-trzech dni. Jednak oddział dowodzony przez beskidzkiego górala cały czas wymykał się z okrążenia, mało tego, zadawał jeszcze bolesne ciosy. Żołnierzom por. „Góry”, odciętym od magazynów, składów amunicji, zaczął doskwierać brak nabojęw do karabinów. Nieoczekiwanie pojawiła się w tej trudnej sytuacji propozycja jednego z miejscowych sołtysów pomocy ze strony Niemców polskim partyzantom. Zdaniem historyka Kazimierza Krajewskiego na rozejmie polsko-niemieckim zależało też policji białoruskiej z Rakowa opanowanej częściowo przez Polaków oraz niemieckiemu kwatremistrzowi ze Stołpców pozyśkanemu przez Polaków.

Porucznik „Góra” po radzie z ppor. „Witoldem”, chor. „Nocą” i „Lawiną” zdecydował o zwróceniu się do Niemców z Iwieńca o pomoc. Pół roku później por. „Góra” opisał ze szczegółami sytuację zawarcia rozejmu z Niemcami w raporcie: »Napisałem wtedy rzeczywście kartkę w tym sensie: »Ponieważ sytuacja tak się ułożyła, że jesteśmy w stanie wojny z partyzantką sowiecką, proponujemy abyście nam dali zaopatrzenie w amunicję, nie czepiali się nas i czasem pozwolili przespać w spokoju kilka nocy koło miasta Iwieńca«. Kartkę przesłaliśmy przez sołtysa, który przyniósł odpowiedź, że na drugi dzień mamy się spotkać na innym miejscu i omówić warunki. Jakoż w dniu 9 XII 1943 r. koło wsi Kulszyce spotkaliśmy się z Niemcami, omówiliśmy te warunki i otrzymaliśmy kilka tysięcy sztuk amunicji na początek. [...] Przez cały czas częściowo otrzymywaliśmy od Niemców amunicję, broń zaś i większość amunicji kupowaliśmy od nich za słoninę, mięso, kury itp. produkty żywnościowe. Stosunek ich do nas był cały czas poprawny. Od razu zameldowałem o tym do Komendy Okręgu w Lidzie i otrzymałem aprobatę mojego kroku” (Kazimierz Krajewski, „Na straconych posterunkach. Armia Krajowa na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej”, WL 2015).

Ze wspomnień komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK, płk. Janusza Prawdzica Szlaskiego „Borsuka”, wynika, że akceptował on działania por. „Góry” wynikające ze stanu wyższej konieczności. Porucznik Pilch nie mógł jedynie zawiierać jakichkolwiek pisemnych umów z Niemcami. „Po tragedii stołpeckiej żandarmeria niemiecka zwróciła się do dowództwa Oddziałów Stołpeckich za pośrednictwem sołtysa m. Raków z propozycją pomocy naszemu oddziałowi – pisał płk Janusz Prawdzic Szlaski. Będąc w bardzo ciężkich warunkach (brak broni i amunicji), prawie otoczone przez bolszewickie oddziały, dowództwo zgodziło się, by Niemcy zaopatrzyli je w broń i amunicję. Żandarmeria m. Raków, po porozumieniu się z Gebietskomisarzem Mińsk, dostarczyła oddziałowi broń i amunicję. Z tą chwilą oddział mógł przejawiać większą działalność, broniąc ludność miejscową przed rabunkiem partyzantów bolszewickich. W czasie odwrotu niemieckiego oddział wraz z żandarmerią Raków wycofywał się na zachód, a rozstał się z nią po przekroczeniu Bugu”.

► Wojna polsko-sowiecka

Zawarcie rozejmu z Niemcami spowodowało, że oddział por. „Góry” uzyskał kilkaset sztuk broni z moździerzami i ciężką broń maszynową. Oddział szybko się rozrastał. Teraz role na wschodzie Nowogródziny się odwróciły. Bolszewickie bandy rabunkowe nie mogły już sobie pozwolić na prowadzenie dotychczasowego trybu życia i bezkarnie grabienie polskich wiosek. Ludzie odetchnęli z ulgą. Żaden kap nie osmielił się przyjść do domu i zabrać wszystkiego, co mu się podobało. W kwietniu 1944 roku Zgrupowanie Stołpeckie liczyło ponad pół tysiąca ludzi. Wszyscy byli

świetnie uzbrojeni, gotowi do podejmowania najbardziej trudnych zadań bojowych związanych z poskramianiem zaębdów bolszewików.

Zygmunt Boradyn, nieżyjący już niestety historyk, który dotarł do sowieckich archiwów, na końcu swojej książki „Niemen. Rzeka niezgody...” zamieścił kalendarium walk i potyczek Okręgu Nowogródek AK z partyzantką sowiecką od maja 1943 do lipca 1944 roku. Wyrażnie z kalendarium wynika, że Zgrupowanie Stołpeckie por. „Góry” toczyło bardzo często, bywało że niemal co kilka dni, bitwy, potyczki z bolszewikami – i zawsze zwycięskie. Postrachem Sowietów był niezłomny ułan chor. Nurkiewicz. Znalazł się zapis z marca 1944 roku dowództwa brygady „Żukowa”: „Banda Nurkiewicza wyrządza nam większe szkody niż Niemcy”. Inny bolszewik, jeden z dowódców zgrupowania Baranowicze, narzekał, że „W roku 1944 [...] walczyliśmy prawie wyłącznie z polskimi legionistami, wielu ludzi zginęło przez nich”.

Pod koniec lipca por. Adolf Pilch dotarł ze swoimi żołnierzami w okolice Warszawy. Panował tutaj duży chaos decyzyjny. Dowiedział się m.in., że za współpracę z Niemcami zostanie skierowany przez Komendę Główną AK pod sąd polowy i czeka go kara śmierci. Pojawił się też zamiar komendanta Obwodu Warszawskiego AK rozbrojenia jego zgrupowania. Tylko kto miałby dokonać rozbrojenia prawie 900 po zęby uzbrojonych żołnierzy? Porucznik Pilch przyjął nowy pseudonim „Dolina” i oddał się w końcu pod komendę kpt. Józefowi Krzyckowskiemu „Szymonowi”. „Dolinacy”, bo tak nazwano żołnierzy Pilcha, odnieśli kilka znaczących zwycięstw, m.in. rozgromili we wsi Truskaw batalion formacji SS – RONA – w czasie bitwy zginęło 250 rosyjskich esesmanów.

„Oddziały Kampinosu łącznie z oddziałami nowogródzkiimi w ciągłych walkach w Puszczy Kampinoskiej oderwały się, chcąc się przebić w Góry Świętokrzyskie, lecz wskutek nieudolnego dowodzenia przez mjr. »Okonia« [Alfons Kotowski – przyp. D.J.] zostały otoczone pod Jaktorowem i rozbite – pisał płk Prawdzic Szlaski „Borsuk». Jednak »Dolina« uderza na tory kolejowe, przebija się przez Niemców i z niewielką grupą ułanów wydostaje się z pierścienia. W styczniu 1945 roku żołnierze Okręgu Nowogródzkiego AK znad błękitnego Niemna i z majestatycznej Puszczy Nalibockiej zakończyli ostatni marsz bojowy, zaścielając swymi ciałami mazowieckie pola. Szli do wolnej Polski. Historia wyznaczyła im szlak najbardziej tragiczny. Historia walk w Puszczy Kampinoskiej na terenie Okręgu Warszawskiego w czasie Powstania należy do historii Okręgu Nowogródzkiego AK”.

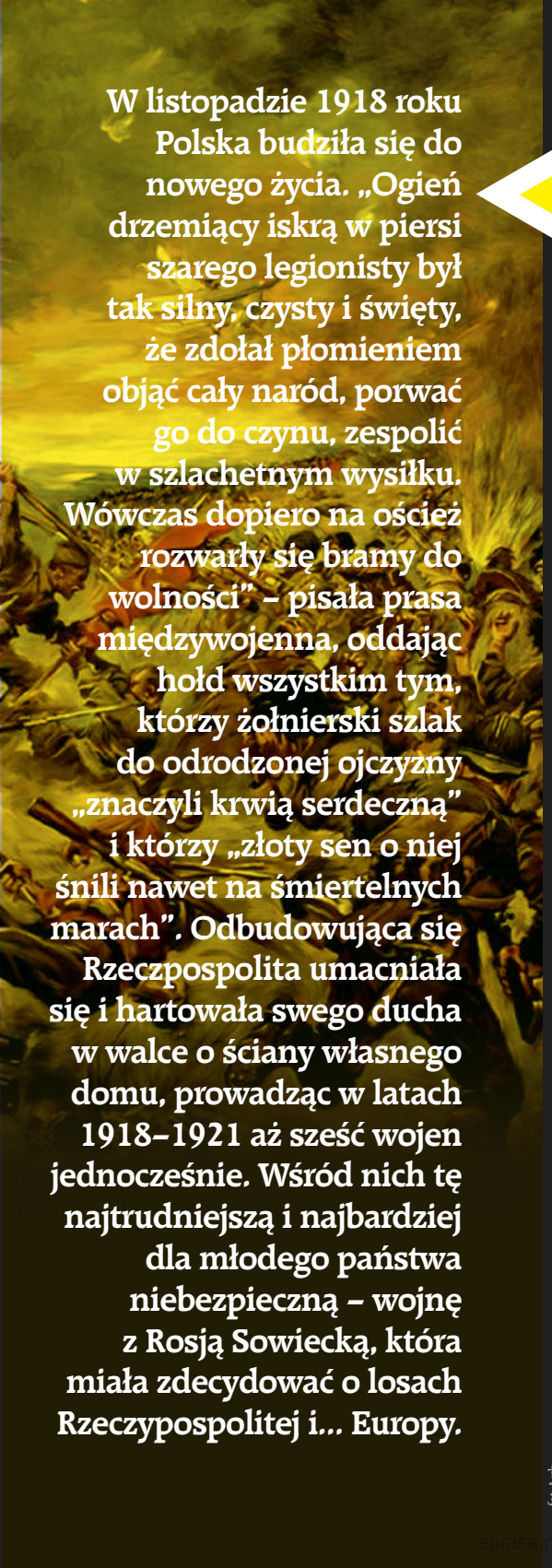
W 1990 roku Adolf Pilch „Góra” „Dolina” przyjechał po raz pierwszy po kilkudziesięciu latach z Londynu do ojczyzny. Entuzjastycznie był witany przez swoich żołnierzy, podkomendnych. Na jednym z powitalnych transparentów pojawił się napis „Dziękujemy Ci za życie”.



Agnieszka Kowalczyk

Z WOJNY POLSKO-BOLSZEWICKIEJ W STULECIE BITWY WARSZAWSKIEJ

Jerzy Kossak *Cud nad Wisłą 15 sierpnia 1920 roku*



W listopadzie 1918 roku Polska budziła się do nowego życia. „Ogień drzemiący iskrą w piersi szarego legionisty był tak silny, czysty i święty, że zdołał płomieniem objąć cały naród, porwać go do czynu, zespolić w szlachetnym wysiłku. Wówczas dopiero na oścież rozwarły się bramy do wolności” – pisała prasa międzywojenna, oddając hołd wszystkim tym, którzy żołnierski szlak do odrodzonej ojczyzny „znaczyli krwią serdeczną” i którzy „złoty sen o niej śnili nawet na śmiertelnych marach”. Odbudowująca się Rzeczpospolita umacniała się i hartowała swego ducha w walce o ściany własnego domu, prowadząc w latach 1918–1921 aż sześć wojen jednocześnie. Wśród nich tę najtrudniejszą i najbardziej dla młodego państwa niebezpieczną – wojnę z Rosją Sowiecką, która miała zdecydować o losach Rzeczypospolitej i... Europy.

Zaledwie siedem dni po tym, jak Polska odzyskała niepodległość, 18 listopada 1918 roku, Lenin wydał rozkaz rozpoczęcia operacji „Wileńsk”, równoznacznej z atakiem na Polskę i początkiem „czerwonego marszu” na Zachód. Gdy na przełomie grudnia i stycznia Armia Czerwona kierowała się w stronę Wilna, mieszkańcy miasta organizowali spontaniczną samoobronę, coś w rodzaju „ostatniego pospolitego ruszenia w naszych dziejach”, na którego czele stanął rtm. Jerzy Dąbrowski o pseudonimie „Łupaszko”. Wokół tego odważnego kawalerzysty gromadzili się ochotnicy przybyli konno z okolicznych zaścianków, fantazyjnie poubierani i uzbrojeni, by na jego komendę – „Chłopc! Ojczyzna! Bolszewicy! [...] Od prawego trójkami – stępa – marsz!” – ruszyć na wroga. Polskie oddziały wyszły naprzeciw rosyjskim z początkiem stycznia 1919 roku, bohatersko odpierając jego ataki aż do momentu wyczerpania amunicji i dostania się sztabu gen. Władysława Wetejki w ręce grasujących w okolicy Niemców. Wtedy też Dąbrowski zmuszony opuścić Wileńszczyznę, rozpoczął „400-kilometrowy rajd przez tereny, po których hulały trzy armie. 14 stycznia jego »zagończycy« pobili Niemców pod Jeziorami, 26 stycznia w Jeziornicy pobili Rosjan i wzięli 70 jeńców, 28 stycznia zajęli Prużany i rozbroili milicję ukraińską”. Po tym wszystkim „Łupaszko” zaatakował jeszcze Brześć zajęty przez Niemców, a w starciu z Rosjanami pod Kosowem (25 II) wziął do niewoli 90 „czerwonych ułanów”, zdobywając tabor, konie i karabiny maszynowe.

W tym czasie czerwonoarmiści posuwali się na zachód, zajmując nie bez walki Wilno, Lidę, Slonim i Sarny. W Berezie Kartuskiej zmierzył się z nimi oddział kapitana Piotra Mienickiego, który 14 lutego wyparł wrogie siły z miasta. Nazajutrz Polacy pokonali bolszewików w potyczce pod Zelwianką, a kilka dni później żołnierze ppłk. Sandeckiego odbili z ich rąk Maniewicze, zdobywając ponadto tabor artyleryjski, trzy pociągi i biorąc do niewoli kilkuset jeńców.

► Na odsiecz Matce Boskiej Ostrobramskiej

Wiosną 1919 roku Piłsudski postanowił rozpocząć operację mającą na celu wyzwolenie Wilna. W dzień odjazdu żegnał się z ukochaną Aleksandrą i roczną Wandą, która dopiero co zaczęła stawiać swoje pierwsze kroki. I tym razem zabrał z sobą, jak zwykle ruszając w drogę, medalik Matki Boskiej Ostrobramskiej, „Potop” Sienkiewicza, „Kronikę” Strykowskiego i oczywiście... fotografię córki. Przed rozpoczęciem wyprawy miał powiedzieć do swego adiutanta Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego: „Chłopcze, wiesz pan, do czego się my się zabieramy? Idziemy na odsiecz Matce Boskiej Ostrobramskiej”. W tej też intencji po-

stanowił nie wypalić ani jednego papierosa przez trzy dni, do czego zobowiązał się też solidarnie Wieniawa. 19 kwietnia dowódca kawalerii Władysław Belina-Prażmowski wraz ze swym zastępem 842 bitnych szabel „wspniałym marszem obseśli cały układ sił wroga, by z tyłu wpaść do głównego siedliska wszystkich władz bolszewickich” i przypuszczając gwałtowny szturm, opanować dworzec i większą część Wilna. W chwili krytycznej, napotykałemu na silny opór ponad 3 tys. żołnierzy Belinie, przyszły z pomocą posiłki piechoty dowodzonej przez Edwarda Rydza-Smigłego. 20 kwietnia, w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego, w wyniku ostatecznego natarcia miasto zostało odbite z rąk bolszewików. Polacy triumfowali. Radość była tym większa, że oswobodzono ponadto Lidę, Baranowicze i Mickiewiczowski Nowogródek. Następnego dnia, w wielkanocny poniedziałek, Piłsudski jako zwycięzca wjeżdżał na swej wiernej Kasztance do ukochanego Wilna „witany wśród powszechnego wzruszenia, szalonej radości i błogosławieństwa tłumów”. Ludność z ulgą przyjmowała swych wyzwolicieli. Kilkadziesiąt dni bolszewickich rządów wystarczyło, by zrujnować miasto, w którym nie działały żadne instytucje użyteczności publicznej, ulice zalewała woda kłoczna, konfiskacie uległy oszczędności bankowe, upadł handel, a we znaki dawał się wszystkim brak żywności i szalejący tyfus. Tym huczniej świętowano wyzwolenie spod władzy sowieckiej. Sam Piłsudski gorąco dziękował Ostrobramskiej Pani za odniesione zwycięstwo i wsparty na szabli wpatrywał się w jej oblicze, a spod powieki spływała na jego sumiaste wąsy ciężka łza. W rozkazie do żołnierzy uznał tę wileńską kampanię za „jedną z piękniejszych stron naszej historii wojskowej”. W odezwie do „mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego” gwarantował im wolność i możliwość samodzielnego decydowania o sobie, w związku z czym ustanowił w Wilnie zarząd cywilny i ogłosił wybory do Konstytuanty w tajnym, powszechnym i bezpośrednim głosowaniu.

► Na Kijów!

Tymczasem bolszewicy po ostatecznym rozprawieniu się z siłami gen. Denikina, na przełomie marca i kwietnia 1920 roku, gotowi byli wznowić swój marsz na Zachód. Wystarczyły cztery miesiące od początku roku, by ich siły na froncie wzrosły aż pięciokrotnie, sięgając liczby prawie 250 tys. żołnierzy. W obliczu grożącego Polsce niebezpieczeństwa Piłsudski postanowił sprzymierzyć się z Symonem Petlurą, przywódcą Ukraińskiej Republiki Ludowej, czego efektem stała się zbrojna wyprawa na Kijów, której celem było doprowadzenie do „restytucji Ukrainy naddnieprzańskiej” oraz do „kom-

pletnego zniszczenia operujących na tym froncie sił bolszewickich”. Gotujący się do ofensywy polsko-ukraińskiej Marszałek zamierzał „osłabić możliwość przyszłej potężnej Rosji i, jeśli się uda, dopomóc stworzeniu Ukrainy, która będzie zaporą między nami i Rosją i na długie lata nie będzie nam groźną”. W wyniku rozpoczętej 25 kwietnia 1920 roku kampanii wojennej zajęto Żytomierz, Koziatyń, Berdyczów, Winnicę, Bar i Czarnobyl, a 7 maja polska kawaleria zdobyła Kijów. Te militarne sukcesy sprawiły, że podczas uroczystego posiedzenia Sejmu marszałek Wojciech Trąpczyński przyznawał, że „od czasu Chocimia naród polski takiego triumfu oręża polskiego nie przeżywał [...]”. Zwycięski pochód na Kijów dał narodowi poczucie siły, wzmocnił wiarę w wolną przyszłość”.

► Zwyciężyć „pańską Polskę”

Niebawem jednak, bo już 5 czerwca 1920 roku, na Ukrainie pojawić się miały nowe siły bolszewickie, a wraz z nimi 1. Armia Konna Siemiona Budionnego, licząca ponad 20 tys. żołnierzy – zapamiętała w swym okrucieństwie formacja barbarzyńców XX wieku, która wchodziła w skład wojsk Południowo-Zachodniego Frontu Aleksandra Jegorowa. Ta, przełamawszy polski front pod Samhorodkiem, parła dalej na zachód, usiłując zająć Lwów, a potem Zamość i dokonując po drodze makabrycznych zbrodni na jeńcach oraz ludności cywilnej. Jednocześnie wojsko polskie zmierzyć się musiało z siłami Michaiła Tuchaczewskiego, dowódcy Frontu Zachodniego, który wyruszając na Warszawę w maju 1920 roku, miał wypełnić wolę Lenina – zwyciężyć „pańską Polskę” i rozprzestrzenić w Europie ogień rewolucji komunistycznej. W wydanym 2 lipca rozkazie do Armii Czerwonej Tuchaczewski przemawiał do żołnierzy: „Wybiła godzina odwetu. Nasze wojska na całym froncie przechodzą do natarcia. Setki tysięcy bojowników przygotowały się do straszego dla wrogów uderzenia. Wielki pojedynek rozstrzygnie losy wojny narodu rosyjskiego z polskimi gwałcicielami. [...] Na Zachodzie decydują się losy światowej rewolucji. Przez trupa białej Polski prowadzi droga do światowego pożaru. Na bagnietach poniesiemy szczęście i pokój pracującemu człowieczeństwu. Na zachód! Do decydujących bitew, do głośniejszych zwycięstw! Szykujcie kolumny bojowe. Wybiła godzina natarcia. Na Wilno, Mińsk, Warszawę – marsz!”. Według obliczeń Bohdana Urbankowskiego stan liczebny armii Tuchaczewskiego wynosił co najmniej 280 tys. szabel i bagnietów, podczas gdy przeciw zagrażającym Warszawie bolszewikom Piłsudski był w stanie wystawić około 120–180 tysięcy żołnierzy.

Po trzech dniach intensywnych walk bolszewicy przełamali linię Berezyny i zajęli kolejno Mińsk, Wil-

no i Grodno. 23 lipca Tuchaczewski wydał rozkaz zdobycia Warszawy. Pięć dni później we wsi Leman nad Turoślą sowiecki korpus kawalerii (tzw. Kawkor) pod wodzą dzikiego Gaj-Chana „przeprowadzał ćwiczenia” na 43 schwytanych polskich jeńcach, których ścinano i rąbano szablami bez litości. Pojmani służyli kozakom za żywe manekiny, niektórych „przywiązano do pali i drzew, niektórym tylko skrępowano ręce i nogi tak, by nie mogli uciec, mogli się jednak ruszać, skakać, robić uniki. Chodziło o zwiększenie stopnia trudności ćwiczeń”.

► Do bronii!

Tymczasem Piłsudski stanąwszy na czele powołanej przez Sejm Rady Obrony Państwa, zwrócił się do rodaków, przedstawiając rozmiary zagrożenia i wzywając do jednności w starciu z wrogiem:

„Ojczyzna w potrzebie!

Wrogowie otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krwią i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców, ciągnące aż z głębi Azji, usiłują złamać bohaterские wojska nasze, by runąć na Polskę, strącić nasze niwy, spalić wsie i miasta i na cmentarzysku polskim rozpocząć swoje straszne panowanie. [...] Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do bronii!”.

Sytuacja na froncie pogarszała się jednak z dnia na dzień, tak iż 2 sierpnia wojska bolszewickie zajęły broniony przez gen. Sikorskiego Brześć i przekroczyły Bug, nazajutrz padła Łomża, a potem – Ostrołęka. Piłsudski miał świadomość, że w ostatecznym starciu z Rosją Sowiecką II Rzeczpospolita zdana będzie tylko na własne siły. Polska misja dyplomatyczna, wysłana jeszcze w lipcu tego roku na konferencję państw alianckich w Spa, nie spotkała się ze zrozumieniem szefów rządu Wielkiej Brytanii (Davida Lloyd George’a) i Francji (Alexandre’a Milleranda). W zamian za przeprowadzenie rokowań z bolszewikami i ewentualne wsparcie zbrojne domagali się wycofania naszych wojsk za linię Curzona (za Bug i San), na co Polska nigdy nie mogła się zgodzić. Sytuacja osamotnionej Rzeczypospolitej stała się krytyczna. „Brytyjczycy odmówili udzielenia Polsce pomocy wojskowej, pomimo iż wcześniej wyraźnie się do tego zobowiązywali – pisze Norman Davies w „Bożym Igrzysku” – Francuzi nie podbudowali żadnymi posiłkami niewielkiej misji wojskowej. Wstrzymano francuskie kredyty militarne dla Polski. Wrzaskliwa kampania propagandowa rozpętana pod hasłem »Ręce precz od Rosji!« sprawiała na manowce światową opinię publiczną

w chwili, gdy Rosja Sowiecka kładła okrutną łapę na ziemiach swojego polskiego sąsiada. Dyplomaci Lenina powtarzali piękne słówka na temat pokoju, podczas gdy jego generałowie prowadzili wojnę”. Na domiar złego Niemieccy dokerzy w Gdańsku i czescy kolejarze w Brnie z rozmysłem doprowadzili do opóźnienia i tak nielicznych dostaw broni dla zagrożonej najazdem Polski. Mimo poczucia śmiertelnego niebezpieczeństwa Piłsudski wierzył, że zwycięstwo jest wciąż możliwe i że „w trzech czwartych zależy od siły i postawy moralnej wojska i społeczeństwa, a w jednej czwartej od przygotowania pod względem technicznym”.

► Plan Piłsudskiego

W sytuacji nieuniknionego starcia z bolszewikami Marszałek w nocy z 5 na 6 sierpnia pieczętował plan całej kontrofensywy – ryzykowny, ale jedyne, dający jakąkolwiek szansę wygranej, plan, który zamierzał wcielić w życie podczas rozstrzygających walk nad Wisłą. Koncepcja wodza przewidywała utworzenie nad rzeką Wieprz specjalnej grupy uderzeniowej, która niespodziewanie zaatakowałaby lewe skrzydło Rosjan, wtedy gdy ich główne siły zaangażowane będą w walkach pod Warszawą. Z powodu braku rezerw grupa taka powstała z operujących na Froncie Środkowym dywizji dowodzonych przez Edwarda Rydza-Smigłego. „Plan Piłsudskiego – jak ocenia Urbankowski – rzeczywiście mógł wydać się fantastyczny, sam autor w »Roku 1920« uznał go za »ponadludzką możliwość«. Rozkaz przegrupowania nie tylko tworzył z dwóch frontów trzy, ale »na żywo« rozmieszczał wojska jeszcze związane walką o 200 kilometrów od pół planowanej bitwy i – co wręcz nieprawdopodobne – z oddziałów wyczerpanych ucieczką tworzył grupę uderzeniową. [...] rozkaz odrywał od frontu 4. Armii Skierskiego i nakazywał odwrót najlepszym dywizjom legionowym (1. i 3.) nad Wieprz”. Frontem Północnym dowodzić miał Józef Haller, Południowym – Wacław Iwaszkiewicz, a Środkowym – sam Piłsudski, który zamierzał osobiście poprowadzić żołnierzy do natarcia. 14 sierpnia, od świtu do północy, Wódz Naczelny objeżdżał wszystkie dywizje i swoim gorącym słowem wlewał bojowego ducha w serca tysięcy żołnierzy, „siłą woli przetwarzał zmęczonych odwrotem morderów w pewną zwycięstwą armię”.

Bitwa Warszawska rozgrywała się jednocześnie na „trzech odległych placach boju” – nad Wkrą, Bugiem i Narwią, na przedmieściach Warszawy oraz nad Wieprzem. Po polskiej stronie według ustaleń historyka Mieczysława Wrzosa stało do walki około 115 tys. bagnetów i 7–8 tys. szabel, a po rosyjskiej – 180 tys. bagnetów i 7–8 tys. szabel, nie licząc sił Frontu Połu-

dniowo-Zachodniego, które w każdej chwili mogły przyłączyć się do szturm na Warszawę. Pewni zwycięgo zwycięstwa czerwonoarmiści czekali tylko chwili wtargnięcia do polskiej stolicy, by mając przyzwolenie swych dowódców, nasycić się okrucieństwem, rabunkiem i mordem.

► Dawaj Warszawę!

12 sierpnia na szosie pod Radzyminem pojawiły się sowieckie oddziały 21. Dywizji Strzelców pod dowództwem Iwana Smolina. Nadejście ich obwieszczała najpierw bojowa muzyka orkiestr, a potem ostra seria wystrzałów wymierzona w 46. Pułk Strzelców Kresowych rozsiadanych na przedpolach miasteczka. Zmasowany ostrzał trwał całą noc i cały dzień, co „wykańczało psychicznie i fizycznie tkwiących w płytkich okopach żołnierzy”. Naprzeciw Polaków stanęła też 27. omska Dywizja Strzelców, która zyskała sobie miano „żelaznej” po zwycięstwie nad Aleksandrem Kołczakiem. Była to formacja elitarna, przerzucona nad Wisłę z Syberii, która do boju szła z okrzykiem „Dawaj Warszawę!” Polskim siłom liczącym 2567 bagnetów, 35 dział i 22 karabiny maszynowe przyszło zmierzyć się pod Radzyminem z czterema sowieckimi brygadami uzbrojonymi w 7 tys. bagnetów, 59 dział i 200 karabinów maszynowych. Gdy 13 sierpnia broniący miasteczka żołnierze ujrzeni skapanie w krwawym blasku zachodzącego słońca sowieckie tyraliery, które co rusz wypadały z lasów, zbliżając się ku nim w martwej ciszy, nie wytrzymali... Zostawili okopy i rzucili się do ucieczki... Bezskutecznie zagradzał im drogę sierżant Józef Matlak, „prosił, rozkazywał, kłął – wszystko daremnie”. Niewiele myśląc, poderwał się z karabinem w rękę, by osłaniać wycofujących się w popłochu, póki sam nie poległ rażony moskiewską kulą i zadżgany bagnetem. Nazajutrz rano 85. Pułk Strzelców Wileńskich wyruszył, by odbić Radzymin. Przewodził mu mjr Stanisław Bobiatiński, „olbrzym, który z powodu inwalidztwa nie mógł chodzić piechotą, z racji ciężaru nie mógł jeździć konno – więc szarżował na czele pułku w powozie zaprzężonym czasem w parę, a czasem i w większą liczbę koni [...]”. Przed atakiem na Radzymin stała się jednak rzecz niezwykła: Bobiatiński wysiadł z powozu i podpierając się laską pieszo poprowadził swoich żołnierzy do szturm – jak opisuje całą rzecz Urbankowski. Ci zaś intonując pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła”, rzucili się ku nieprzyjacielowi stacjonującemu we wsi Cegielnia, by za chwilę „na karkach uciekających Rosjan” wpaść do Radzymina, który na kilka zaledwie godzin znalazł się w polskich rękach. W wyniku bowiem zmasowanego kontrataku bolszewicy wyparli stamtąd Polaków, przebijając drugą linię naszej obrony oraz zagarniając Dąbkowiznę i Wólkę Radzyńską.

► „Wróg będzie pobity”

Jeszcze tego samego dnia (14 sierpnia) nad ranem ukrywający się w oparach mgły Sowietci zdobyli Leśniakowiznę i podeszli pod wioskę Ossów, której zajęcie byłoby równoznaczne z dostaniem się na tyły drugiej linii polskiej obrony. Czyniono więc wszystko, by do tego nie dopuścić. Do dyspozycji Polacy mieli jednak tylko zdziesiątkowany już batalion z 33. pułku Sawickiego, liczący co najwyżej 100 żołnierzy oraz przybyły nocą 1. Batalion 236. Pułku Piechoty Ochotniczej im. Weteranów Powstania Styczniowego. Tworzyli go uczniowie szkół warszawskich, w tym skauci z gimnazjum Łępkowskiego idący w bój wraz ze swym katechetą 27-letnim księdzem Ignacym Skorupką, który był dla nich wzorem patriotyzmu. Kilka tygodni wcześniej, przyjmując życzenia urodzinowe (31 lipca) od sierot, którymi opiekował się w Ognisku, wypowiedział prorocze słowa: „Nie martwcie się. Bóg i Matka Boska Częstochowska, Królowa Korony Polskiej nie opuści nas i ześle nam człowieka, jak ksiądz Kordecki, jak Joanna d’Arc we Francji. Człowiek ten stanie na czele armii, doda odwagi i nastąpi zwycięstwo. Bliższym jest ten dzień. Nie minie dzień 15-ty sierpnia, dzień Matki Boskiej Zielnej, a wróg będzie pobity”. Sam miał jakieś wewnętrzne przeczucie, że z wyprawy wojennej już nie powróci. Wypowiadał się więc w kościele na Miodowej i napisał testament, kończąc go prośbą o pochowanie w albie i w ornacie. Tymczasem batalion, z którym doszedł w okolice Ossowa, rozłożył się na nocleg, ale sen nie był pisany tej młodej żołnierskiej braci, bo gdy o czwartej nad ranem padły moskiewskie strzały, wszyscy zerwali się na równe nogi. Pierwsze skierowane do ataku kompanie zostały rozgromione, znalazłszy się w zasięgu rosyjskich kulomiotów, dwie zaś ostatnie miał poprowadzić w ogień walki ppor. Mieczysław Słowikowski. Po drodze dopędził go zdyszany ksiądz Skorupka, prosząc, by zabrał go z sobą. „To będzie nasze zwycięstwo” – zawyrokował i pobięł przodem przez pola, potykając się raz po raz o grudy ziemi, nie z bronią w rękę, lecz z wyciągniętym krzyżem, w żołnierskim płaszczu narzuconym na sutannę. Po pewnym czasie Słowikowski stracił go z pola widzenia, a ujrzawszy przed sobą coraz wyraźniej zarysowującą się linię nieprzyjacielskiej piechoty, która próbowała wdrzeć się do Ossowa, krzyknął na swoich, by gotowali bagnety. Ci zaś rzucili się na Rosjan z impetem i tym zdecydowanym natarciem zdołali wyprzeć ich ze wsi, wytrzymując aż siedem bolszewickich ataków. Osłabionych żołdatów pokonali ostatnim już uderzeniem, tak iż rozpieczęli się w popłochu. Bój, choć zwycięski dla Polaków, okupiony został poważnymi stratami 60 zabitych i 300 rannych, co stanowiło 70 procent oddziału. Była to ce-

na, jaką przyszło zapłacić Polakom za utrzymanie Ossowa i odzyskanie pierwszej linii obrony.

Gdy fala radości ogarniała polski obóz, ppor. Słowiowski uświadomił sobie, że nigdzie nie ma ks. Skorupki. Znalazł go w polu. Nie żył już jednak, a przed zmarłym leżał „jakby ścięty nożem wierzch jego czaszki z mózgiem”. Ciało nosiło ślady po śmiercionośnej kuli i ran od pchnięć bagnietem. Zmasakrowany trup był odarty z butów. Gdy podporucznik odwrócił go na wznak, zobaczył twarz młodego kapłana, spokojną, z rysującym się na niej nieziemskim uśmiechem. Śmierć księdza Skorupki miała głęboko symboliczny wymiar dla walczących i stała się, jak powiedział kardynał Aleksander Kakowski, „punktem zwrotnym w bitwie pod Ossowem i w dziejach wojny 1920 roku. Do tej chwili Polacy uciekali przed bolszewikami, od-tąd uciekali bolszewicy przed Polakami”.

W istocie w żołnierza polskiego wstępował nowy duch i oto karta historii zaczęła się odwracać. Nocą 15 sierpnia batalion Stefana Pogonowskiego zmierzający w stronę Wólki Radzymskiej stał się z Sowietami w okolicy Mostków Wólczyńskich. Prowadzący swych żołnierzy do ataku Pogonowski został śmiertelnie ranny i na placu boju zastąpił go podporucznik Jerzy Boski, który w pół godziny zdołał zająć Wólkę i wziąć do niewoli 30 Rosjan oraz przejąć ich karabiny maszynowe. Walkę tę potraktować by można w kategoriach mniej znaczącej potyczki, gdyby nie fakt, że uczyniła ona niesamowite wrażenie na wrogu i przyniosła nieoczekiwane konsekwencje. Rosjanie wpadli w panikę, sądząc, że mają do czynienia z silną kontrofensywą całej armii na ich tyły. W istocie nacierał na nich tylko jeden polski batalion, lecz atakiem swym zasiał wielki popłoch w szeregach nieprzyjaciela i doprowadził do jego załamania psychicznego. Pozwoliło to Polakom na odzyskanie Dąbkowizny i utraconej wcześniej drugiej linii obrony. Teraz generał Żeligowski gotował się do odbicia Radzymina. Najpierw rzucił do ataku dywizję litewsko-białoruską, a gdy bolszewicy ją wyparli – 30. Pułk Strzelców Kaniowskich dowodzony przez Kazimierza Jacynika. Szedł on pełną parą, rozbijając z hukiem rosyjskie tyraliery, tak iż wkrótce odwróciły się role walczących w bitwie o Radzymin. Teraz to Rosjanie widzieli idące na nich zwarte szyki polskiej piechoty, przyglądając się ich „ogromniejącym cieniom na tle złotych i purpurowych blasków zachodzącego słońca”. Mimo gwałtownego sowieckiego ostrzału siłom polskim udało się wedrzeć do miasta i niemal po godzinie zająć rynek. Dalsze walki toczyły się w ognistym blasku podpalonego przez żołdaków browaru. W końcu dzięki napływającym posiłkom ostatnia linia obrony Rosjan została przełamana.

► Decydujące starcie

W wyniku zacieklej walk toczonych 14 i 15 sierpnia pod Radzyminem frontalny szturm Armii Czerwonej na Warszawę został zatrzymany. Następnego dnia, w czasie gdy 5. Armia dowodzona przez generała Władysława Sikorskiego walczyła na linii Wisły i Wkry, skutecznie kontratakując bolszewików, Piłsudski na czele Grupy Uderzeniowej natarł znad Wieprza na tyły oddziałów Tuchaczewskiego i zmusił je do wycofania się spod Warszawy, pędząc przed sobą w kierunku Niemna i Prus Wschodnich. 31 sierpnia Armia Konna Budionnego rozgromiona została przez Polaków pod Komarowem w „największej bitwie kawaleryjskiej XX wieku i ostatniej tego rodzaju bitwie w dziejach”. We wrześniu natomiast, dzięki ofensywie polskiej na froncie południowym wyparto bolszewików za rzeki Zbrucz i Górny Styr. Na froncie północnym natomiast doszło do ostatecznego pokonania wojsk Tuchaczewskiego w kilkudniowej bitwie nad Niemnem (20–26 września).

Dzięki wcieleniu w życie planu Piłsudskiego „ocalała nie tylko Warszawa, ocalała nie tylko Polska – wyznaje w swoich wspomnieniach Aleksandra Piłsudska – Zwycięstwo nad Wisłą załamało marsz wojsk bolszewickich na Europę. Była to bitwa o zwycięstwo cywilizacji i wolność całego Zachodu. [...] Ćwierć tysiąclecia przedtem oręż polski dokonał podobnego rozstrzygnięcia, kiedy Jan Sobieski rozbił armię turecką pod Wiedniem”. Z kolei angielski dyplomata Edgar d'Abernon, będący świadkiem polsko-bolszewickich zmagani i zarazem autorem książki pod wymownym tytułem „Osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata pod Warszawą...”, stwierdził, że „w 1920 roku Europę zbawiła Polska” i że zwycięstwo nad siłami groźnymi całemu kontynentowi było osiągnięte przede wszystkim dzięki „strategicznemu geniuszowi jednego człowieka i dzięki przeprowadzeniu przez niego akcji, tak niebezpiecznej, że wymagała ona nie tylko talentu, ale i bohaterstwa”. Sam Piłsudski natomiast w swej książce „Rok 1920” napisał, że wojna z bolszewikami „wstrząsnęła losami dwóch państw bezpośrednio, liczącą razem 150 milionów ludzi” i „omal nie wstrząsnęła losami całego cywilizowanego świata”.

Źródła: B. Urbankowski, „Józef Piłsudski. Marzyciel i strateg”, t. 1, Warszawa 1997; W. Suleja, „Józef Piłsudski”, Wrocław 2004; J. Szarek, „Przebudzenie Polaków. 1920. Prawdziwy Cud nad Wisłą”, Kraków 2015.

Gdyby ktokolwiek w Polsce myślał na serio o odrodzeniu tradycji polskiej lewicy, portal Remigiusza Okraski Lewicowo.pl „poświęcony tradycjom polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej”, zbierający ponad 1300 tekstów na ten temat, stałby się jej znakomitą zapleczem. Rzecz w tym, że nigdy po 1989 roku nikt tego zadania się na serio nie podjął, dlatego w Sejmie pod nazwą „Lewica” mamy zlepek ugrupowań, których ideologia jest sumą najbrzydszych postulatów programowych, jakie da się wymyślić. Obrona emerytur bezpieki, zachowanie komunistycznych nazw ulic, epatowanie proaborcyjnym radykalizmem, opętarczy antyamerykanizm

sprzeczny z polską racją stanu, wreszcie chęć obalenia PiS wraz z właścicielami III RP – to ma być współczesna ideologia polskiej lewicy. By zobaczyć, ile ma ona wspólnego z jej tradycjami, wystarczy wejść na Lewicowo.pl i przeczytać publicystykę Zygmunta Zaremba – pepeesowca konspiracyjnego pod zaborami, posłującego w II RP, walczącego w Powstaniu Warszawskim, wreszcie wygnańca w czasach PRL. Poniżej fragmenty trzech ważnych tekstów lewicowego autora: o stosunku do komunizmu, o współtworzonym przez niego pod bombami programie politycznym Powstania Warszawskiego, wreszcie o jego ocenie programu Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego.

Zygmunt Zaremba

Odpowiedź mordercom

Trzeba walczyć ze złem w Polsce. Trzeba pracować dla sprawy i nie ustawać, aż przepędzimy z Polski katów Radkiewiczów i ich lokai.

W ciągu ostatnich tygodni potworne wiadomości doszły nas z Polski: o męczeńskiej śmierci Antoniego Zdanowskiego i Janiny Pajdak. To ostatnie nazwisko mało jest znane. Żona starego działacza PPS, który, aresztowany wraz z piętnastoma przywódcami Polski Podziemnej, cierpi męki więzienia sowieckiego, weszła do szeregów walczących dopiero podczas konspiracji i uwięziona została w czasie aresztowania starej gwardii PPS. Za to Antoniego Zdanowskiego знаła cała klasa robotnicza w Polsce przed wojną i po wojnie jako niezmordowanego pracownika dla sprawy robotniczej. Dziś stoimy wobec wstrząsającej tragedii śmierci tych dwojga ludzi z rąk oprawców Bezpieki.

Bezpieka warszawska mówi o samobójstwie Zdanowskiego. Bezpieka krakowska tak samo opowiada, że Pajdakowa wyskoczyła z okna w czasie badania. Wobec tych twierdzeń pozostaje tylko: albo tortury zastosowane przez katów Radkiewicza były tak straszne, że ofiary ich nie przeżyły, albo też udręka badań w kazamatach urzędów bezpieczeństwa jest tak potworna, że doprowadza ludzi do samobójstwa. A nie byli to ludzie słabi. Przeszli całe piekło okupacji niemieckiej, nie opuszczając na chwilę szeregów walczących, nie dając się złamać ani grozie codziennych rozstrzeliwań, ani też nastrojom beznadziejności, jakie ogarniały nieraz nasz kraj w czasie triumfów Hitlera. Byli to ludzie silni i wierzący w ostateczne zwycięstwo.

Odrzucamy więc opowieści Bezpieki o samobójstwie. Tym bardziej że nie ma na to wiarygodnych świadectw lekarskich, a ciała zapieczętowano pośpiesznie w trum-

nach i równie pośpiesznie a po cichu je pogrzebano. Chociaż więc ponura tajemnica długo jeszcze osnuwać będzie ostatnie męczeńskie chwile życia tych ludzi do ostatka wiernych sprawie socjalizmu i niepodległości, nie ulega wątpliwości, że zbrodnia ta spada całym ciężarem na zbiorów Radkiewicza i na rząd warszawski, którego członkiem i główną sprężyną jest ten agent sowiecki.

I nie ma chyba nikogo, kto by wraz z nami nie pochylił czoła przed ofiarą życia złożoną na ołtarzu sprawy wolności. Nie ma nikogo, kto, myśląc o tej tragedii, nie zastanowiłby się nad potwornym losem naszego kraju, którego najlepsi synowie i córki poddawani są ciągle najstraszniejszym próbom. Ale nie wystarczy tylko pomyśleć o losach kraju lub uczcić poległych w walce. Ich męka i śmierć powinny wskazać każdemu, że nie wolno stać bezczynnie. Trzeba walczyć ze złem w Polsce. Trzeba pracować dla sprawy i nie ustawać, aż przepędzimy z Polski katów Radkiewiczów i ich lokai.

„Nikt dla idei nie ginie marnie” – mówi nasza pieśń bojowa. Na miejsce poległych dla sprawy staje zawsze zdwojona gromada bojowników. Niechaj i ta śmierć podwoi szeregi PPS, podwoi nasz zapał do walki o sprawę, dla której zginęli Zdanowski i Pajdakowa, jak ongiś ginęli Okrzeja czy Mirecki. ■

Tekst ukazał się w wydawanym w Paryżu „Robotniku w walce”, piśmie Polskiej Partii Socjalistycznej, w marcu 1948 roku.

Zygmunt Zaremba

Spółeczne oblicze powstania

Deklaracja z dnia 15 sierpnia 1944 roku, ogłoszona przez Krajowe Porozumienie Polityczne, stała się konkretnym programem demokratycznym walczącego w kraju i na emigracji państwa polskiego. Powstanie Warszawskie, będące szczytowym punktem walki narodu polskiego z przemocą hitlerowską i zakusami na jego wolność idącymi od Wschodu, tym właśnie ideałom dało najszczytniejszy wyraz.

15 sierpnia 1944 roku, po dwóch tygodniach powstania, Rada Jedności Narodowej (obradująca podczas powstania w pełnym składzie przedstawiciele stronnictw i grup politycznych; były w niej reprezentowane PPS, Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Pracy, każde po trzech reprezentantów oraz Zjednoczenie Demokratyczne, Chłopska Organizacja „Raclawice” i organizacja „Ojczyzna”, po jednym przedstawicielu) zwróciła się do narodu polskiego z manifestem, w którym czytamy:

„Polska w tej wojnie walczy nie tylko o byt i niepodległość, ale i o wyższe cele. W ramach Karty Atlantycznej, określającej cele wojenne narodów sprzymierzonych, Polska ma swoje własne dążenia i konieczności dziejowe. Zagrożona powtarzając się raz po raz agresją imperializmów, Polska musi mieć zapewnione bezpieczeństwo i możliwość spokojnej pracy na wiele pokoleń. Polska chce się rządzić według własnych zasad i praw. [...] Stanowią one gwarancję, że ustrój przyszłej Rzeczypospolitej oparty będzie o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną.

Podstawami ustroju Polski, jako Rzeczypospolitej demokratycznej, będą:

a) przyszła konstytucja, zapewniająca sprawne rządy, zgodne z wolą ludu;

b) demokratyczna ordynacja wyborcza do ciał ustawodawczych i samorządowych, dająca wierne odzwierciedlenie opinii społeczeństwa;

c) przebudowa ustroju rolnego przez parcelację przeznaczonych na ten cel posiadłości niemieckich i obszarów ziemskich ponad 50 ha oraz kierowanie nadmiaru ludności rolnej do pracy w przemyśle i rzemiośle;

d) uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu;

e) współudział pracowników i robotników w kierownictwie i kontroli produkcji przemysłowej;

f) zagwarantowanie wszystkim obywatelom pracy i dostatecznych warunków bytu;

g) sprawiedliwy podział dochodów społecznych;
h) upowszechnienie oświaty i kultury”.

Znajdujemy tu zarys programu rzetelnej demokracji, zmierzającej ku gruntownej przebudowie ustroju społeczno-gospodarczego państwa. Dumny może być polski ruch socjalistyczny, jego to bowiem zasady programowe znalazły tu powszechną aprobatę! Rada Jedności Narodowej pod przewodnictwem Kazimierza Pużaka, sekretarza generalnego PPS, nie tylko przyjęła ten program społecznej demokracji, ale korzystając z możliwości zgromadzania się, przystąpiła natychmiast do obalenia tych zasad w konkretne formy ustaw i rozporządzeń. [...]

I chyba jedynym tego rodzaju wydarzeniem w dziejach były posiedzenia Rady Jedności Narodowej, konspiracyjnego parlamentu reprezentującego naród walczący o swe wyzwolenie w najtrudniejszych warunkach. Posiedzenia te odbywały się bardzo często: w pierwszej fazie, do września, prawie codziennie. Lokale były zmieniane w zależności od nasilenia ognia w danym punkcie miasta. Gdy pociski rozwalły dom, w którym obradowano, przenoszono się do drugiego. Akompaniamentem piekielnego świstu samolotów i wybuchów zrzuconych przez nie bomb, huk rwących się gdzieś obok pocisków artyleryjskich, brzęk resztek lecących z okien szyb, stale towarzyszyły obradom.

[...] dorobek ideologiczny powstania, dający wyraz przemianom społecznym i nowym poglądom, jakie utrwały się w łonie społeczeństwa polskiego w toku walki z okupantem niemieckim, nic nie traci na swym znaczeniu. Stanowi ono nadal podstawę, na której społeczeństwo chce się rozwijać i do której wbrew swej woli musi się nagiąć nawet system rządów narzuconych. ■

Tekst ukazał się 3 września 1944 roku w PPS-owskim dzienniku „Robotnik”, wydawanym w powstańczej Warszawie.

Zygmunt Zaremba

Dyskusja z Kuroń i Modzelewskim

Błąd koncepcji Kuronia i Modzelewskiego jest nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie szkodliwy, bo nie przyczynia się do skupienia wszystkich sił demokracji socjalizmu, lecz usiłuje kultywować koncepcję, która już raz siły te rozbroiła.

Uwięzienie Kuronia i Modzelewskiego nie zamknęło – jak to wydaje się policjantom reżymowym – sprawy, którą oni podjęli. Przeciwnie, godna postawa, odwaga przekonań i gotowość poświęcenia dla nich swej wolności nadała głoszonemu przez nich ideom aureoli wielkiej sprawy. Świadczy to o poważnym poszukiwaniu przez młode pokolenie, wtłoczone w zaułek pełen kłamstwa i obłudy, wyjścia ku zgodności między głoszonymi oficjalnie ideami i zaprzeczającą im działalnością partii. Te poszukiwania obejmują dziś szerokie kręgi członków PZPR. Nie bagatelizujemy ich, choć w wielu punktach zajmujemy przeciwne niż Kuroń i Modzelewski stanowisko. [...]

Jacek Kuroń i Karol Modzelewski są dziećmi ideowych komunistów. Widzą zwyrodnienie idei ojców i usiłują przeciwstawić złej rzeczywistości pierwotne założenia władzy Rad Delegatów Robotniczych i dyktatury proletariatu w warunkach wielopartyjności ruchu robotniczego, pełnej samodzielności związków zawodowych oraz swobody słowa i zrzeszeń. Takie cofnięcie się na pozycje ideologiczne bolszewizmu z okresu poprzedzającego przewrót październikowy (i jeszcze utrzymywane przez pewien czas po przewrocie) świadczy, że grupa mieniąca się lewicą ruchu komunistycznego traktuje późniejszą ewolucję komunizmu jako przypadek, a nie konsekwencję błędu samego założenia ideologicznego partii „zawodowych rewolucjonistów” dowolnie kształtujących stosunki społeczne.

Pomijając tę stronę zagadnienia, trzeba też podkreślić, że Kuroń i Modzelewski nie chcą widzieć, jak na nowym podłożu przekształceń strukturalnych w gospodarce i stosunkach społecznych zarówno hasło władzy Rad, jak i dyktatury proletariatu straciło zupełnie swe dawne znaczenie. Rady Delegatów nie zdały egzaminu organów władzy, a dyktatura proletariatu okazała się tylko wygodną pokrywką dla dyktatury „centralnej biurokracji politycznej”. Powrót do tych haseł jest wyraźnym anachronizmem. [...]

Słuszne więc jest wysunięcie na czoło zadań klasy robotniczej sprawy zabezpieczenia producentom, tj. robotnikom i pracownikom umysłowym, faktycznego wpływu na bieg produkcji, a więc zrealizowania pełnego samorządu Rad Robotniczych, słuszny jest również postulat powołania do życia krajowej reprezentacji samorządu robotniczego w jakiejś Centralnej Radzie Producentów, jak wskazuje przykład

Jugosławii. Rada winna posiadać prawo inicjatywy i główną rolę w tworzeniu planu gospodarczego, ale utożsamianie – jak to robią Kuroń i Modzelewski – takiego organu demokracji gospodarczej z organami władzy politycznej jest chyba nieporozumieniem, wynikającym z zastarzałych przesądów antyparlamentarnych. Wiąże się to niewątpliwie z pragnieniem utrzymania w mocy tradycyjnego sloganu komunistycznego o „przodowniczej roli klasy robotniczej”, ale dzisiaj w warunkach powszechnej prawie proletaryzacji ludności, gdy chodzi o przezwycięzenie dyktatury biurokracji partyjnej i państwowej naczelnym zadaniem jest zdobycie wszystkich warstw ludności pracującej – robotników, chłopów, drobnych posiadaczy i inteligencji – dla realizacji socjalizmu, a w takim ujęciu narzucanie „przodownictwa” robotników może tylko szkodzić sprawie. [...]

Przeciwnie, musi dążyć do stworzenia warunków, w których całe społeczeństwo, wszystkie jego warstwy znajdą możliwość aktywnego udziału w życiu nie tylko swej fabryki czy gminy, ale i państwa. Do tego celu nie ma innej drogi jak tylko parlamentaryzm w dobrym znaczeniu tego wyrazu, z systemem kilkupartyjnym.

W warunkach dyktatury biurokratycznej skuteczność walki zależy od skoncentrowania woli zmiany w najszerzych kołach społeczeństwa. Tworzącą się nowa klasa panująca jest jeszcze w krajach „demokracji ludowej” bardzo słaba. Nie ma jeszcze jak w ZSRR spójni ideologicznej, a jej zaplecze partyjne i związkowe to piasek, na którym tonie nie tylko myśl, ale i komenda. Warunkiem trwania przy władzy jest oparcie o protekcję ZSRR – co oznacza czysto negatywną postawę społeczeństwa. Dzisiaj ten drugi czynnik jest ważniejszy od pierwszego. Toteż błąd koncepcji Kuronia i Modzelewskiego jest nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie szkodliwy, bo nie przyczynia się do skupienia wszystkich sił demokracji socjalizmu, lecz usiłuje kultywować koncepcję, która już raz siły te rozbroiła.

Zachowując krytyczny stosunek do niektórych tez Kuronia i Modzelewskiego, łączymy się z nimi w antagonizmie do tworzącej się nowej klasy rządzącej, w dążeniu do swobody słowa i zrzeszeń, w uznaniu dla wielokierunkowości ideologicznej jako niezbędego warunku rozwoju społeczeństwa. ■

Tekst ukazał się w emigracyjnym piśmie „Robotnik”.



Kamil Goral, ekspert RG SWS

Rada Polityki Fiskalnej coraz bliżej

Polityka fiskalna to zadanie niełatwe. Prowadząc ją, należy z jednej strony dbać o dochody budżetowe, z drugiej zaś zapewniać dobre warunki do rozwoju gospodarki. W tym kontekście pojawia się kwestia deficytu sektora finansów publicznych i związanego z tym poziomu wydatków budżetowych. To prawda, że sprawą niezwykle ważną jest, aby państwo nie zaciągało zbyt dużych zobowiązań. Im wyższy dług publiczny czy deficyt całego sektora finansów państwa, tym gorsze oceny ze strony rynków finansowych, a w konsekwencji wyższe oprocentowanie długu i ryzyko odstraszenia zagranicznego kapitału chcącego inwestować w Polsce. Rząd

rozwijające się rodzime firmy będą mogły wpłacić do niej więcej, bo i ich zyski też będą wyższe.

Warto się nad tym dobrze zastanowić. Polska jest wciąż krajem na dorobku, w tych okolicznościach powinniśmy stwarzać naszemu biznesowi jak najlepsze warunki do rozwoju. To fundament, na którym trzeba się oprzeć. Aby to zamierzenie zrealizować, potrzebne są odpowiednie narzędzia, na przykład dotyczące polityki fiskalnej i jej długookresowych celów. W tym kontekście pojawił się pomysł powołania instytucji wzorowanej na Radzie Polityki Pieniężnej (RPP), tyle że zajmującej się rekomendacjami dla polityki fiskalnej. Już nie sztywne reguły, ale zespół fachowców, który

POLSKA JEST WCIĄŻ KRAJEM NA DOROBKU, W TYCH OKOLICZNOŚCIACH POWINNIŚMY STWARZAĆ NASZEMU BIZNESOWI JAK NAJLEPSZE WARUNKI DO ROZWOJU. TO FUNDAMENT, NA KTÓRYM TRZEBA SIĘ OPRZEĆ.

musi tutaj bardzo uważać, jest wiele przykładów państw, które ochoczo wydawały pożyczone pieniądze. Często robiono to zupełnie nieoptymalnie. Wydatki na kredyt nie przyczyniały się bowiem w żaden sposób do realizacji strategicznych celów danej gospodarki, sprzyjających długookresowemu wzrostowi dobrobytu. Wiedzą coś o tym Grecy, w Europie nie brak także innych przykładów błędów w polityce fiskalnej, za które teraz trzeba zapłacić.

Żeby była jasność, nie krytykuję w ten sposób takich programów jak Rodzina 500+, uważam, że był on potrzebny i miał wiele pozytywnych konsekwencji. Warto przy tym zaznaczyć, że czas dodatkowych wydatków społecznych powinien się już zakończyć. W tej materii zrobiono w ostatnich latach bardzo wiele, nie ma potrzeby przesadzać w drugą stronę. Są za to inne palące wyzwania. Chodzi o wsparcie inwestycji prywatnych, szczególnie w firmach z sektora MŚP. To nasuwa istotne pytania: czy podnoszenie długu publicznego wynikające na przykład ze zmniejszania ciężarów podatkowych dla firm, jest złe samo w sobie? Czy może to ten rodzaj wydatku, którego poniesienie wiąże się ze zwiększeniem dochodów państwa w przyszłości? Teraz kasa państwa ulegnie pewnemu uszczupleniu, ale w horyzoncie kilku czy kilkunastu lat odbije to sobie z nawiązką, ponieważ

ma doradzać rządowi, na przykład czy deficyt w tym roku powinien być niższy czy wyższy i na co ewentualnie przeznaczyć pieniądze, aby nasza gospodarka nie wpadła w tarapaty. O pracach nad uruchomieniem u nas tego typu organu zrobiło się ostatnio dosyć głośno. Także dlatego, że podobne podmioty działają w wielu krajach Europy i aż dziw, że u nas jest inaczej. Bardzo istotne, aby taka Rada Polityki Fiskalnej (to prawdopodobna przyszła nazwa tego gremium) była ciałem niezależnym od rządzących, złożonym z wybitnych ekspertów powoływanych na długą kadencję. Jej status powinien być wzorowany na rozwiązaniach przyjętych wobec RPP. Najlepiej, aby nowa instytucja została wpisana do Konstytucji, to jednak przy obecnej sytuacji politycznej wydaje się mało prawdopodobne. Niemniej temat jest bardzo rozwojowy, szczegóły pewnie poznamy niebawem. Jeśli takie ciało powstanie, powinno uczynić politykę fiskalną państwa bardziej elastyczną i dostosowaną do czekających ją wyzwań. A tych przecież nie brakuje. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

WIĘZIEŃ, KTÓREMU SERWUJE SIĘ LODY Z BITĄ ŚMIETANĄ

Sylwia Kołodyńska

Scorsese, Al Pacino i De Niro. Łączy ich to, że skończyli już 70 lat i w kinie gangsterskim czują się jak ryby w wodzie. Choć w odróżnieniu od nich mają niezmiennie bardzo wiele do powiedzenia. „Irlandczyk” to spokojnie prowadzona opowieść o niespokojnych rewirach. I znacznie więcej niż tylko genialny film o porachunkach mafijnych i polityce USA po wojnie.

Dobre kino gangsterskie nie istnieje bez precyzyjnie zbudowanego dramatu psychologicznego. I tym najnowszy film Martina Scorsese wygrywa. I nie chodzi tylko o możliwości, jakie daje na planie filmowym 140 mln dolarów wpompowanych w produkcję. Bo mamy tu do czynienia nie tylko z opowieścią o tym, jak Frank „Irlandczyk” Sheeran (Robert De Niro) pokonuje drogę „awansu” od dostawcy mięsa do guru mafijnego świata. Ale co ciekawsze, widzimy go też jako człowieka gasnącego, który musi z pokorą poddawać się starości.

► Malarz, stolarz, gangster

Frank jako płatny morderca pracował dla najgłośniejszych przestępców XX wieku. Na pytanie czym się zajmuje, odpowiadał, że maluje ściany. Nie dodawał, że krwią. Na pytanie, czy potrafi coś jeszcze, odpowiadał, że roboty stolarskie. Nie zdradzając, że chodzi o napęnlanie trumien. Scorsese buduje swoją opowieść w odniesieniu do realnych postaci i zdarzeń. Fa-

chanek, narkotyków wciąganych banknotami o wysokich nominałach. Tu ludzie niewygodni giną spokojnie i miarowo. Gdy przychodzi na nich czas, wkracza „Irlandczyk”. Załatwia temat, nie brudząc sobie butów. Gdy zlecenie ma wykonać w restauracji, czasem najpierw wchodzi do toalety, by zweryfikować plan i przy okazji upewnić się, że nie ma w niej kogoś, kto mógłby mu przeszkodzić w jego realizacji. I choć członkowie przestępczych grup mają wspólne cele, dochodzi do konsternacji, gdy mają wsiąść do jednego samochodu. Na spalonej pozycji jest ten, kto siada z przodu. Bywa, że oddech pasażera siedzącego za nim pozostaje ostatnim odczuciem przed śmiercią.

► Z prochu powstałeś...

Nietrudno odnieść wrażenie, że w filmie dokonuje się pewien flirt ze złem. Morderstwa są pokazywane tak, że już za którymś razem możemy przestać w nich widzieć zbrodnie i popaść w odbiorze brutalnych scen w podob-

NA PYTANIE CZYM SIĘ ZAJMUJE, ODPOWIAŁ, ŻE MALUJE ŚCIANY. NIE DODAWAŁ, ŻE KRWIĄ. NA PYTANIE, CZY POTRAFI COŚ JESZCZE, ODPOWIAŁ, ŻE ROBOTY STOLARSKIE. NIE ZDRADZAJĄC, ŻE CHODZI O NAPEŁNIANIE TRUMIEN.

bułę rysuje wokół prawdziwych zagadek dotyczących morderstwa Jimmy’ego Hoffa. Mężczyzny silnie związane z przestępczością zorganizowaną (w tej roli Al Pacino). Zniknięcie legendarnego działacza związkowego przez dekady uznawane było za jedną z największych zagadek kryminalnych w historii Stanów Zjednoczonych. A Scorsese budując tę opowieść w filmie, tworzy naturalistyczny obraz funkcjonowania mafii, wzajemnych układów i oczywiście kruchości życia gangsterów. Przenosi nas do świata, w którym mafiozi chodzili na spotkania w garniturach, swoje banki mieli we własnych szafach, a gdy trafiali na jakiś czas za kratki, wciąż sterowali światem przestępczym, dostając od obsługi więzienia na deser lody z bitą śmietaną.

► Morderca z tylnej kanapy

Trzypółgodzinny seans jest filmem w stylu retro. Nie ma zawrotnych akcji, ponętnych ko-

ną rutynę jak... płatny morderca. Sceny pozbywania się zwłok, choć bardzo makabryczne, czasem zdają się być wręcz humorystyczne. Banalizacja zła w takich produkcjach to zarzut, którego twórcom ciężko uniknąć. Tak jest i tym razem.

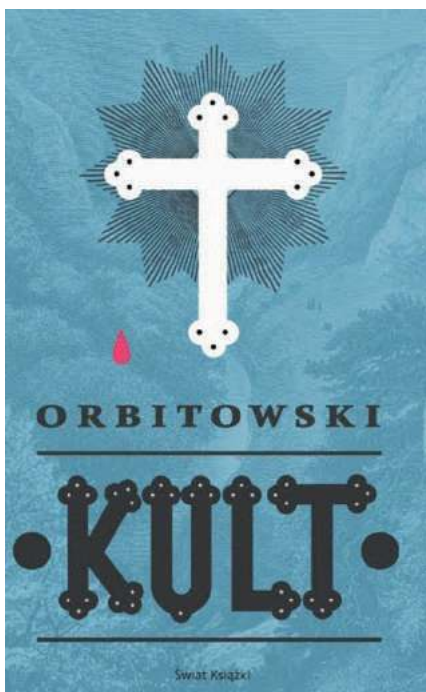
W opowieści gęsto jest od postaci, o których dowiadujemy się, ile lat żyły i z iloma kulami w głowie ginęły. Tworzy to wstrząsający obraz przestępczego świata, w którym adresatowi haśła: „jest jak jest” nie pozostaje wiele więcej jak poszukać sobie trumny. I w takiej atmosferze przedwczesnych śmierci główny bohater „skazany” jest na śmierć ze starości. Z czym gorzej sobie radzi niż z odnalezieniem się w krwawej jatce. Co gorsza, będzie miał czas na stawianie sobie pytań o to, czy ma wyrzuty sumienia. A z tym już żadnemu gangsterowi nie jest do twarzy.



Krzysztof Karnkowski

Święty trójkąt Orbitowskiego

Łukasz Orbitowski wydaje się być wszędzie, wszędzie czuć się w miarę dobrze i nie budzić u nikogo zbyt żywiołowych, złych emocji. Potwierdza to jego ostatnia, czasem uznawana za najdojrzalszą powieść, książka „Kult”.



Słowo „wszędzie” w przypadku Orbitowskiego potraktować należy niemal dosłownie, jego medialna obecność bywa totalna niczym kulminacyjne sceny jego starszych książek. Bywa w TVN, prowadzi program w TVP Kultura, w Polskim Radiu 24 wraz z Piotrem Goćkiem opowiada o książkach. Czasem opublikuje coś w papierowej „Frondzie Lux”, zachowując wierność swoim metalowym (muzycznie) korzeniom, ozdabiając swoją stronę demonicznymi grafikami, zaś przedostatnią książkę – mottem z Alistaira Crowleya, jednego z bardziej znanych brytyjskich satanistów. Z tego pomieszania wychodzą jednak czasem tylko dobre, czasem bardzo dobre książki, a choć Orbitowski w Boga nie wierzy, nie przeszkadza mu to spraw religijnych czy też quasi-religijnych ujmować, jak w „Kulcie”, z całkiem dużym wyczuciem.

► Prorok

Aby w pełni zrozumieć doceniony przez krytykę „Kult”, dobrze jest umieć odnaleźć się w wyjątko-

wym trójkącie historyczno-literackim. Zaczniemy od jego dwóch bardziej oczywistych wierzchołków. Pierwszy to objawienia w Oławie. Historia z późnego PRL, gdy ku przerażeniu komunistycznych władz i dezorientacji kościelnej hierarchii malarzowi taboru kolejowego Kazimierzowi Domańskiemu objawić się miała Matka Boska. Choć Kościół nie uznał prawdziwości oławskich cudów (według Domańskiego Matka Boska, a później także Jezus Chrystus, objawiali mu się wielokrotnie), prorok z Oławy zyskał grono wyznawców na tyle duże, by zdeorganizować normalne funkcjonowa-

nie sennego PRL-owskiego miasteczka i zaniepokoić najwyższe władze państwowe z generałem Jaruzelskim włącznie. Tylko w pierwszym, 1983 roku do Oławy przybyło około 100 tysięcy pątników. Komuniści starali się utrudnić życie i przywódcy grupy, i jego najbliższym, i grupom pielgrzymów, używając do tego metod tak dobrze przetestowanych na księżach i wiernych Kościoła katolickiego. Domański długo wierzył, że uda mu się przekonać Kościół do swoich

racji, ostatecznie jednak założył uznane przez niego za sektę Stowarzyszenie Ducha Świętego. Centrum stowarzyszenia była zbudowana przez lidera prywatna świątynia, postawiona na terenie działek, gdzie pierwszy raz doświadczyć miał objawień. Stowarzyszenie działało do początku XXI wieku. W 2002 roku stan zdrowia Domańskiego gwałtownie się pogorszył, na łożu śmierci pogodził się z Kościołem, gdy zaś zmarł, jego żona przekazała świeżo powstałej parafii majątek organizacji, w tym budynek świątyni. W ten sposób marzenie proroka w końcu się spełniło – w zbudowanym przez niego domu zdomowił się katolicki Kościół.

► Kult

Drugi wierzchołek tego trójkąta to właśnie „Kult” Orbitowskiego. Opowieść autonomiczna, której jednak bez historii Kazimierza Domańskiego by nie było. Bohater Orbitowskiego, Henryk, jest zupełnie innym człowiekiem, życiowym nieudacznikiem, początkowo bez żony, dzieci, żyjącym z bratową i bratem. I to właśnie fikcyjny brat Heńka, Zbyszek, snuje swoją opowieść fikcyjnemu imiennikowi autora, wplatając w nią prawdziwe epizody, historie i mechanizmy działania małej społeczności, dużej polityki i wielkiej metafizyki. Opowiada o rzeczach wielkich i zwyczajnych językiem twardego faceta, stąpającego po ziemi pewnie i raczej nieszukającego niczego poza tym światem, lecz w swoich granicach solidnego, ba, pomimo co chwila znajdującej upust w kolejnych romansach słabości do kobiet – przyzwoitego, rodzinnego wręcz. Zbyszek jest nie tylko narratorem, lecz także równym Henrykowi bohaterem „Kultu”. Jest facetem, z którym przynajmniej męski czytelnik znajdzie wspólny język i będzie kibicował mu w jego trudnej miłości do brata i temu racjonalnemu podejściu do spraw, których rozumowo wyjaśnić się nie da. Zbyszek będzie więc kimś w rodzaju pośrednika między nawiedzonym w sensie dosłownym Henrykiem a całym zwykłym światem – najbliższej rodziny, przyjaciół, lokalnej siłwki i nawet bezpieki, choć to ostatnie nie skończy się dobrze. W pewnym momencie bowiem wpląże się we współpracę z lokalnym esbekiem, który stanie się jego największym życiowym wrogiem i przekleństwem zarazem. Gdy upadnie komuna, pariasami staną się i agent, i oficer prowadzący, ale rodziny straci tylko jeden z nich. Końcówka historii stanie się więc opowieścią o potrzebie odkupienia, w której tło rozszaleje się pamiętna powódź, która pod koniec ubiegłego wieku zalewała Dolny Śląsk.

„Kult” to ciekawy przypadek powieści, w której twórca w dużym stopniu rezygnuje ze swojego charakterystycznego stylu i typowych dla niego rozwiązań, jednocześnie poruszając się w tematyce wręcz dla sie-

bie stworzonej. Nie ma tu żadnej spektakularnej katastrofy, wizji totalnej i przytłaczającej czytelnika, którymi Orbitowski nasycił swoje książki, co – przynajmniej u mnie – podziw (jaki wywołały we mnie ogniste znaki w krakowskim horrorze „Tracę ciepło”) stopniowo zamieniały w znużenie (finał bardzo skądinąd ciekawej historii alternatywnej o losach Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Polsce, w której nie doszło do Powstania Warszawskiego, zwyczajnie mnie wymęczył). Jest solidna liniowa narracja z drobnymi wyprawami w teraźniejszość bohatera i słuchacza. Jest wreszcie dużo zrozumienia dla bohaterów i ich postaw, jest wspomniany już przeze mnie szacunek dla metafizyki, niby pisarzo- wi obcej, a jednak przez niego rozumianej.

► Exodus

Również poprzedzający „Kult” „Exodus” z 2017 roku jest dojrzałą opowieścią drogi, w której jesteśmy świadkami ucieczki z Polski młodego mężczyzny, trafiającego najpierw do Niemiec, później do byłej Jugosławii, wreszcie zaś do Grecji. Tu nie ma już elementów horroru, przygody bohatera są barwne, czasem krwawe, ale – z tego świata. Zaś poszczególne ich etapy przedziela odsłaniania przez autora zdanie po zdaniu tajemnica – prześladowające wspomnienie, przyczyna ucieczki. Ciekawe, że i w „Exodusie”, i w „Kulcie” jednym z wątków jest społeczne napiętnowanie konfidentów dawnej bezpieki, w nowszej książce – brata proroka z Olawy, w trochę starszej – dawnej NRD-owskiej gwiazdy skazanej na infamie.

Lukasz Orbitowski zaczynał od mocno nasączonych klimatem lat 90. horrorów, najpierw zbiorów opowiadań drukowanych w prasie i wydawanych w tomikach, później coraz bardziej rozwiniętych powieści („Horror show”, „Tracę ciepło”), wreszcie apokaliptyczny „Święty Wrocław”. Historia ukrytego pod ścianami zwykłych bloków tajemniczego czarnego osiedla stanowi trzeci, dolny wierzchołek naszego trójkąta. Choć schemat opowieści jest inny, opisy poszczególnych sytuacji, na przykład samoorganizacji pielgrzymów, ewidentnie prowadzą na myśl wydarzenia oławskie. „Święty Wrocław” jest fantastycznym, dopełnionym odbiciem tej samej historii, której zwyczajna, realistyczna i fabularyzowana wersja rozgrywa się na kartach „Kultu”. Uderza to zwłaszcza, gdy przeczyta się te pozycje jedna po drugiej. Obie są jednak dziełami pełnowartościowymi, nie jest to jedna historia opowiedziana dwa razy, choć znając obie, wyłapać można tę samą oławską inspirację. Nawet jeśli jednak „Święty Wrocław” wziął swój początek z będących świadkiem domniemanego cudu działek, dobrze się stało, że pisarz po latach postanowił na nie wrócić. „Kult” to bowiem jedna z ważniejszych współczesnych polskich powieści. ■

Nowe szaty dinozaura

Znamy już headlinera tegorocznego Off Festivalu. Będzie nim legenda rocka Iggy Pop. Jak to się stało, że gwiazdą największego święta muzyki alternatywnej zostaje siedemdziesięciolatek? Wiele odpowiedzi przynosi ostatnia płyta artysty – „Free”.

Cóż z tego, że w środku wakacji? OFF Festival od lat przyciąga na Śląsk tysiące miłośników muzyki alternatywnej. Muzyki, której próżno szukać w komercyjnych rozgłoszeniach radiowych. Ludzi zainteresowanych dźwiękami z najdalszych zakątków świata, otwartych na nowe brzmienia i poszukujących wciąż nowych inspiracji. W tym roku impreza będzie obchodzić 15. urodziny. Z tej okazji założyciel i szef festiwalu Artur Rojek zapowiada wiele wyjątkowych niespodzianek. Czy może nas jednak czymś jeszcze zaskoczyć?

Co roku bywalcy festiwalu są niemal zasypywani miksem wszelkiej maści brzmień i gatunków, od elektroniki po jazz, rap czy nu metal. Po wspólnym występie didżejskiego duetu Skalpel z orkiestrą big bandową, niezapomnianym koncercie Zbigniewa Wodeckiego z młodymi muzykami Mitch i Mitch czy prezentacją syryjskiego disco w wykonaniu Omara Souleymana, wiadomo, że Off jest jednym z najbardziej otwartych i eklektycznych festiwali na świecie. Zaskoczyć słuchaczy z roku na rok jest więc jakby nieco trudniej.

A jednak pierwsza z niespodzianek udało się znakomicie. Jedną z gwiazd programu będzie Iggy Pop – prekursor punk rocka, założyciel legendarnej grupy The Stooges. Przy czym jeśli ktoś oczekuje od 70-letniego dziś Popa retrospekcji gitarowych pomysłów sprzed pół wieku, może być szczerze zdziwiony (choć taki występ też miał już miejsce w historii „Off-a”). Muzyk wnikliwie śledzi to, co dzieje się na muzycznej scenie. Wynikami własnych obserwacji dzieli się w swojej autorskiej audycji na antenie radia BBC 6, promując przy okazji

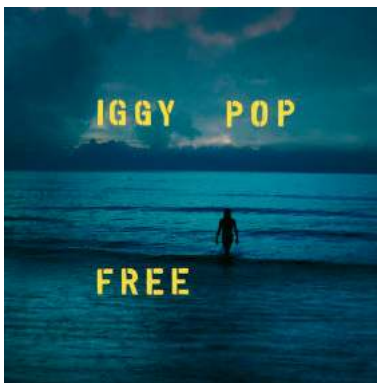
nieznane szerszej publiczności niszowe zespoły. Rozległe zainteresowania muzyczne niewątpliwie wpływają także na jego twórczość, czego najlepszym dowodem jest ostatnia płyta „Free”.

„Chcę być wolny” – tymi słowami rozpoczyna się pierwszy z utworów. Pop doszedł jednak do takiego momentu w swojej karierze, że wolno mu niemal wszystko. Porzuca więc ciężkie gitarowe rify, oddając klimat utworów w ręce Sarah Lipstate (znanej nieco szerzej jako Noveller) – amerykańskiej artystki specjalizującej się w muzyce ilustracyjnej. Ta, wprawdzie również przy pomocy gitary, buduje zdecydowanie bardziej rozległy klimat elektro-nicznych pejzaży.

Pop swoim charakterystycznym barytonem trochę śpiewa, trochę recytuje, choć zdecydowanie lepiej brzmi w tekstach pożyczonych od kolegi po fachu Lou Reeda i walijskiego

poety Dylana Thomasa niż własnych. Od tych ostatnich uszy bolą od nadmiaru banałów i niestosowności. Wówczas lepiej skupić się na muzyce, tym bardziej że zachęca nie tylko uroczym klimatem, lecz także wciągającym rytmem, jak choćby singlowy „James Bond”.

Trzecim istotnym ogniwem płyty, obok Popa i Lipstate, jest pochodzący z Teksasu trębacz Leron Thomas. Wolno płynące, przepiękne dźwięki jego trąbki idealnie wpisują się w nakreślone przez Noveller ramy utworów. A gdy Pop mrocznym głosem recytuje wiersz Thomasa „Do Not Go Gentle Into That Good Night”, słyszymy wręcz trio doskonałe. Czy równie wiarygodnie zabrzmiał przed publicznością? Przekonamy się o tym już w sierpniu, w Dolinie Trzech Stawów, na najbliższej edycji Off Festivalu. ■



Iggy Pop, FREE, Loma Vista Recordings



Ryszard Czarnecki

Nasi w Chicago, czyli „Polacy, jesteście u siebie” ...

Gdy ląduję na O'Hare w Chicago, tuż po opuszczeniu samolotu słyszę język polski: to pracownik lotniska wita mnie i innych pasażerów płynną polszczyzną. I to nie jakieś tam zdawkowe, wyuczone „dzień dobry”. Zaraz potem kolejny pracownik odbierający ode mnie deklarację finansową, widząc paszport z orzelkiem, zwraca się do mnie dobrym polskim i życzy udanego pobytu. Już po pół godziny Downtown pozdrawia mnie feerią światła. To robi wrażenie. Budowali go także nasi rodacy. Nazajutrz pani Jola z Sosnowca pokazuje mi „Trójcowo”, czyli kościół pw. Świętej Trójcy, i dzielnice wokół niego, a także „Aniołowo” czy „Jackowo” – nazwa zawsze pochodzi od kościoła. Kiedyś Polacy stanowili tu zdecydowaną większość. Pierwszy duży *exodus* naszych stąd zaczął się w połowie lat 60. XX wieku wraz ze zmianą struktury demograficznej Chicago. Rodacy, liderzy polskiej społeczności, mówiąc mi o tym, starannie dobierają słowa: „gdy zaczęli osiedlać się tu Afroamerykanie...”. Kolejny *exodus* wynikał ze względów ekonomicznych: coraz bogatsi Polacy wyprowadzali się do domów na przedmieściach, a w ostatnich dwóch dekadach coraz częściej na Florydę czy do innych „ciepłych” stanów. Rozumiem ich: jest początek grudnia, a tu zimniej niż w Polsce. Ale polskie aktywa w „Polish Village” i w ogóle w całym Chicago są dalej olbrzymie. Dla przykładu: jesteście narodowością nr 1 wśród właścicieli nieruchomości w tym największym mieście stanu Illinois.

Jestem tu od piątku wieczór, a w sobotę rano rozpoczynam „posługę medialną” wśród polonijnych mediów. Kończę następnego dnia po południu: od radia do radia, od tygodnika do kolejnego radia (większość radiostacji jednocześnie przeprowadza nagrania telewizyjne, tak jak w Polsce). Dziennikarze świetnie zorientowani w sytuacji w ojczyźnie, czasem nawet znają więcej szczegółów ode mnie.

W sobotni wieczór przemawiam na corocznym wigilijnym spotkaniu Polish-Slavic Credit Union. Jest ponad 300 Polonusów z różnych pokoleń, środowisk i regionów z Polski. W Chicago zdecydowanie wygrywa PiS, ale tam podchodzi do mnie pani w średnim wieku i mówi, że ma poglądy

lewicowe. Odpowiadam, że rozumiem, ale „przecież Polska jest jedna” (tak jak mówił szeregowiec Dolas w „Jak rozpętałem II wojnę światową”). Rozmawiamy i od słówka do słówka okazuje się, że ów lewicowy rodak zagłosuje w wyborach prezydenckich na Andrzeja Dudę i bardzo mu się podoba premier Morawiecki... Cóż, taka lewica bardzo mi się podoba! Jest też silna reprezentacja Związku Podhalan z własnym chórem, w którym młode głosy stanowią wyłącznie młodzi Polacy, raczej młode Polki już tu urodzone. Na scenie i poza nią pełna harmonia z wujkami urodzonymi w Zakopanem czy Murzasichlu.

Przed Chicago byłem w Detroit – mieście robotników, które w historii „Polish community” w USA odegrało ważną rolę – przemysł samochodowy i szereg innych budowali przez dekady nasi rodacy. W pobliżu polska wysępka Orchard Lake – założony przed 134 laty katolicki ośrodek, seminarium duchowne, szkoła, a nawet muzeum Polaków-sportowców – reprezentantów USA w różnych dyscyplinach, takich jak słynny trener koszykówki Mike Krzyzewski (trzy złote medale olimpijskie) czy baseballista Stan Musial. Patronem jednego z gmachów jest tam polski święty ojciec Maksymilian Kolbe. Ostatnio Orchard Lake znalazło się na finansowym zakręcie, ale dzięki zapisowi w testamencie pewnej Polki 1,5 mln dolarów uratowało ten symbol polskości i katolicyzmu. Będąc tam, myślałem o losie Fawley Court w Wielkiej Brytanii, niedaleko od Londynu, podobnym jak Orchard Lake ośrodku prowadzonym przez oo. Marianów. Po kilkudziesięciu latach, gdy był polską własnością, został – wbrew naszym rodakom – sprzedany obcym. Oby udało się definitywnie uratować Orchard Lake z jego tradycją sięgającą XIX wieku.

Najwięcej obywateli USA deklarujących narodowość polską mieszka w stanie Michigan w miasteczku Pulaški Township. Kilkanaście lat temu 61 proc. (sic!) mieszkańców deklarowało tam polskość. Z hrabstw najwięcej naszych jest w Luzerne – ponad 22 proc. A z okręgów wyborczych najwięcej Polaków mieszka w okręgu „południowo-zachodnie Chicago” – aż 17 proc. wyborców deklaruje naszą narodowość. Nic dziwnego, że przez wiele lat wybierano tam kongresmena Billa Lipińskiego... ■

Antoni Rybczyński

Rosja na dopingu

Czteroletnie wykluczenie z międzynarodowych imprez sportowych ogłoszone przez WADA może pozbawić Rosję pożądanych przez reżim w celach propagandowych złotych medali olimpijskich i mistrzostw świata. To kara za nadzorowany przez państwo program dopingu rosyjskich sportowców. Przynajmniej w tej dziedzinie putinowski reżim płaci słono za bezprawne działania.

Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) wykluczyła Rosję ze wszystkich wielkich imprez sportowych do 2023 roku, w tym z igrzysk olimpijskich w Tokio (2020) i w Pekinie (2022). Rosyjscy sportowcy nie będą mogli startować w swoich barwach, ale możliwy jest ich występ pod neutralną flagą, podobnie jak w 2018 roku na zimowej olimpiadzie w Pjongczangu i podobnie jak w 2016 roku w Rio de Janeiro, gdzie to zastrzeżenie dotyczyło części zawodników.

► Wszystko przez „zdradziecki” Zachód

Decyzja zapadła jednogłośnie 9 grudnia po tym, jak okazało się, że Moskwa manipuluje przy próbkach z laboratoriów, podkładając fałszywe materiały i niszcząc akta związane z pozytywnymi testami dopingowymi, które mogłyby pomóc zidentyfikować oszustów. Zakaz dotyczy rosyjskich sportowców, urzędników państwowych i ich przedstawicieli. Sankcje oznaczają cofnięcie akredytacji RUSADA, czyli Rosyjskiej Agencji Antydopingowej. Nie brak jednak głosów, że to za łagodna kara. Szef amerykańskiej agencji antydopingowej (USADA) Travis Trygart uznał decyzje WADA za niedostateczne. „WADA powinna zastrzec żądania i wprowadzić maksymalny zakaz udziału rosyjskich sportowców w igrzyskach olimpijskich” – powiedział Trygart.

Wykluczenie sportowców z najważniejszych imprez to poważny polityczny cios dla Rosji. Podczas wizyty w Paryżu (szczyt czwórki normandzkiej) Władimir Putin ze złością określił zakaz jako bezprawną karę zbiorową, utrzymując, że Rosjanie mają prawo rywalizować pod własną flagą i słuchać swego hymnu. Według Putina decyzja WADA jest politycznie motywowana i ma niewiele wspólnego z rzekomymi naruszeniami dopingowymi. Premier Dmitrij Miedwiediew i przewodnicząca Rady Federacji Walentina Matwienko mówią podobnie, atakując „zdradziecki” Zachód. „Fakt, że te wszystkie decyzje powtarzają się, często w odniesieniu do sportowców, którzy tak czy inaczej już zostali ukarani [...] budzi myśl o tym, że jest to kontynuacją hysterii antyrosyjskiej, która przybrała już formę chroniczną” – oświadczył szef rządu. Matwienko zaś wpadła nawet na pomysł, żeby Rosja sponsorowała konkurencyjne igrzyska olimpijskie. Politycy pozwalają sobie na takie deklaracje, bo doskonale znają nastroje społeczne. Z badań opinii publicznej wynika, że Rosjanie akceptują doping i oszustwo w sporcie, ponieważ międzynarodowy sport jest jednym z frontów starcia z rufobocznym zewnętrznym światem – a na wojnie wszyst-

kie chwytów są dozwolone. Do tej pory nikt w Rosji nie poniósł odpowiedzialności za dopingowe skandale. Nawet były już minister sportu Witalij Mutko, który tylko zmienił rządową posadę.

Zarzuty o masowy doping wobec Rosji nasiliły się po ujawnieniu nadużyć na wielką skalę, sponzorowanych przez państwo, a mających jeden cel: zwycięstwo w klasyfikacji medalowej w igrzyskach olimpijskich w Soczi w 2014 roku. Na jak wielką skalę Rosja sięgała po doping w sporcie, stało się jasne w 2015 roku, gdy Grigorij Rodczenkow, wcześniej przez 10 lat szef rosyjskiego laboratorium antydopingowego, uciekł do USA. I do dziś jest pod ścisłą ochroną amerykańskich służb. Już dawno bowiem jedna osoba tak bardzo nie zaszkodziła reżimowi Putina.

► „Kuc” i FSB

Z raportu zleconego przez Światową Agencję Antydopingową wynika, że bez pomocy FSB ministerstwo sportu nie byłoby w stanie zorganizować gigantycznego procederu fałszowania testów rosyjskich sportowców. WADA zleciła przygotować raport o procedurze dopingowym w Rosji kilka dni po tym, jak w maju 2016 roku rewelacje na ten temat pojawiły się w amerykańskiej prasie. Były szef laboratorium antydopingowego w Moskwie dr Grigorij Rodczenkow ujawnił na łamach „New York Timesa”, że dziesiątki rosyjskich sportowców zażywały niedozwolone środki w Soczi za przyzwoleniem władz Rosji. Kompleksowy dokument na ten temat, powstały m.in. na podstawie szczegółowych informacji przekazanych przez Rodczenkowa, opracował kanadyjski prawnik Richard McLaren. Z raportu wynika, że laboratoria antydopingowe w Soczi i Moskwie, rosyjskie ministerstwo sportu oraz Federalna Służba Bezpieczeństwa brały udział w tuszowaniu pozytywnych wyników testów antydopingowych rosyjskich olimpijczyków. Kluczową postacią w tym rozbudowanym systemie odgrywał wiceminister sportu, ale operacyjnie główną rolę grali funkcjonariusze FSB. Po publikacji raportu WADA zarekomendowała Międzynarodowemu Komitetowi Olimpijskiemu wykluczenie wszystkich Rosjan z igrzysk w Rio de Janeiro. Agencja zarekomendowała także, aby do Rio i na inne zawody międzynarodowe nie wpuszczać przedstawicieli rosyjskiego rządu.

Kiedy Rosja kupiła prawo do zorganizowania zimowych igrzysk w 2014 roku, stało się jasne, że będzie chciała z nich uczynić demonstrację swojej siły nie tylko sportowej, lecz także politycznej. Tak jak Adolf Hitler na letnich igrzyskach w Mona-

chium. Dzwonkiem alarmowym i sygnałem, że trzeba „wspomóc” sportowców, był występ Rosjan na zimowych igrzyskach olimpijskich w Vancouver (2010). Sborna zajęła tam dopiero 11. miejsce w klasyfikacji medalowej z zaledwie trzema złotymi krążkami. To był najgorszy wynik od upadku ZSRS. W Soczi Rosjanie mieli zdobyć najwięcej złotych medali, bo całe te igrzyska od początku były pomyślane jako impreza, dzięki której Władimir Putin przejdzie do historii. Sukces w Soczi miał być osobistym sukcesem prezydenta i symbolem powrotu Rosji do rangi wielkiego mocarstwa. To były zresztą najdroższe igrzyska w historii – za przeszło 50 mld dolarów. Nic dziwnego, że postanowiono zrobić wszystko, aby zwiększyć szanse sportowców rosyjskich i zaangażowano w to całą państwową machinę. Putin mógł być zadowolony: Rosjanie zajęli pierwsze miejsce w klasyfikacji medalowej z dorobkiem 33 krążków, w tym 13 złotych. Okazuje się – czarno na białym – że było to możliwe tylko dzięki nielegalnym działaniom ro-

zypomina szpiegowską powieść Johna Le Carre’a. Generalnie system sprowadzał się do selekcji sportowców, którzy nie przeszliby testu w neutralnych międzynarodowych warunkach gromadzenia czystych próbek, które można było podmieniać za skażone, oraz robienia fałszywych wpisów w oficjalnych bazach danych. Różne wersje systemu używano już przed Soczi, w różnych wielkich imprezach sportowych, w tym igrzyskach olimpijskich w Londynie (2012) czy lekkoatletycznych mistrzostwach świata w Moskwie (2013). Ale głównym punktem programu było Soczi.

Fakt, że impreza odbywała się w Rosji, stworzył nowe możliwości, przede wszystkim dla służb specjalnych. Jak zeznał Rodczenkow, kiedy został dyrektorem Moskiewskiego Laboratorium, musiał podpisać dokument, który czynił go tajnym współpracownikiem FSB o pseudonimie „Kuc”. Naukowiec miał obowiązek meldowania o wszystkim swojemu oficerowi prowadzącemu. Do Moskwy trafiały próbki wskazanych sportowców.

SUKCES NA IGRZYSKACH W SOCZI MIAŁ BYĆ OSOBISTYM SUKCESEM PUTINA I SYMBIEM POWROTU ROSJI DO RANGI WIELKIEGO MOCARSTWA. NIC DZIWNEGO, ŻE POSTANOWIONO ZROBIĆ WSZYSTKO, ABY ZWIĘKSZYĆ SZANSE SPORTOWCÓW ROSYJSKICH I ZAANGAŻOWANO W TO CAŁĄ PAŃSTWOWĄ MACHINĘ.

syjskich władz, nie tylko tych sportowych. Jak czytamy w raporcie McLaren, „moskiewskie laboratorium, którego działania nadzorowało państwo, ochraniało rosyjskich sportowców na doping; laboratorium w Soczi opracowało jedyny w swoim rodzaju sposób podmieniania próbek, dzięki czemu sportowcy na doping mogli uczestniczyć w igrzyskach olimpijskich; Ministerstwo Sportu narzucało, kontrolowało i nadzorowało wszelkie działania związane z manipulacją wynikami testów antydopingowych sportowców lub podmienianiem próbek, przy czynnym udziale Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), organizacji opiekującej się reprezentantami Rosji w zawodach (CSP) oraz laboratoriów w Moskwie i Soczi”.

Rosjanie stworzyli cały system ukrywania skażonych próbek moczu wybranych sportowców. Co najmniej od końca 2011 do sierpnia 2015 roku główną rolę odgrywał w tym procederze oficjalny obiekt, Moskiewskie Laboratorium Antydopingowe. Specjalne kody, skrytki w laboratoriach, tajni agencji – opisany w raporcie proceder dopingu

w zamian podstawiano „czyste”. Kluczem było uzyskanie dostępu do testowanych próbek w miejscu zawodów. W Soczi agencji FSB byli w każdym punkcie kontroli antydopingowej i pilnowali, by próbki „ochranianych” sportowców trafiały tam, gdzie trzeba. W pomieszczeniu testowym laboratorium w Soczi agencji FSB wycieli nawet specjalny otwór w ścianie, żeby można było dyskretnie podmieniać próbki mimo obecności kamer monitoringu. FSB ulokowała się w samym budynku laboratorium: na 4. piętrze miała swój pokój operacyjny i sypialnię. W podmianę próbek zaangażowanych było bezpośrednio trzech agentów. Najważniejszym był niejaki Jewgienij Błochin. To on na miejscu koordynował całą działalność fałszerzy. Przebrany za hydraulika (chodził w uniformie Bilfinger, firmy, która wybudowała budynek) miał dostęp także do najważniejszych pomieszczeń laboratorium. Pracę fałszerzom utrudniało to, że do testów używane były szklane laboratoryjne buteleczki ze specjalnymi zamknięciami. Każde otwarcie buteleczki przez kogokolwiek poza prze-

znaczonym do tego pomieszczeniem pozostawiało nieusuwalny ślad. Ale agenci FSB najwidoczniej znaleźli sposób na to, by obejść to zabezpieczenie i członkowie międzynarodowej kontroli antydopingowej nie mogli namierzyć podmienionych buteleczek jeszcze długo po zakończeniu igrzysk. Kolejnym zadaniem FSB była inwigilacja pracowników międzynarodowej kontroli antydopingowej. Śledzono na przykład 24 godziny na dobę Thierry'ego Boghossiana. Gdyby nagle w środku nocy postanowił zajrzeć do laboratorium, zamieniający próbki zostaliby ostrzeżeni. Pod czujną „opieką” FSB byli też rosyjscy pracownicy i naukowcy wtajemniczeni w proceder: ich telefony i gabinety były na podsłuchu.

► „Lawina kłamstw”

WADA zażądała we wrześniu 2018 roku od RUSADA, aby ta do końca roku przekazała dane z moskiewskiego laboratorium w celu dalszego dochodzenia w sprawie indywidualnych przypadków dopingu wśród Rosjan. Obietnica Rosji przekazania bazy danych z wynikami próbek tysięcy sportowców z lat 2012–2015 była kluczowym argumentem w decyzji WADA o przywróceniu praw RUSADA pod koniec 2018 roku. Terminu RUSADA nie zdołała dotrzymać, mimo bezpośrednich apeli szefa agencji Jurija Ganusa do prezydenta Władimira Putina. W końcu jednak w połowie stycznia 2019 roku WADA ogłosiła, że otrzymała dane z serwerów, komputerów i innego sprzętu laboratorium w Moskwie. Zostały one poddane szczegółowej analizie. W kwietniu 2019 roku do laboratoriów WADA dotarło też wreszcie 2200 próbek krwi. Problem w tym, że dane były sfałszowane. We wrześniu 2019 roku WADA ogłosiła, że daje Rosji trzy tygodnie na wyjaśnienie „niezgodności” w danych otrzymanych z Moskiewskiego Laboratorium Antydopingowego – tego samego, które odpowiadało za testy krwi rosyjskich sportowców uczestniczących w igrzyskach olimpijskich w Soczi w 2014 roku i innych imprezach i które walcie przyczyniło się do tego, że w 2016 roku WADA ogłosiła, że w Rosji działa sponsorowany przez państwo program dopingowy. W efekcie Rosjanie na igrzyskach w Rio de Janeiro w 2016 roku i innych imprezach międzynarodowych nie mogli występować pod flagą rosyjską, zaś RUSADA – jedna z wielu instytucji państwowych oskarżonych o ukrywanie dopingu – została zawieszona.

Moskwa oczywiście nie wyjaśniła „niezgodności” w danych. 25 listopada 2019 roku powołany przez WADA specjalny komitet do spraw przestrze-

gania kodeksu antydopingowego (CRC – *Compliance Review Committee*) zarzucił Rosji sfałszowanie części danych dostarczonych przez moskiewskie laboratorium w styczniu 2019 roku. Skala kłamstw poraża – według CRC manipulacjom podlegało aż ponad 2000 próbek. Tylko ludzie z dostępem do najbardziej wpływowych rosyjskich instytucji mogli manipulować danymi, które śledczy porównali z inną bazą danych, dostarczoną przez informatora w październiku 2017 roku. WADA ogłosiła, że otwiera formalną procedurę zgodności przeciwko Rosji. Komunikat spadł na Rosjan jak grom z jasnego nieba – w Moskwie liczono, że zakaz udziału sportowców rosyjskich zostanie uchylony na lekkoatletyczne mistrzostwa świata w Doha, a parę dni wcześniej Rosyjski Komitet Olimpijski ogłosił plany na letnie igrzyska olimpijskie w Tokio w 2020 roku. W reakcji na śledztwo WADA szef Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego Stanisław Pozdniakow oświadczył 23 września, że „sytuacja jest bardzo poważna”. W swym oświadczeniu dał jasno do zrozumienia, że jeśli chodzi o kwestie walki z dopingiem, to w Rosji decydujący jest głos wcale nie instytucji sportowych czy RUSADA, lecz polityków i urzędników państwowych.

Rosja zapowiedziała odwołanie do Sportowego Sądu Arbitrażowego. Jednak szef Rosyjskiej Agencji Antydopingowej (RUSADA) Jurij Ganus powiedział, że jego zdaniem apelacja ta zapewne nie ma perspektyw. W liście otwartym opublikowanym dzień przed upływem terminu wyznaczonego przez WADA na wyjaśnienie rozbieżności, Ganus zarzucił rosyjskim mediom, że w sprawie danych dopingowych próbują zrzucić całą winę na RUSADA, podczas gdy w rzeczywistości w tych kwestiach ostatnie słowo należy do ministerstwa sportu. Jak podkreślił Ganus, jego agencja „nie miała i nie ma dostępu do bazy danych moskiewskiego laboratorium”. „Każdego dnia rośnie lawina kłamstw, za którymi próbują ukryć prawdziwe powody klęski kampanii antydopingowej” – tak w liście otwartym dyrektor generalny RUSADA krytykował media za próby obciążenia jego instytucji odpowiedzialnością za zniknięcie danych. Kilka dni wcześniej Ganus opublikował inny list otwarty, w którym mówił, że RUSADA została „zdradzona” i jest „już nie na krawędzi przepaści, ale spada w przepaść”. Prawdziwi winni, czyli ludzie z rządu i służb specjalnych, mają się dobrze. Stracą sportowcy, ale i to reżim będzie próbował obrócić na swoją korzyść: jest kolejny powód, by wmawiać Rosjanom, że ich ojczyzna jest ofiarą zachodniego spisku. ■



Olga Doleśniak-Harczuk



Bracia, ku Słońcu! Tylko się nie spalcie...

Szaliki są dwa. Jeden z polaru za 5 euro i cienki, lepszy gatunkowo za 20 euro. – Schröder chyba taki nosił... kup mi ten! – No nie, on by czegoś takiego nie założył! A właśnie że tak! Bierzymy szalik, notatnik i długopisy. Para socjaldemokratów jeszcze chwilę spiera się przy stoisku z partyjnymi gadżetami, w końcu wychodzą z torbą wypchaną szalikami, notesami w czerwonej masywnej oprawie i bluzą z logiem SPD. Sprzedawca dorzuca jeszcze pięć pozytywek wygrawających motyw: „Bracia, ku Słońcu, ku wolności!”. „Trzeba kręcić korbką” – rzuca na pożegnanie.

fot. Kay Nietfeld/PAP/DPA

Ja też dostaję pozytywkę i grę memory z obrazkami nawiązującymi do 156-letniej historii SPD. Odkrywa się dwa kartoniki z Willym Brandtem i punkt zdobyty. Potem jednakowe kartoniki z feministycznym motywem i kolejny punkt. Socjaldemokraci to jednak mają fantazję, chadecy na swoim zjeździe w Lipsku postawili na eleganckie pióra, etui na opatrunki, karty blokujące kradzież danych. O zabawie zapomnieli. Zabawa jest jednak pozorna. SPD walczy o życie. A.D. 2019 jak bumerang wróciła mroczna, tak modna w latach 80. XX wieku prognoza o schyłku socjaldemokracji. Od lat 80. sporo jednak się zmieniło. SPD Willy'ego Brandta i Helmuta Schmidta miała w sobie pewną klasę, nawet „gazowy Gerd”, czyli Gerhard Schröder, mimo wszelkich zastrzeżeń był dla partii postacią ważną, z osobowością, z charyzmą. Cechy, których na próżno się doszukiwać w nowych liderach partii. Smutnych cieniach dawnych czasów.

► Brandt by nie uwierzył

SPD skarłała, rozpuściła się w latach sojuszków i wojenek podjazdowych z chadeckim koaliciontem. Björn Engholm, przewodniczący SPD do 1993 roku, wślizgując się w retorykę Willy'ego Brandta, mawiał, że „obie wielkie partie w Niemczech, socjaldemokraci i chadecy, muszą z założenia być gotowe do koalicji”. I tak było od połowy lat 60. XX wieku i zawiązaniu pierwszej wielkiej koalicji. SPD i CDU różniły się od siebie na tyle bezpiecznie, by nie dopuścić do większego pożaru. Ponieważ pożar trawi wszystko po drodze, a w pierwszej kolejności świętą zasadę konsensusu. Dziś, kiedy Alternatywa dla Niemiec i Zieloni odbierają głosy czerwono-czarnemu duopolowi, konsensus przeżywa najczarniejsze godziny. Brak wyraźnego profilu pozwalający przez te wszystkie lata na w miarę bezkolizyjnie współrządzenie, stał się balastem. Zarówno na zjeździe CDU, jak i późniejszym, SPD, wielokrotnie nawiązywano do „skrajności, które stwarzają zagrożenie”, mając w tyle głowy przede wszystkim Alternatywę dla Niemiec. Chadecy, tak bohatercko walczący o etykietkę „partii silnego centrum”, starali się unikać nazwy AfD, a o Zielonych mówiono językiem ezopowym, co jest nawet zrozumiałe. W dobie dyktatury strajkujących w obronie klimatu nastolatki politycy pojęli, że muszą ostrożnie dobierać słowa. W zasadzie tylko występujący gościnnie premier Bawarii Markus Söder pozwolił sobie na więcej złośliwości pod adresem Zielonych, ale jemu wszystko wolno. Człowiek, który przebierał się za Shreka, może więcej. W Berlinie Socjaldemokraci wspominali półgębkiem o faszystach, naziastach i rasistach. Każde z tych określeń to w domyśle AfD. Przed halami targów, gdzie odbywał się zjazd, garstka aktywistów Greenpeace'u nawoływała socjaldemokratów do obrony klimatu. Smutno to był widok. Pięć osób na krzyż w strugach deszczu z rozmoczonymi banerami. Zaś przy wejściu do sali plenarnej stoisko oferujące gadżety z „Bo-

cianem Heinerem” zwalczającym wszelkie „izmy”. Bocian na koszulkach, bawełnianych torbach, naklejkach, kubkach i magnesach na lodówkę. Bo Heiner zwalcza neonazistów w zaciszu domowym i na ulicy. Zapytani o siłę rażenia magnesu na lodówkę z Heinerem młodzi socjaldemokraci wzruszyli ramionami. „To nasz najnowszy pomysł. By nazim nie panoszył się w domu”. Oczywiście taki magnes to młot na neonazistów, zwłaszcza tych zagubionych w okolicy lodówki w godzinach nocnych.

► Steinbrück rozumiał

Mikołajki, Berlin 2019 roku. Pierwszy dzień zjazdu SPD. „Wspólnie w nowy czas” – to hasło tegorocznego spotkania i tytuł mowy powitalnej Malu Dreyer, komisarycznej liderki partii na czas bezkrólewia. Socjaldemokraci na rozdrożu, wielka koalicja pod znakiem zapytania, rozbrat rządowej elity partyjnej SPD i rozczarowanych nią dołów – to z kolei hasła, jakie zdominowały rozmowy o SPD na tydzień przed zjazdem. Można było odnieść wrażenie, że na partii postawili krzyżyk niemal wszyscy. Gazety przeżyły istne obłężenie niegdyś prominentnych twarzy SPD, takich jak Peer Steinbrück czy Sigmar Gabriel, które to twarze dziś firmują zupełnie inne idee i inne organizacje i nie stawiają suchej nitki na kolegach socjaldemokratach. Magazyn „Cicero” odkurzył przemówienie Steinbrücka z 2009 roku, w którym polityk analizował sytuację partii i jej kondycję po wyborach do Bundestagu, w których SPD uzyskała „najgorszy w historii” wynik 23 procent. Dziś socjaldemokraci już wiedzą, że każdy „najgorszy w historii” wynik można przebić jeszcze gorszym, ale dziesięć lat temu to nie było tak oczywiste. W tekście Steinbrücka pojawiła się sugestia, że jeżeli SPD chce przetrwać, musi zwalczyć kryzys autorytetu swoich przywódców i otworzyć się na oczekiwania wyborców centrowych, tak by nie skupiać się wyłącznie na lewicowych przyczółkach, lecz atakować pozycje środkowe, w tamtym czasie kojarzone wyłącznie z CDU. Steinbrück miał rację, jego diagnoza była słuszna, lecz towarzysze to zlekceważyli. Marazm dzisiejszej SPD to również zasługa ówczesnych liderów, nie wyłączając samego Sigmara Gabriela, który dziś z taką werwą krytykuje poczynania obecnych władz.

► Dwie bezradności

Kiedy w marcu 1983 roku chadecy spektakularnie odbili rządowe ławy socjaldemokratom, a CDU z 52 proc. głosów i Helmutem Kohlem jako kanderzem położyło kres długim trzynastu latom rządów SPD, prognozowano schyłek epoki socjaldemokracji. Wśród zwolenników tej teorii był też prominentny socjolog i publicysta Ralf Dahrendorf, który na przekór entuzjazmowi prawicowych polityków i politologów nie dopatrywał się w triumfie konserwatystów zwiastu na duchowo-politycznej odnowy. Zwycięstwo CDU skwito-

wał chłodno jako „zastąpienie jednej bezradności drugą”. Może na tamtym etapie w Niemczech przedjednoczeniowych, dostatnich i mocnych gospodarczo ten trzeźwy ton mógł wydawać się nieco na wyrost, dziś brzmi jak ziszczenie się prorocтва. Bezradność elit chadeckich i socjaldemokratycznych wobec zmieniającej się tkanki politycznej Niemiec poraża. Ta bezradność i dezorientacja były wyczuwalne na zjeździe CDU w Lipsku (21–23 listopada 2019 roku) i na tym SPD w Berlinie (6–8 grudnia 2019 roku). A co w sytuacji, gdy bezradność się sumuje?

W 1983 roku 12 proc. wyborców SPD odpięło do CDU, co było wtedy nie łąda sensacją, postrobotniczy elektorat wciągnięty w mieszczańskie tryby uchodził mimo wszystko za wierny. Te 12 proc. było szokiem. Postulat „więcej rynku, mniej państwa” najwidoczniej przebił się do czerwonego wyborcy, SPD znalazło się w opozycji, teraz to CDU rozdawało karty. Dziś SPD może liczyć na 14-procentowe poparcie. Chadeccy na 27 procent. W porównaniu z latami 80. XX wieku taki wynik to porażka. Obie partie mogą pomarzyć o przekroczeniu 50 procent. Zieloni i Alternatywa dla Niemiec pracują na dalsze rozdrobnienie sceny politycznej. Linke i FDP dokładają swoją cegiełkę, duopol SPD-CDU to przeszłość, a wielka koalicja kojarzy się większości wyborców z uciążliwym układem, który sam musi się wypalić. Do końca kadencji Bundestagu Wielka Koalicja jeszcze dotrwa, przedterminowe wybory nie byłyby na rękę żadnej ze stron. Będą się na siebie obrażać i podstawić sobie nogi, ale rozwój jest wykluczony. CDU będzie przez pewien czas korzystać na kryzysie przywództwa w SPD, to szansa, by wyostrzyć profil, szansa przede wszystkim dla Annegret Kramp-Karrenbauer i jej nadwątlonego wizerunku mało kreatywnej szefowej partii. A SPD musi nauczyć się chodzić znowu samodzielnie, co przy nowym kierownictwie będzie sporym wyzwaniem.

► Zapomnieli o 1959

Wracamy na zjazd SPD. Jest tam więc bocian Heiner walczący z nazizmem, są elokwentni panowie z Reichsbanner walczący o wskrzeszenie republikańskich idei, aktywiści środowisk wegańskich walczący z mięsożercami. A na sali obrad 600 towarzyszy walczących o przeżycie i o wskrzeszenie nowego proletariatu. Atmosfera tak czerwona, jakby nikt tu nigdy nie słyszał o Programie Godesberskim (uchwalony w 1959 roku na zjeździe w Bad Godesberg program SPD, gdzie odcięto się m.in. od postulatu obalenia ustroju kapitalistycznego czy upaństwowienia środków produkcji; przekształcono SPD z organizacji klasowej robotników w lewicową partię ogólnonarodową). Pensja minimalna ma zostać podniesiona do 12 euro za godzinę, każdy, niezależnie od staża i zdolności, ma zarabiać godnie, opieka nad osobami w podeszłym wieku ma być darmowa i zapewniona, a minister zdrowia Jens Spahn jest niemal potworem, ponieważ za-

miast szkolić personel domów opieki na miejscu, sprowadza posiłki z Meksyku. Ani słowa o tych, którzy ze swoich podatków łożą na państwo socjalne, o tym, że Jens Spahn sprowadza Meksykanki do opieki nad nie-mieckimi seniorami, ponieważ rdzenna młodzież niemiecka i ta przybyła z dalekiej Azji i Afryki nie pali się do pracy w służbie zdrowia. Postulaty socjaldemokratów są przesiąknięte Marksem, z płomiennych mów bije czerwona łuna, o nie, Gerhard Schröder już by się tu nie odnalazł. Dumny wynalazca Agendy 2010 już dawno zmienił tapety. Na bardziej luksusowe.

► Przedszkolak namaszcza profesora

Pierwszego dnia zjazdu delegaci zatwierdzają nowe kierownictwo partii. Wybrani w prawyborach Saskia Esken i Norbert Walter-Borjans otrzymują odpowiednio 75,9 i 89,2 procent głosów. SPD po raz pierwszy w swojej historii stawia na damsko-męski tandem. O Esken i Walter-Borjansie mówi się „przywódcy trzeciego gamituru”, zwycięstwo mają zawdzięczać nie własnemu urokowi osobistemu i kompetencjom, lecz szefowi socjaldemokratycznej młodzieżówki JUSOS, Kevinowi Kühnertowi. To tak jakby przedszkolak namaszczał profesora. A przedszkolak jest na topie i cechuje go duża siła przebicia. Tak skuteczna, że przekonał doły partyjne do postawienia na polityków spoza rządowego establishmentu, kreując Esken i Walter-Borjansa na ostatnią nadzieję partii, na duet super bohaterów, który oczyści partię z osadu schröderowskiej Agendy 2010 i wyciągnie ją z matni junior partnerstwa względem chadeków.

Gdyby nie Kühnert, na czele SDP stałby dziś pewnie urzędujący minister finansów Olaf Scholz ze swoją partyjną drugą połówką Klarą Gleywitz. Lider JUSOS od początku nowej wielkiej koalicji CDU/CSU-SPD nie przepuścił żadnej okazji, by podważyć jej sens. To on po wyborach parlamentarnych 2017 roku buntował młodszych i starszych przeciw negocjom koalicyjnym z chadekami, później co jakiś czas strofował ministrów federalnych z SPD, zarzucając im brak suwerenności. Na zjeździe nie tylko przeforsował kandydaturę swoich faworytów, lecz sam został jednym z pięciu wiceszefów partii. W kuluarach aż huczało. – Miałoby być trzech wiceprzewodniczących, a jest pięciu. Wszystko, by zadowolić „czerwonego Kevina”. Czym się różni SPD od CDU? Niczym. Ta sama bezradność – mówi młody członek SPD i prosi, by nie wymieniał jego nazwiska. – Nie potrzebuje kłopotów – rzuca porozumiewawczo. Pytam, czy wielu w partii myśli tak jak on. – Tak, ale niewielu otwarcie o tym mówi. Partia jest w kryzysie, każde słowo krytyki jest odczytywane jako zdrada. Kultura sporu to frazes – dodaje. A co z Wielką Koalicją? Czy nowi przewodniczący zagrają *va banque*? – O nie, ile karier by się przez to posypało!

A więc trwamy dalej, towarzysze, nawet jak to małżeństwo to fikcja i zgrzytanie zębami. ■

Hanna Shen



Cieężki rok dla chińskich towarzyszy

Rok 2019 miał być czasem chwały dla chińskich komunistów. Okresem hucznego świętowania 70. rocznicy powstania ChRL. Gdy w marcu 2018 roku chiński parlament przegłosował zniesienie limitu kadencji prezydenta, wydawało się, że władza Xi Jinpinga jest pełna i silna. Protesty w Hongkongu, konflikt z USA i słabnąca chińska gospodarka to tylko część wydarzeń z 2019 roku, które pokazały, że komunistyczny przywódca Chin i jego partia na wielu frontach są w defensywie.





Zniesienie limitu kadencji prezydenta Chin spowodowało, że Xi Jinping zaczął być określany jako nowy silny człowiek Państw Środka, ten, który pierwszy po Mao będzie rządzić tak długo, jak zechce. Xi zaczął budować swój status bóstwa. Zaproponował nowy czerwony kodeks moralny, który ma pozwolić Chinom zbudować nowy porządek świata. Nowy świat wymaga nowej moralności, a ta może być osiągnięta tylko wtedy, gdy obywatele będą dziedziczyć „czerwony gen”. Jego nośnikiem jest oczywiście partia komunistyczna. A ona zadbała, by teorie Xi Jinpinga zapisano do konstytucji partyniej. Teraz muszą je studiować studenci i członkowie partii. Ostatnim przywódcą, który został uhonorowany w ten sposób, tj. jeszcze za życia i pod własnym nazwiskiem, którego myśli trafiły do partyniej konstytucji, był Mao Zedong. Myśli Jiang Zemina i Hu Jintao, czyli poprzedników Xi, zapisano, ale nie wymieniając ich nazwisk.

W niektórych prowincjach partia zadbała nawet o to, by w domach chrześcijan zamiast wizerunków Jezusa, Maryi czy świętych, obok portretów Mao wisiały podobizny Xi Jinpinga. „Każdy, kto wywiesza wizerunek Jezusa lub krzyż, jest zobowiązany do jego usunięcia oraz umieszczenia w ich miejsce wizerunków sekretarza Mao i prezydenta Xi Jinpinga” – brzmiało jedno z oficjalnych zarządzeń Centralnego Komitetu. Qi Yan, przewodniczący kongresu ludowego w miasteczku Huangjinbu w prowincji Jiangxi, odpowiedzialny za działania na rzecz walki z ubóstwem, wyjaśnił hongkońskiej gazecie „South China Morning Post”, że jego rodacy „nie powinni liczyć na pomoc Jezusa, lecz na pomoc partii”.

Rok 2018 przyniósł więc cesarski status Xi i partyną kampanię „czerwonego genu”. Rok 2019 kończy się wystąpieniem prezydenta Chin na spotkaniu biura politycznego Komunistycznej Partii Chin (KPCh), w którym słyszmy, że 2019 był „trudny” dla partii komunistycznej.

► Wymuszone zjednoczenie się wokół towarzysza Xi

Przesunięcie posiedzenia Komitetu Centralnego KPCh z przełomu 2018 i 2019 na koniec października 2019 roku to dowód na owe trudności. Mówiło się tuż przed posiedzeniem, że to cztery bomby, których rozbrajaniem byli zajęci Xi Jinping i KPCh, spowodowały owo opóźnienie. Były to: spowolnienie gospodarcze, przedłużająca się wojna handlowa ze Stanami Zjednoczonymi, protesty w Hongkongu i walka frakcyjna w samej partii. Można do tego wybuchowego zbioru dodać jeszcze eskalację zachodniej krytyki chińskiej polityki wobec Ujgurów w Xinjiangu i coraz bardziej asertywny wobec Pekinu Tajwan.

Mimo że czterodniowe posiedzenie KC zakończyło się wezwaniem do „ściślejszego zjednoczenia się wokół towarzysza Xi Jinpinga”, to wiadomo, że przed spotkaniem w KPCh nie brakowało głosów krytycznych wobec sposobu,

w jaki Xi Jinping próbuje rozwiązać wcześniej wymienione zagrożenia. Wraz z krytyką nasiliła się walka frakcyjna.

Od momentu przejęcia władzy w marcu 2013 roku prezydent Xi Jinping musiał stawić czoła tzw. frakcji szanghajskiej w KPCh. Na czele tej grupy stoi 93-letni Jiang Zemin. Xi, przedstawiciel frakcji tzw. książątek (Taizidang), czyli dzieci dawnej nomenklatury, zdawał sobie sprawę, że mimo iż Jiang przeszedł na emeryturę w 2003 roku, to nadal stara się mieć kontrolę nad państwem poprzez zaufane osoby w ministerstwach i aparacie partyjnym. Prezydent Xi wyeliminował część popleczników Jianga, oskarżając ich o korupcję. Taki los spotkał na przykład Zhou Yongkang, byłego ministra bezpieczeństwa publicznego i członka Stałego Komitetu Biura Politycznego KC. W kręgach partyjnych Zhou nazywany był „carem aparatu bezpieczeństwa” i miał nawet – jak twierdził w artykule na łamach wydawanej m.in. w USA i na Tajwanie chińskiej gazety „Epoch Times” dysydent Chen Pokong – za namową Jianga przygotować zamach stanu w 2014 roku i obalić Xi Jinpinga. Próba się nie powiodła, a rok później Zhou wyładował w więzieniu z wyrokiem dożywocia za łapówki i nadużycie władzy.

Mimo działań Xi, ludzie Jianga nadal mają wpływy w kręgach partyjnych i wojskowych i zawsze wtedy, gdy Xi Jinping spodziewa się ataku z ich strony, sam wysyła sygnały ostrzegawcze. Tak było z uwięzieniem Zhou Yongkanga. Coś podobnego wydarzyło się przed opóźnionym posiedzeniem KC KPCh, kiedy to Xi ogłosił kilka zmian personalnych m.in. w armii, odsuwając generałów powiązanych z Jiang Zeminem. W ten sposób frakcja szanghajską rozumiała konieczność „ściślejzego zjednoczenia się wokół towarzysza Xi Jinpinga”.

Wśród zwolnionych wojskowych byli m.in. gen. Rao Kaixun, zastępca dowódcy strategicznych sił wsparcia Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (jednostka zajmująca się wojną cybernetyczną, elektroniczną i kosmiczną) i gen. Xu Xianghu, zastępca dowódcy Jednostki Dowodzenia Działaniami Wojeńnymi na Zachodzie (Chin).

► Hongkońska porażka Xi Jinpinga i komunizmu

To właśnie Hongkong Anno Domini 2019 pokazał, że marzenie Xi Jinpinga i jego towarzyszy o rozprzestrzenieniu „czerwonego genu” w nowym budowanym przez komunistyczne Chiny świecie jest dalekie od spełnienia.

Gdy władze w Hongkongu postanowiły wprowadzić kontrowersyjną ustawę o ekstradycji, która miała umożliwić wydawanie Pekinowi osób znanych z opozycyjnych poglądów wobec KPCh, Hongkończycy wyszli na ulicę. W połowie 2019 roku doszło do największych w historii byłej kolonii brytyjskiej demonstracji. Protesty zdeterminowanych Hongkończyków trwają do dziś. Władze wycofały kontrowersyjny projekt ustawy o ekstradycji, ale to tylko jedno z pięciu żądań demonstrujących. Chcą oni również

wypuszczenia aresztowanych, niezależnego dochodzenia w sprawie brutalności policji, dymisji szefowej autonomicznego regionu Hongkong i możliwości wybierania szefa administracji miasta w wolnych wyborach. Dziś na ulicach Hongkongu słychać „Pięć żądań, a nie jedno!”.

Na fali protestów obóz prodemokratyczny odniósł wielkie zwycięstwo w listopadowych wyborach do rad dzielnicowych – pokonał polityków propekińskich w 17 na 18 rad. Kilka dni później prezydent USA Donald Trump podpisał ustawę Kongresu wspierającą prodemokratycznych demonstrantów (ustawa o prawach człowieka i demokracji w Hongkongu). Dokument zobowiązuje Departament Stanu do składania okresowych, minimum corocznych, raportów zaświadczaających, iż Hongkong ma wystarczającą autonomię, i przewiduje sankcje za łamanie praw człowieka.

Gdy rozpoczęły się protesty w Hongkongu w 2019 roku, Xi Jinping liczył, że z czasem zapal demonstrujących wygaśnie i że widząc zdecydowane działania policji, duża część się wycofa. Mylił się. Zupełnie nie rozumiał, że protesty w Hongkongu to nie tylko wystąpienie przeciwko ustawie dotyczącej ekstradycji.

Od 1997 roku Hongkong jest specjalnym regionem administracyjnym Chińskiej Republiki Ludowej. Przejmując była kolonię brytyjską, Pekin obiecał utrzymanie swobód „kapitalistycznych” do 2047 roku pod hasłem „Jeden kraj, dwa systemy” (doktrynę tę sformułował jeszcze Deng Xiaoping z myślą o Tajwanie). Jednak z roku na rok Hongkończycy odczuwają, jak ich autonomia słabnie, a rządy komunistów przyniosły korupcję na najwyższych szczeblach władzy, powiększające się koszty utrzymania, rosnącą (a niechcianą) emigrację i ograniczenia swobód obywatelskich. Równocześnie coraz więcej obywateli Hongkongu sprzeciwiających się rosnącej kontroli komunistycznych władz Chin trafia do więzień, i to nie tylko na terenie Hongkongu. Były przypadki porwania obywateli Hongkongu do Chin przez agentów chińskiej bezpieki.

Tegoroczne wystąpienia Hongkończyków, głównie młodych ludzi, to sprzeciw wobec rządów KPCh, wobec komunizmu. Gdy Donald Trump podpisał ustawę popierającą protestujących Hongkończyków, dziesiątki tysięcy z nich wyszły na ulice z amerykańskimi flagami. Pokazały więc także, za czym się opowiadają – za wolnością wypowiedzi, zgromadzeń i religijną. To nie przypadek, że zbierający się na hongkońskich ulicach w 2019 roku tłum młodych ludzi intonował: „Śpiewajmy Alleluja Panu”. Obserwując takie wydarzenia chińska społeczność mieszkająca w USA i Kanadzie pisała w komentarzach na portalach internetowych, że widok modlących się Hongkończyków pokazał im, jak mocna jest siła wiary.

Wydaje się, że młodzież z Hongkongu, podobnie jak amerykański prezydent Donald Trump, wyczuła, że nadszedł czas, by stawić czoła chińskim komunistom. Nic nie wskazuje na to, by ustąpiła. Tak jak 2019 rok nie stał się

czasem „czerwonego genu”, tak nie będzie nim rok 2020. I z pewnością przyczynią się do tego młodzi Hongkończycy. Prawdopodobnie także Tajwańczycy, którzy na początku 2020 roku będą wybierać swojego prezydenta. To wydarzenia w Hongkongu w 2019 roku przypomniały Tajwanowi, jakim zagrożeniem są rządy chińskich komunistów. Wszystko wskazuje na to, że i na wyspie nie przyjmie się „czerwony gen”, bo propekiński kandydat opozycyjnej partii Kuomintang wypada bardzo słabo w sondażach.

► Z ciężkim bagażem ku 2020

Już pod koniec 2018 roku Xiang Songzuo, zastępca dyrektora Międzynarodowego Instytutu Studiów Monetarnych na Renmin University i były główny ekonomista Agricultural Bank of China, jednego z czterech czołowych banków w ChRL, powiedział w czasie wykładu w Chinach, że wzrost PKB jego kraju wynosi tylko 1,67 proc. Nagranie z wypowiedzią Xiang bardzo szybko zniknęło z chińskiego internetu. Oficjalne dane mówią o ponad 6-proc. wzroście. Jednak już nawet premier Chin Li Ke-qiang w 2019 roku sugerował, że nie jest tak optymistycznie, mówiąc, iż utrzymanie 6-proc. wzrostu na dłuższą metę może być niemożliwe.

Inne dane też nie są pozytywne. Z Chin ucieka kapitał – szacuje się, że w ciągu ostatnich 10 lat z Państwa Środka wypłynęło 1,2 biliona dolarów. ChRL opuszczają także zagraniczne firmy. HP i Dell już przenoszą montaż 30 proc. swoich notebooków do Azji Południowo-Wschodniej. Swoją produkcję wycofały z Chin takie marki, jak Uniqlo, Levi's, Crocs, Calvin Klein czy Tommy Hilfiger. O relokacji części produkcji z Państwa Środka do Wietnamu myślą również duże korporacje japońskie – wśród nich jest Nintendo, Sharp i Kyocera. Do Meksyku część fabryk chce z kolei przenieść Panasonic i Funai. Swoje fabryki w ChRL zamknęły już m.in. Omar Corp., Nitto Denko i Olympus Corp. Co ciekawe, z Chin chce się również wynieść część dużych chińskich spółek. Wśród nich jest na przykład TCL, które myśli o nowych zakładach w Wietnamie.

Głośno reklamowana inicjatywa Xi Jinpinga Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS) coraz bardziej przypomina bagno korupcji, złych inwestycji i nieściągalnych długów. Coraz więcej państw zaczyna odczuwać, że chińskie inwestycje w ramach NJS to forma kolonializmu. I piszą o tym nie tylko te rzekomo „uprzedzone” media anglojęzyczne, zachodnie, lecz także media w krajach, które kupiły bajki chińskiego lobby o chińskiej szansie i otworzyły się na chińskie inwestycje, na przykład media w Malezji, Indiach i Kenii. Coraz wyraźniej widać, że Nowy Jedwabny Szlak dla krajów w nim uczestniczących oznacza zaciąganie ogromnych długów wobec Chin i wzrost korupcji. Taki los spotkał Pakistan, który w 2015 roku podpisał z Chinami umowy inwestycyjne o wartości 46 mld dolarów (potem tę kwotę podniesiono do 62 mld dolarów).

Pożyczki udzielone Pakistanowi w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku przez Chiny na łączną kwotę 57 mld dolarów (ich oprocentowanie to 2 proc.) zostały udzielone pod warunkiem, że projekty inwestycyjne będą wykonywane tylko przez chińskie firmy.

W dużym stopniu to, że chińska gospodarka rozwija się najsłabiej od prawie trzech dekad, jest wynikiem wojny handlowej, jaką Trump wypowiedział Chinom. Potwierdza to Steve Moore z konserwatywnej Fundacji Heritage doradzający w kwestiach gospodarczych prezydentowi Trumpowi. „Cła Trumpa naprawdę zaszkodziły Chinom. Widać fabryki i miejsca pracy wyprowadzające się z Chin. Przeprowadzają się do Wietnamu. Przeprowadzają się do Indii. Przeprowadzają się do Singapuru i innych krajów Azji, aby obejść te cła. To naprawdę szkodzi chińskiej gospodarce. [Chiny] Mogą mieć pierwszą prawdziwą recesję od 30 lat”. I ma rację Moore, twierdząc, że Xi Jinping potrzebuje umowy handlowej z USA. Prezydent Chin we własnych kręgach partyjnych obarczany jest za nieporadzenie sobie z protestami w Hongkongu, problemami gospodarczymi i... Trumpem. Xi potrzebuje więc sukcesu.

W połowie grudnia ogłoszono, że pierwsza część umowy handlowej pomiędzy USA a Chinami została osiągnięta (w momencie oddania artykułu do druku jej tekst nie był znany). Waszyngton zawiesił taryfy na chińskie dobra eksportowe, które miały wejść w życie 15 grudnia. Ale Trump ogłosił, że nałożone wcześniej cła na chińskie towary o wartości 250 mld dolarów w wysokości 25 proc. pozostaną w mocy, a cła w wysokości 15 proc. na 125 mld dolarów chińskiego eksportu zostaną obniżone do 7,5 proc. Administracja Trumpa nie zgodziła się na żądanie Pekinu, by całkowicie znieść cła, licząc się z tym, że u chińskich komunistów od ogłoszenia umowy do jej realizacji jest czasem długa droga (jeśli w ogóle jest). Sukces jest, ale tylko przez moment.

Żadna umowa zawarta teraz z USA nie sprawi, że w 2020 roku Xi Jinping może liczyć na spokój w relacjach z USA.

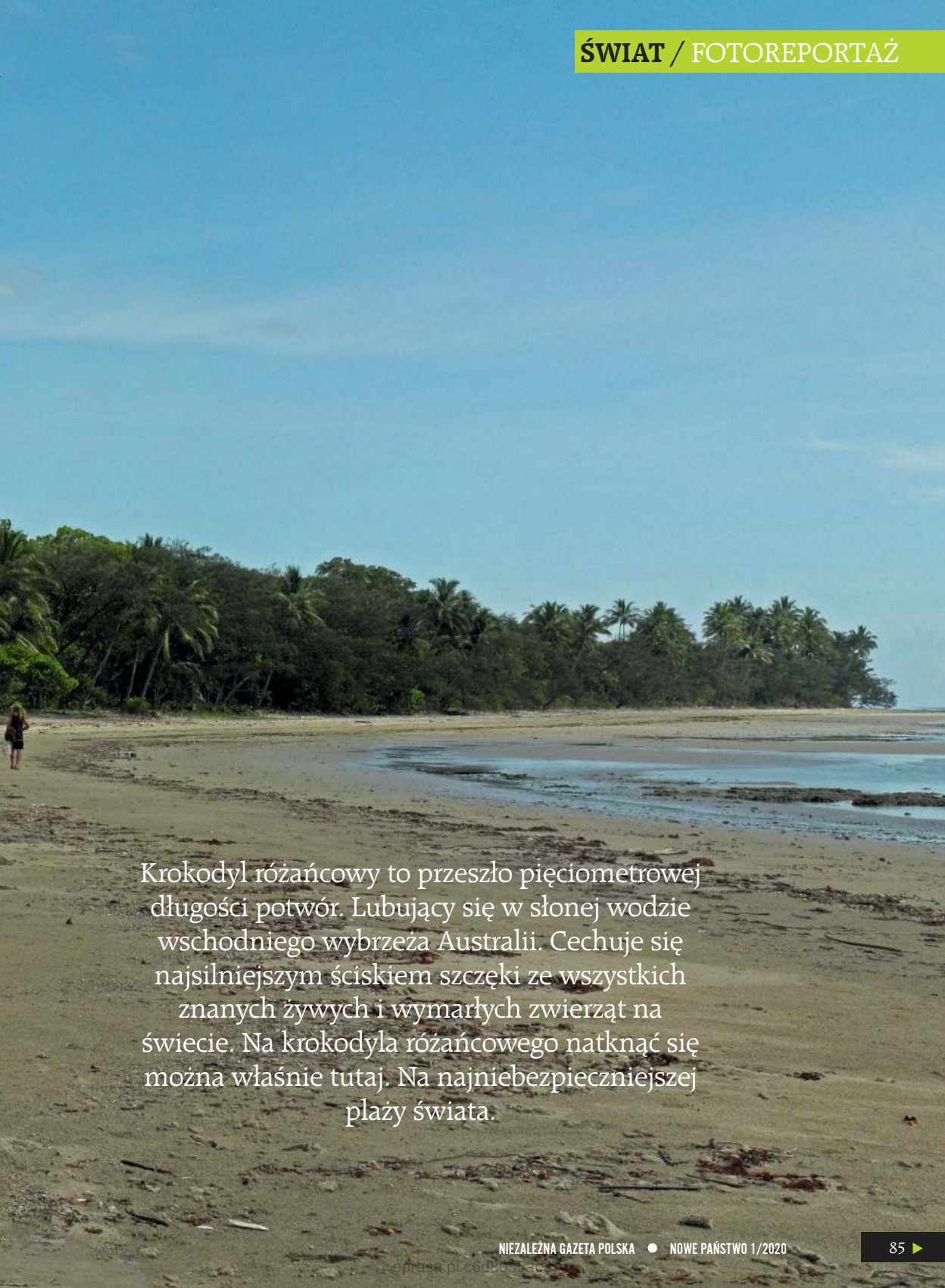
Gdy podawano informacje o osiągnięciu częściowego porozumienia handlowego, w tym samym czasie USA, nakładając sankcje na irańskie Linie Żeglugowe (Iran Shipping Lines), objęły podobną karą ich chińską filię E-Sail Shipping. Niedawno Izba Reprezentantów USA przyjęła tzw. UIGHUR ACT 2019 – ustawę, która m.in. nakazuje administracji USA identyfikację i ukaranie urzędników zamieszanych w masowe internowania członków grup mniejszości etnicznych w Xinjiangu. Teraz dokument ten czeka na podpis Trumpa.

Niekończące się protesty w Hongkongu, wybory na Tajwanie, które prawdopodobnie wygra kandydatka z partii proniepodległościowej, kłopoty ekonomiczne i tylko chwilowy rozejm w konflikcie z USA. Rok 2019 Xi Jinping określił jako trudny, kolejny dla niego i KPCh też nie zapowiada się różowo. ■



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Pamiętka z najniebezpieczniejszej plaży świata



Krokodyl różańcowy to przeszło pięciometrowej długości potwór. Lubujący się w słonej wodzie wschodniego wybrzeża Australii. Cechuje się najsilniejszym ściskiem szczęki ze wszystkich znanych żywych i wymarłych zwierząt na świecie. Na krokodyla różańcowego natknąć się można właśnie tutaj. Na najniebezpieczniejszej plaży świata.



To już nie jest tylko informacja. To ostrzeżenie. Przed krokodylami.

– Masz pewnoś, że sobie poradzisz? – od samego rana w głosie Magdy daje się wyczuć nutkę troski. I niepewności zarazem. Chyba faktycznie boi się jechać ze mną tym autem. Fakt, pierwszy raz siadam za kierownicę umieszczoną po prawej stronie samochodu. Nie mam jednak wyjścia. Pierwszy egzamin już za mną. Dojechałem pod nasz hostelowy parking z samej wypożyczalni samochodów. Nie będę ukrywał. Jestem z siebie naprawdę dumny.

– Czy sobie poradzę? – odpowiadam z uśmiechem, patrząc Magdzie w oczy. – Nie mam pojęcia. Póki co poradziłem sobie na rondzie. Nie pojechałem nawet pod prąd.

– To nie jest śmieszne, Stefan – Magda chyba naprawdę się martwi. – Miasto miastem. Pamiętaj, że mamy dziś do przejechania ponad 300 kilometrów...

– A chcesz zobaczyć zaginiony kawałek świata? – odpowiadam. – Pojechać do miejsca, do którego nie dowiezie nas żaden autobus?

– Wiesz... – dziewczyna uważnie lustruje niewielkiej powierzchni maskę naszego nissana. – Mocno zastanawiam się, czy naprawdę chcę takiej przygody.

– To się zastanawiaj. Ja jadę. Wchodzisz?

– A będziesz uważał? Będziesz jechał ostrożnie?

– Jak zawsze – uśmiecham się, otwierając jej drzwi dla pasażera.

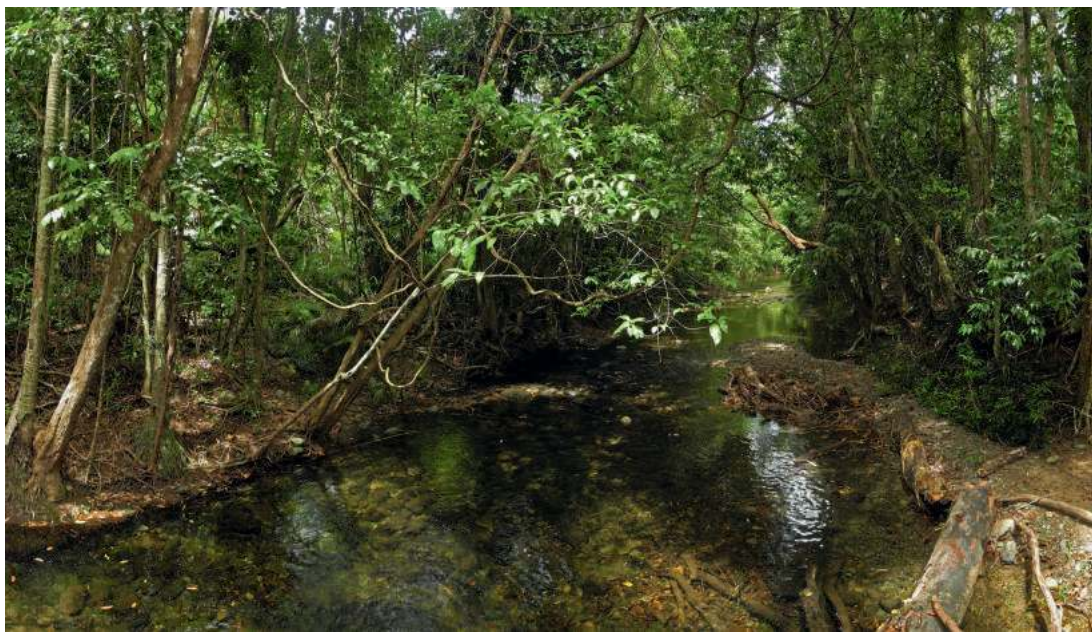
Strach ma zawsze wielkie oczy. Miejscowość Cairns, w której mieszkamy, to zaledwie kilka rond i może kilkanaście skrzyżowań. Z bardzo umiarkowanym natęż-

niem ruchu. I średnią prędkością 20 km/h. Nie ma się więc czego bać. Nie minie kwadrans, jak bezpiecznie opuścimy miasto. Na trasie międzystanowej ruch prawy- czy lewostronny nie będzie stanowił już większej różnicy. Tu już wystarczy trzymać prosto kierownicę i nie puszczać pedału gazu. Będzie można nawet od czasu do czasu rzucić okiem za okno. Szybko okaże się, że warto.

► Zupełnie niechący

Za wąskim pasem egzotycznej zieleni – pełnej palm, bambusów i wysokich pni drzew liściastych – co rusz objawia się seledynowy kolor Morza Karaibskiego. I owszem: można na chwilę przystanąć. Wyjść z auta, zachwycić się, robić zdjęcia. Za kilka chwil jednak człowiekowi wydaje się, że obecnie oglądany widok jest jeszcze piękniejszy od tego poprzedniego. Dopiero w domu okaże się, że zrobione zdjęcia niczym specjalnym od siebie się nie różnią. Ot, zielony kawałek australijskiego wybrzeża wschodniego. To jednak można napisać dopiero z perspektywy czasu. I miejsca. Tam bowiem tropikalna panorama na dziewiczy zakątek Cape Tribulation odgrywa przed nami kolejny swój akt. Wypada jedynie zasiąść na widowni i bić brawo.

Łutowe południe na australijskiej ziemi oznacza zwykle lejący się z nieba żar. Nie inaczej jest dzisiaj. Na niebie po horyzont ani jednej chmurki. I to cudnie zroszone morską wilgocią powietrze. Warunki do odpo-



W takim pejzażu krokodylowe kolosy potrafią kamuflować się perfekcyjnie

czynku wprost wymarzone! Trzeba przyznać, że trochę to się kłóci z nazwą przylądka, na który w tej chwili wjeżdżamy. Przylądka Cape Tribulation. Miejsca, którego nazwa tłumaczona jest jako „przylądek boleści”. Niektórzy upierają się przy wersji „przylądek utrapienia”. Jeszcze inni przy „przylądku kłopotów”. Każdy z nich ma rację. Bo rzeczywiście całkiem niemałe boleści, utrapienia czy wreszcie kłopoty miał na nim lata temu niejaki James Cook. Kapitan okrętu „Endeavour”, którym pokonywał swego czasu Wielką Rafę Koralową. Wraz z załogą wypłynął przeszło dwa lata wcześniej z brytyjskiego portu w poszukiwaniu owianego legendą Południowego Kontynentu (tzw. Terra Australis). Cook był przekonany, że gdzieś tam, na południowych morzach, musi znajdować się wielki, nieodkryty kontynent. Z pewnością pełen wszelakich bogactw. Gdy w 1770 roku doszło do zderzenia kadłuba jego okrętu z jedną z raf, Cook nakazał załozie wyrzucić za burtę niemal cały zapas żywności. Chciał odciążyć statek. Decyzja okazała się strzałem w dziesiątkę. Zaczumowany statek wkrótce się podniósł, a James Cook wraz z załogą byli uratowani. Przybili do wybrzeży dzisiejszej Australii w okolicach obecnego Cooktown (którego nazwa, jak możemy się domyślać, wzięła się od niedoszłego rozbitka). O pamiętnym przylądku, gdzie miała miejsce groźna historia, kapitan wspominał w swoim dzienniku. To właśnie tam po raz pierwszy użył sformułowania „Cape Tribulation”: „Oto tu, w tym miejscu, zaczynają się wszystkie moje problemy i boleści (tribulations)”.

Faktycznie. Kapitan Cook miał prawo mówić o pechu. I o „boleści”. Dziś te boleści przybierają dla odwiedzających to miejsce nieco inną formę. Cape Tribulation jest postrzegany jako „jedna z najbardziej niebezpiecznych plaż świata”. Pełna morskich węży, krokodyli różańcowych oraz kazuarów. Najprościej spotkać te ostatnie. Wybitnie agresywne 60-kilogramowe ptaki, których drapnięcie gigantycznym pazurem może skończyć się dla człowieka niechybną śmiercią, spacerują sobie jak gdyby nigdy nic wśród krzaków okalających asfaltową nitkę prowadzącą w samo serce przylądka. Ale natrafić można także na morskie węże czy krokodyle różańcowe.

► Asfalt, szuter i cisza

W jednej z opublikowanych w mediach klasyfikacji zamieszczono swego czasu taki opis plaży na Cape Tribulation: „Tutejsza plaża stanowi dom dla meduz, jadowitych węży, krokodyli i kazuarów. To jedna z dziesięciu najniebezpieczniejszych plaż na świecie”. Póki co wolę więc nic o moich „odkryciach” nie mówić siedzącej obok Magdzie. Nie chcę jej denerwować. W najgorszym wypadku po prostu nie wyjdzie z samochodu.

Po ponad dwóch godzinach jazdy krajową czterdziestką czwórką wreszcie dojeżdżamy. Przed nami pocztówka ze świata zaginionego. Prawdziwy dziki świat. Ocena, plaża, busz. I nikogo wokół. Zastanawiają-



O zagrożeniu meduzami informują przed wejściem na plażę specjalne znaki. Grunt, by zobaczyć je odpowiednio wcześniej...

ce. Od dobrych kilkudziesięciu minut nie mijaliśmy żadnego auta. Od dobrych 45 minut nie widać też żadnego pieszego.

Jedzie się zupełnie rażno. Na początku asfalt łagodnie pokonuje kolejne pagórki. Przyjemna woń nadmorskiego buszu dostaje się przez samochodowe okna. Gdy kończy się asfalt, jazda zaczyna troszkę doskwierać. Na szutrowej drodze leży sporo kamieni. Finalnie naszą trasę przecina rzeka. Obok wbita w ziemię tabliczka z informacją, że dalej przejedzie wyłącznie auto z napędem 4x4. Nasze osobowe maleństwo nie ma prawa sforsować tej wody. Trzeba będzie zawrócić. Nie tak szybko jednak.

Wychodzę z samochodu. Pora rozprostować nogi. Jest przecież ku temu fantastyczna okazja. Wokoło szum wody. Zielone liście australijskiego buszu. Przelatujące ponad głowami papugi. Tajemniczy szelest w zaroślach.

– Stefan! Stefan! – krzyczy w moim kierunku siedząca przezornie w samochodzie Magda. – Spójrz tam, na tę tabliczkę!

Tabliczka faktycznie jest. Inna niż poprzednia. Stoi wbita w okolicach brzegu rzeki. Żółte tło i jakieś czarne napisy. Podchodzę bliżej, żeby przeczytać. Po chwili już wszystko wiem. To nie jest tylko informacja. To lojalne ostrzeżenie. Przed krokodylami.

► Pędząca garść liści

Krokodyl różańcowy, król tych ziem, to przeszło pięciometrowej długości potwór. Lubujący się w słonej wodzie wschodniego wybrzeża Australii. Cechuje się najsilniejszym ściskiem szczęki ze wszystkich znanych żywych i wymarłych zwierząt na świecie. Ścisk ten wynosi 3700 funta na cal kwadratowy (to tzw. współczynnik psi). Dla porównania: analogiczny współczynnik w przypadku hieny urasta do ledwie 1000, a żarłacza białego i lwa: po 600.

Czytam uważnie jeszcze raz. „Uwaga na krokodyle. To teren ich zamieszkania. Spotkanie może skończyć się śmiercią”. Do auta pozostawionego na szutrowej drodze mam w tej chwili jakieś 50 metrów. Szybki rzut oka na okolicę. Brzeg zgniłozielonej rzeki pokrywają liście. Jest sporo pozwalanych konarów. Gałęzi. Pod nogami płatają się wystające z ziemi pnie. Naraz wszystko zaczyna kojarzyć się z jednym. Szybko przypominam sobie pewne zdjęcie, jakie miałem kiedyś oglądać. Fotografię, w którą trzeba było się naprawdę długo wpatrywać, aby dostrzec na niej... krokodyla oko. Kolos leżał w błocie, pokryty gałęziami. Perfekcyjnie zlewający się z otoczeniem. Fantastycznie zakamuflowany. Wspomnienie tego zdjęcia wcale nie poprawia mi

samopoczucia. Nie mam pojęcia, czy któryś z prehistorycznych gadów obserwuje mnie w tej chwili czy nie. Nie chcę sprawdzać. Spróbuję po prostu spokojnie udać się do samochodu.

► Kicz z hamakiem w tle

Już w aucie. Po kwadransie dojeżdżamy wreszcie do upragnionej plaży. Takiej wyjątej z pocztówki. Są palmy, jest biały piasek. Wreszcie jest seledynowa toń ciepłego Morza Koralowego. Przed wejściem na plażę pustki. Nie ma ani aut, ani ludzi. Nikogo. Stoi jedynie znak. Znowu. Tym razem przedstawiający meduzę i tonącego obok człowieka.

Tak, to prawda. Przed przyjazdem do Australii słyzałem nieco o toksycznych i niebezpiecznych meduzach patrolujących australijskie wody. Tak, czytałem o nich w przewodnikach. Tak... ale nie dajmy się zważować. Gdzie znajdzie drugą taką rajską plażę?

– Magda, idziemy się kąpać? – wypalam.

– A widziałeś ten znak?

– Tak, widziałem.

– I?...

– No właśnie. I co?

– No... – Magda na chwilę daje zbić się z tropu.

– No... przecież tam było napisane, że tutaj są jakieś niebezpieczne meduzy...

– A daj spokój. Muszą coś napisać, żeby potem na wszelki wypadek mieć alibi. Ja tam wchodzę. Przy takim słońcu i upale nie wykąpać się? Przecież to by było niedorzeczne.

► Wielkie oczy

Pluskam się już kilkanaście minut. Po tym czasie dołącza do mnie Magda.

– Spójrz na tę łódkę – wskazuję znajomej niewielką zatrzymującą się w pewnej odległości od nas motorówkę z turystami. Pierwszymi ludźmi, jakich widzimy od jakiegoś czasu. – Pewnie pokazują sobie, jakich to cymbalów udało im się znaleźć na morzu.

Woda przy swojej temperaturze nie koi wprawdzie do końca rozgrzanej od upalnego słońca skóry, ale i tak pomaga. Czule chłodzi. Można popływać. Po niemal półgodzinnej kąpieli wracam zadowolony na plażę. Dopiero teraz widać, jak łódka zmienia kurs i płynie ku brzegowi. Gdy jest bardzo blisko, pasażerowie zeskakują na ląd. Jeden z nich szybkim krokiem zbliża się do nas i z miną człowieka, który dopiero co zobaczył ducha, oznajmia:

– Widzieliście znak?

– Jaki znak? – odpowiadam spokojnie.

– Tam... Tam, przy wejściu na plażę.

– A, ten z meduzami? Tak, widzieliśmy.



Sami Australijczycy śmieją się, że u nich „wszystko jest trujące i jadowite”

– Masz pojęcie, jak bardzo ryzykowałeś? Zatrzymaliśmy się łodzią, aby was obserwować z przerażeniem. Które z was pierwsze zginie.

– Ale dlaczego? Chodzi o te krokodyle?

– Nie tylko. Przede wszystkim o miliony małych meduz. To cisi zabójcy. Uśmiercają w kilkanaście minut. Nie zdążylibyśmy dowieźć was nawet do szpitala. Bylibyście bez szans...

– I dużo ich jest?

– Zwykle nie, ale teraz w lutym mają swój okres godowy. Pojawiają się wraz z pływami. Obecnie jest ich najwięcej.

– Najwięcej, to znaczy ile? – dopytuję.

– Człowieku, miliony. Rozumiesz? Miliony!

Tym razem nic już nie odpowiadam.

– Tu na wschodnim wybrzeżu to najczęstsza przyczyna śmierci. Największe żniwo wśród ludzkich zgonów. Człowieku, jedź do domu i dziękuj Bogu za ocalenie życia.

Trzeba znów podziękować Opatrzności. Uśmiechnąć się z wdzięcznością do Anioła Stróża. I znów pochylić głowę ze wstydem. Cóż bowiem można zrobić więcej? Poza obiecywaniem sobie, że już nigdy więcej takich głupot nie zrobię...

Olga Doleśniak-Harczuk



Moje ciało... Poważnie?

Niemiecki dziennik „Tagesspiegel”. Wydanie z 7 grudnia.

Na stronie 32 tekst zatytułowany: „Przeciw stygmatyzacji przerywania ciąży”, kilkanaście stron dalej artykuł „Żadnego krzyku. Nic. Cisza”. W tym pierwszym laudatio na cześć organizacji szkolących przyszłych aborcjonistów, w drugim historia matki, której kilkudniowe dziecko umiera na szpitalnym łóżku. Kobieta ubierająca swoje dziecko w śpiochy do trumny, a za rogiem profesjonalnie i sterylnie zadawana śmierć. Nowocześnie i trendy.

„Kiedy ktoś mnie pyta, ile mam dzieci, odpowiadam: dwójkę. Jedno żyjące i jedno martwe. Ludzie niechętnie mówią o śmierci” – pisze na łamach „Tagesspiegla” Katja Demirci, wspominając klatka po klatce tygodnie z życia jej pierwszego dziecka. Jedyny tydzień. Narodziny, strapienie miny lekarzy, reanimacja, iskra nadziei, a na koniec przedsiębiorca pogrzebowy radzący, by na ceremonię przynieść salaterkę z płatkami róż. „Bo wszyscy tak robią. Płatki muszą być”.

► Hej, o czym oni mówią...

Takie wspomnienia wgryzają się w mózg. Ping-pong między obwinianiem samej siebie a szukaniem racjonalnego wytłumaczenia, „dlaczego właśnie mnie to spotkało”. Nie ma racjonalnego wytłumaczenia. Nawet gdyby było, to nic nie zmienia. Wytłumaczenie jak plaster naklejony na otwarte złamanie. I tak przychodzą ból, depresja, kanał emocjonalny. A potem zagłębienie do cudzych wózków, ciekawskie spojrzenia sąsiadów, którzy drążą: „a gdzie jest pani dzidzius?”, cierpliwe wysłuchiwanie znajomych opowiadających o swoich kłopotliwych potomkach. Hej, o czym oni mówią? Jak to fajnie by było sobie ponarzekać, że syn znówu się zbuntował, córka dostała pałę, że tyle a tyle trzeba wydać na nowy rower, a edukacja kosztuje... Zwykle problemy, upragnione problemy. Trudności, które można pokonać. Takich historii jak ta opisana w niemieckiej gazecie jest wiele. W Polsce również. Nie pasują do czarnych protestów, błyszczących tłustym drukiem magazynów. Żaden luksusowy korektor nie przykryje cieni pod oczami. W kraju seksedukatorek, specjalistek od pokochania siebie i samorealizacji, aborcja jest fetyszem. Wizja żałoby nad mikrotrumną uderza w fundament tej krajiny. Piekło kobiet rozumiane jako zakaz zabicia własnego dziecka *versus* piekło nieproszonej śmierci. Moje ciało, mój wybór. Serio?

► Człowiek-papaja

„Jestem za prawem do wyboru, ponieważ pokój pełen białych, starych mężczyzn nie ma prawa mówić kobietom, co im wolno robić z własnym ciałem” – głosi napis na planszy. Jej właściciel to młody student, jeden z 10 tys. członków organizacji Medical Students for Choice” (MSFC). Dalej zdjęcie studentki, też trzymająca przed sobą planszę, ona z kolei jest za prawem do wyboru (czytaj: aborcji), ponieważ ono jednocześnie jest prawem człowieka. I na koniec zdjęcie grupowe, studenci uniwersytetu medycznego w Bostonie sfotografowani z banerem: „MSFC wspiera sprawiedliwość reprodukcyjną”. Była spoleczna, jest reprodukcyjna.

Organizacja Medical Students for Choice została założona w 1993 roku w odpowiedzi na „brak oferty edukacyjnej dotyczącej aborcji w praktyce lekarskiej”.

Dziś MSFC ma 220 oddziałów na całym świecie. I pomaga kobietom. W zabijaniu ich dzieci. Z uśmiechem, z serdecznym gestem zapraszającym na ginekologiczny fotel, jakby to była co najmniej gratisowa wycieczka do spa. Za osiągnięcia na polu popularyzowania aborcji należy się nagroda. Oddział MSFC w Berlinie tylko za wdrażanie tzw. treningów aborcyjnych na wspólnym dla Uniwersytetu Humboldtów i Wolnym Uniwersytecie Wydziale Medycyny otrzymał w połowie listopada 2019 roku nagrodę im. Margherity von Bretano. Na zachętę, ponieważ treningi jeszcze nie znalazły się w planie zajęć obowiązkowych, na razie mają charakter fakultatywny. Nagroda Margherity von Bretano jest przyznawana co dwa lata przez prezydium Wolnego Uniwersytetu w Berlinie za wyjątkowe osiągnięcia i innowacje na rzecz równouprawnienia i wspierania kobiet. Innowacyjność tego konkretnego projektu polega na trenowaniu aborcji na owocach. Bierze się papaję, przystawia do niej pompkę i zasysa nasionka. 20 studentek ćwiczy dzielnie to zasysanie po godzinach w jednej z sal seminaryjnych. Narzędzia chirurgiczne wypożycza im Centrum Planowania Rodziny Berlin Lichtenberg. W końcu nic tak nie pomaga w planowaniu rodziny jak stal.

► Z pompką ku nowej przyszłości

Dziewczyny z Berlina pozują do zdjęcia grupowego w czarnych koszulkach z nadrukiem jajników, jedne jajniki unoszą się do góry z werwą siłacza, inne imitują gest ze środkowym palcem. Siła kobiet utożsamiana z agresywnymi jajnikami. I uśmiechnięte twarze studentek, którym ktoś powiedział, że wyposażone w pompki i narzędzia chirurgiczne zaprowadzą ład na tym przeludnionym świecie rządzonego przez starych, białych facetów. – Aborcja jest wciąż stygmatyzowana. Walczymy z tą stygmatyzacją – skarży się jedna z absolwentek kursu papai.

A tymczasem amerykańska centrala walczy o pieniądze. „Zainwestuj w przyszłych aborcjonistów!” – apelują na stronie internetowej MSFC. Na dole w boksikach sugerowane kwoty: 50, 100, 200, 500, 1000 dolarów amerykańskich. Prywatnych donatorów nie brakuje, ale zgodnie z tym, co zapisano w raporcie finansowym organizacji za 2018 rok, granty wpływają też z różnych fundacji, m.in. z: David and Lucile Packard Foundation, The Rockefeller Family Fund – Alki Fund czy The Scherman Foundation i innych. Inwestowanie w przyszłych aborcjonistów ma więc możliwe i zamożne grono zwolenników. Panowie i panie życia i śmierci. Dobrodzieje wkurzonych jajników, które gdyby mogły, to by chyba mordowały. Szybko i sprawnie, i sterylne. I na co komu jakieś clikie płatki róż w kuchennej salaterce? ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Chiny

Od dwóch lat wiadomo, że komunistyczne władze w Chinach stworzyły w prowincji Xinjiang sieć obozów, w których zamknięto już ponad milion Ujgurów. Jednak dopiero opublikowane w listopadzie ubiegłego roku dwa raporty – jeden przez amerykańską gazetę „New York Times” („NYT”), drugi przez Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) – odsłoniły skalę chińskiego terroru wobec Ujgurów. Do obozów trafiają także Kazacy, Uzbeki i przedstawiciele innych mniejszości etnicznych; w większości są to muzułmanie, choć wśród więźniów znajdują się też chrześcijanie.

Przedstawiony przez amerykańską gazetę raport na 403 stronach zawiera niepublikowane przemówienia prezydenta Xi Jinpinga oraz dyrektywy i raporty władz chińskich dotyczące nadzoru i kontroli Ujgurów. Z dokumentów Xi jawi się jako główny strateg polityki w Xinjangu. Jej początki przypadają na lata 2013–2014, gdy miały miejsce ujgurskie zamachy, których ofiarą padło ponad 150 osób. Wówczas chiński przywódca w przemówieniach zaczął zachęcać lokalne władze, by postępowaly „o wiele bardziej twardo” i by „partia nie przejawiała cienia litości” wobec Ujgurów, których zaczęto określać jako terrorystów.

Raport „NYT” ukazuje, że zdecydowana większość przetrzymywanych w obozach nie ma postawionych zarzutów. Są aresztowani na przykład za niezgodne z linią partii wpisy na portalach społecznościowych, uczęszczanie do meczetów czy podróże do krajów uznawanych przez Pekin za wylegarnie islamskiego terroryzmu, na przykład do Turcji, Afganistanu, Pakistanu i Indonezji.

Wśród dokumentów ujawnionych przez ICIJ jest dziewięciostronowa notatka z 2017 roku adresowana do zarządzających obozami, a sporządzona przez Zhu Hailuna, ówczesnego zastępcę sekretarza Komunistycznej Partii Chin w regionie Xinjiang. Według dokumentu obozy mia-

ły być prowadzone jak więzienia o zaostrzonym rygorze, z restrykcyjnymi karami i dyscypliną, najlepiej bez możliwości opuszczenia obozu, a przede wszystkim zerową tolerancją dla prób ucieczki. Raport ICJI mówi o egzekucjach zbiegów. Według dokumentów obozy w Xinjangu pełne są kamer nadzorujących.

Ujgurska aktywistka i założycielka ruchu Campaign for Uighurs, mieszkająca w USA Rushan Abbas, porównała politykę KPCh wobec Ujgurów do polityki nazistów wobec Żydów. Abbas wzywa państwa zachodnie, by pozbawiły Chiny prawa organizowania Zimowych Igrzysk w 2022 roku i Klubowych Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 2021 roku. Według ujgurskiej aktywistki organizowanie tych imprez w Chinach będzie jak przyznanie nagrody dla tamtejszych władz za zbrodnie przeciwko ludzkości. „Kiedy nazistowskie Niemcy zbudowały swoje pierwsze obozy koncentracyjne w 1933 roku, większość ekonomicznie niezależnych lub bogatych krajów kontynuowała interesy z Niemcami i umożliwiła niemieckiej gospodarce zamordowanie większej liczby ludzi. I dokładnie to samo dzieje się teraz” – twierdzi Rushan Abbas.

Ujgurzy to lud turecki, liczący obecnie ponad 10 mln osób. Większość z nich zamieszkuje autonomiczny region Xinjiang w Chinach i jest muzułmanami. Jak twierdzi Omer Kanat, wiceprzewodniczący działającego na uchodźstwie Światowego Kongresu Ujgurów (WUC), ludzie ci żyją w ChRL jak w więzieniu. Pozbawiono ich wszelkich praw. Zabrania im się używania własnego języka, niszczy kulturę, konfiskuje ziemię. Setki tysięcy zmusza się do przesiedlenia w inne regiony Chin.

► Japonia

Rząd Japonii ogłosił, że zamierza zakupić niezamieszkałą wyspę Mageshima o powierzchni 3 mil kwadratowych i położoną 34 km na południowy wschód od Kiusiu (trzeciej pod względem powierzchni wyspy Japonii). W tej

chwili Mageshima ma prywatnego właściciela, jedną z tokijskich firm.

Mageshima położona jest na Morzu Wschodniochińskim, czyli w strefie narastającej konfrontacji między USA a Chinami. Na wyspie znajdują się dwa pasy startowe dla samolotów. W czasie II wojny światowej były one wykorzystywane przez cesarskie lotnictwo walczące z USA. Dziś japońscy politycy twierdzą, że chcą przystosować je do użycia przez samoloty i śmigłowce amerykańskiej marynarki wojennej i Korpusu Piechoty Morskiej.

Amerykańska stacja CNN stwierdziła, że w przyszłości Mageshima „może być wykorzystana jako niezatapialny lotniskowiec dla Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych na wypadek wojny w Azji”.

► Tajwan

13 grudnia tajwański parlament uchwalił zmiany w ustawie o służbach wywiadowczych. Przewidują one podniesienie kar dla personelu wywiadu, który dopuści się szpiegowania dla obcych sił i ujawni informacje dotyczące obrony narodowej, bezpieczeństwa narodowego lub bezpieczeństwa systemów łączności. Ustawa w poprzedniej wersji przewidywała karę pozbawienia wolności na najmniej siedem lat. W tej chwili może to być od 10 lat do dożywocia. Zniesiono też ustanie karalności czynu po 30 latach. Minimalna kara dla emerytowanego personelu wywiadu, który został zatrudniony przez obce państwa do prowadzenia misji szpiegowskich, została podniesiona z trzech do siedmiu lat więzienia.

Zmiany wprowadzono ze względu na rosnące zagrożenie ze strony Chin, które dążą do aneksji Tajwanu i prowadzą liczne działania infiltracyjne na wyspie.

► Chiny-Huawei

W wywiadzie dla wydawanej w Nowym Jorku emigracyjnej gazety chińskiej „Epoch Times” były pracownik Huawei opowiedział o tym, jak ważną rolę w komunistycznym systemie w ChRL odgrywa chiński gigant telekomunikacyjny.

Jin Chun po ukończeniu studiów na wydziale informatyki w Irlandii przez trzy lata pracował dla Huawei. Zajmował się badaniami dużych zbiorów danych. Opuścił firmę w kwietniu ubiegłego roku. Według Chuna Huawei jest w rzeczywistości ośrodkiem wywiadowczym chińskiego reżimu komunistycznego i jednostką wojskową, która łączy codzienną działalność handlową ze szpiegowaniem i kradzieżą technologii. W wywiadzie Jin Chun przyznał, że wielu pracowników Huawei zna szczegóły niebezpiecznej działalności firmy, ale ich nie wyjawia, bo spotka ich za to kara. Według mężczyzny kilku pracowników Huawei próbowało wyjawiać, że firma sprzedaje sprzęt do Iranu. Zebrało liczne dowody, m.in. wizy wjazdowe przyznane

przez Iran i zapisy płatności za delegację. Chińska policja i sądy nie zajęły się tymi sprawami, ponieważ uważa się je za tajemnicę państwową. „Ci pracownicy trafili do więzienia pod zarzutem wyłudzenia i byli torturowani tak długo, aż obiecali, że już nigdy nie ujawnią żadnych tajemnic” – powiedział Jin Chun „Epoch Times”.

„Niektórzy twierdzą, że Huawei jest kontrolowany przez Chińską Partię Komunistyczną (KPCh). Powiedziałbym, że jest to częścią samej KPCh. [...] Dlatego Huawei nie może mieć konfliktu interesów z KPCh. Kilku czołowych szefów w firmie pochodzi z agencji rządowych KPCh – albo Sztabu Generalnego armii chińskiej, albo Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. To właśnie jest zaplecze Huawei” – czytamy w wywiadzie Jin Chuna dla „Epoch Times”.

Według Jin Chuna istnieją trzy powody, dla których Huawei jest niezwykle dochodowy. Po pierwsze, wsparcie ze strony chińskiego reżimu komunistycznego; po drugie, to różne monopole; a po trzecie, to przyjęcie systemów zarządzania używanych przez amerykańskie firmy.

Pod względem technologii Jin Chun określił Huawei jako „kompetentną i bardzo silną” firmę. Odgrywa ona też ważną rolę w chińskiej inicjatywie Nowego Jedwabnego Szlaku i „pomaga KPCh w tworzeniu zaawansowanych technologicznie produktów, takich jak rozpoznawanie twarzy”. Jin Chun ujawnił, że Huawei nie tylko monitoruje chińskich obywateli mieszkających w Chinach, lecz także zbiera informacje od zagranicznych obywateli chińskich.

W rozmowie pada również stwierdzenie, że sukces firmy nie tkwi w jej innowacyjności, lecz w plagiatach. „Wiele tzw. innowacji było faktycznie plagiatami. W rzeczywistości w Huawei nie ma wiele innowacji. Najczęściej firma po prostu przejmując ścieżki, którymi podążają inni. Huawei jest w stanie to zrobić, ponieważ jest wspierany przez aparat państwowy – cały system sądowy jest zawsze po stronie Huawei. Ostatecznie wszystkie patenty należą do niej, nawet wynalazki innych firm ostatecznie stają się własnością intelektualną Huawei. W ten sposób Huawei stał się wiodącą firmą IT w Chinach” – stwierdził Jin Chun.

Chińczyk dodał, że zdecydował się odejść z firmy, gdyż coraz większą rolę odgrywa w niej polityka donosu. W ostatnich latach firma otwarcie zachęca pracowników do raportowania na siebie. Na spotkaniu pracowników na początku tego roku jeden z kierowników przeczytał oficjalne oświadczenie firmy, informując, że zostało utworzone specjalne konto e-mailowe, na które pracownicy mogą zgłaszać informacje o swoich kolegach i koleżankach z pracy.

Na koniec Jin Chun określił Huawei jako najpotężniejsze przedsiębiorstwo w ramach KPCh, które nauczyło się wykorzystywać zachodnią filozofię i technologię, by służyć reżimowi. „Jest to zatem najbardziej niebezpieczny element KPCh i przynosi największą szkodę światu” – powiedział Jin Chun. ■

Antoni Rybczyński

Biała Śmierć Armii Czerwonej

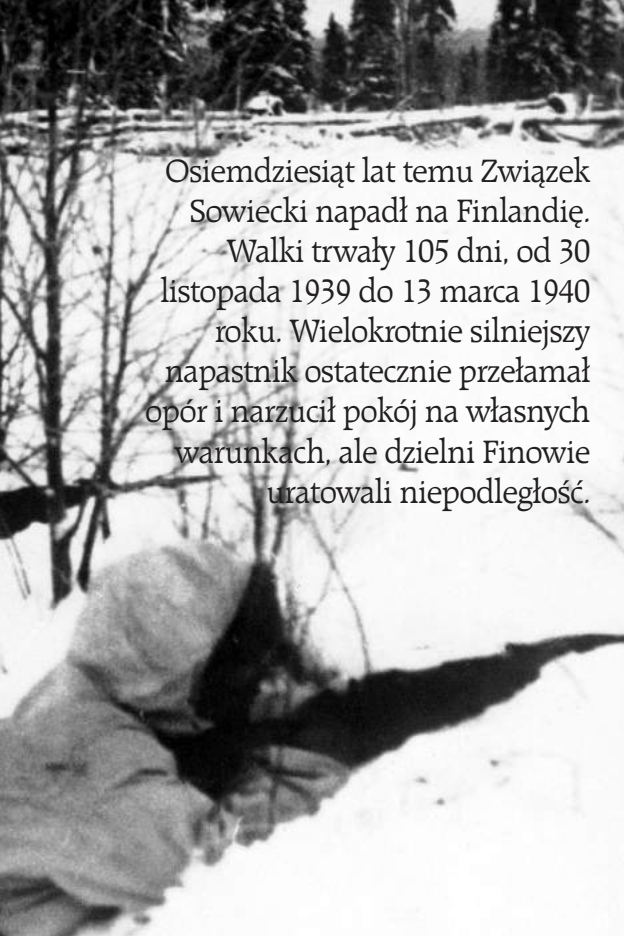
Relacje Finlandii z Sowietami przypominały nieco stosunki polsko-sowieckie. W obu przypadkach mamy kraje, które wyzwoliły się spod rosyjskiego panowania, a niepodległość wywalczyły zbrojnie przede wszystkim w starciu właśnie z Moskwą. Stalin nie zapomniał o klęsce interwencji w 1918 roku, zaś w Helsinkach pamiętano o wsparciu sąsiada dla „czerwonych Finów” w krwawej wojnie domowej. Jednak w 1932 roku ZSRS podpisał z Finlandią pakt o nieagresji. I to kolejne podobieństwo do relacji z Polską, ale i krajami bałtyckimi.

► Sowiecka propaganda robi swoje

Co ciekawe, Stalin już w czerwcu 1939 roku, a więc jeszcze przed paktem z III Rzeszą oddającym Finlandię w sowiecką strefę wpływów, polecił dowódcy Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, komandarmowi Kiryłowi Mierieckowowi, opracować plan inwazji na Finlandię. W spotkaniu uczestniczył fiński komunista Otto Kuusinen, który uciekł do Rosji po przegranej wojnie domowej w 1918 roku. To z nim Mierieckow miał konsultować wszelkie fińskie kwestie. Od sierpnia 1939 roku przy granicy zaczęła

się koncentracja wojsk. Tak chciano wyrzucić presję na Helsinki i zmusić rząd fiński do zawarcia z Moskwą „traktatu o wzajemnej pomocy”, na wzór podobnych podpisanych z krajami bałtyckimi (oznaczały de facto utratę suwerenności państwowej). Sowietci mieli wtedy przy granicy siły wielokrotnie większe od całej fińskiej armii (425 tys. vs 250 tys.). Artylerii mieli pięć razy więcej, a samolotów dziewięć razy więcej. Finowie mieli zaledwie 32 czołgi, Sowietci – 2289.

W sowieckiej propagandzie na użytek wewnętrzny mocno eksploatowano tezę o rzekomym militarnym zagrożeniu dla Leningradu. To był pretekst do wysunięcia szeregu żądań pod adresem Helsinek. Na Przesmyku Karelskim granica (dawna wewnętrzna granica guberni wylubskiej) przebiegała zaledwie 32 kilometry od starej stolicy Rosji. Politbiuro Komitetu Centralnego WKP(b) wskazywało na „możliwość ostrzału artyleryjskiego Leningradu” i prawdopodobieństwo „wykorzystania Finlandii przez kraj trzeci”. Oczywiście Finowie nie mieli ani artylerii dalekiego zasięgu, ani intencji ostrzeliwania Leningradu. Nawet potem, w latach 1941–1944, gdy Finlandia walczyła po stronie Niemiec, uczestnicząc w blokadzie miasta, fińskie



Osiemdziesiąt lat temu Związek Sowiecki napadł na Finlandię. Walki trwały 105 dni, od 30 listopada 1939 do 13 marca 1940 roku. Wielokrotnie silniejszy napastnik ostatecznie przełamał opór i narzucił pokój na własnych warunkach, ale dzielni Finowie uratowali niepodległość.

władze i generałowie odmawiali udziału w ostrzale, nalach i działaniach ofensywnych z Przesmyku Karelskiego w kierunku Leningradu. W całej Finlandii żyło mniej ludzi niż w jednym Leningradzie. Fińska armia liczebnie była mniejsza od sowieckiej 60 razy. Samolotów Stalin miał 60 razy więcej niż Mannerheim, a czołgów 350 razy więcej! Jeszcze bardziej fantastycznie brzmiały słowa o „kraju trzecim”, który miałby z terytorium fińskiego zaatakować Leningrad. Przecież Niemcy były wtedy sojusznikiem Moskwy, zaś kraje zachodnie same myślały, jak bronić się przed ofensywą Hitlera. Po tym, jak w 1918 roku Niemcy pomogły Finom zdławić powstanie lokalnych bolszewików, wielu fińskich oficerów i polityków na prawicy sympatyzowało z Berlinem. Gdy Moskwa zaprosiła Finów na rozmowy, wysuwając swe żądania (5 października 1939 roku), germanofile w Helsinkach nieoficjalnie sondowali w Berlinie, czy Finlandia może liczyć na choćby dyplomatyczne wsparcie III Rzeszy – ale usłyszeli odmowę. Duża część elity, z Gustawem Mannerheimem i prezydentem Risto Rytim, ciążyła ku Zachodowi. Od 1937 roku u władzy w Helsinkach pozostawała szeroka centrolewicowa koalicja z socjaldemokratami na czele, bardzo krytycznymi wo-

bec nazizmu. W polityce zagranicznej ówczesny rząd w Helsinkach orientował się na współpracę ze Szwecją i Wielką Brytanią. Utrzymywał też bliskie relacje gospodarcze z USA. Wbrew sowieckiej propagandzie tamtych czasów i oskarżaniu fińskich władz o faszyzm, sympatyzujące z nazistowskimi Niemcami partie miały w Finlandii skromne poparcie. W wyborach parlamentarnych latem 1939 roku faszyzujący Patriotyczny Ruch Ludowy (Isänmaallinen kansanliike, IKL), będący kontynuacją Ruchu Lapua (zainicjowanego w 1929 roku przez antykomunistycznych nacjonalistów wywodzący się z „białych Finów” i rozwiązanego w 1932 roku po próbie puczu) zdobył zaledwie siedem miejsc w 193-osobowym parlamencie.

► Incydent w Mainili

Zgodnie z tajnym protokołem do paktu Ribbentrop-Mołotow Finlandia znalazła się w strefie wpływów ZSRS. Po wrześniowym rozbiórze Polski Stalin zwiększył presję na kraje bałtyckie, które po wybuchu wojny światowej ogłosiły neutralność. Także Finlandia zrobiła to 2 września. We wrześniowych raportach Głównego Zarządu Wojsk Pogranicznych NKWD na temat nastrojów wśród ludności pogranicza podkreślano, że fińscy chłopcy po ataku Niemiec na Polskę boją się napaści sowieckiej na Finlandię. 12 października 1939 roku rozpoczęły się sowiecko-fińskie rozmowy na temat „bezpieczeństwa Leningradu”. Strona sowiecka żądała oddania jej w dzierżawę – w celu zainstalowania tam bazy wojenno-morskiej – półwyspu Hanko (południowo-zachodnie krańce Finlandii), odsunięcia granicy na Przesmyku Karelskim o 50–60 km (w efekcie nowa linia graniczna przebiegałaby bezpośrednio wzdłuż głównej linii obronnej Finlandii, tzw. linii Mannerheima) oraz oddania w dzierżawę sześciu wysepek w Zatoce Fińskiej, leżących przy morskich dostępach do Kronsztadu i Leningradu. W zamian Moskwa proponowała Finlandii pewien obszar lądu w Karelii, na północ od jeziora Ładoga, duży, ale ekonomicznie nierozwinięty, właściwie same lasy i bagna.

Zgody na bazę sowiecką na półwyspie Hanko Finowie dać nie mogli, bo by to naruszało neutralność ich państwa. Z kolei przesunięcie granicy na Przesmyku Karelskim podważyłoby skuteczność Linii Mannerheima i otwierało drogę do południowej Finlandii i Helsinek. Niemniej Finowie zgodzili się przekazać pięć z sześciu wskazanych przez Sowietów wysepek oraz przesunąć granicę częściowo tak, aby wykluczona została opcja ostrzału artyleryjskiego Leningradu z terytorium Finlandii nawet w teorii. Ale to było za mało – zresztą wiele wskazuje na to, że Stalin i tak by znalazł pretekst do ataku. Bo celem była cała Finlandia. Miała podzielić los Estonii, Łotwy i Litwy. 11 listopada 1939 roku ludowy komisarz obrony marszałek Kliment Woroszyłow wydał rozkaz sformowania w Leningradzkim Okręgu Wojskowym 106. Dywizji Strzelców, złożonej głównie z przedstawicieli mniejszości karelskiej. 21 listo-

pada 1939 roku rada wojskowa okręgu dyrektywą nr 4713 postawiła zadania operacyjne przed stacjonującymi w paśmie przygranicznym jednostkami: 7. Armią, 8. Armią, 9. Armią i 14. Armią. Oddziały były gotowe do ataku i tylko czekały na rozkazy. Przewidywano błyskawiczne zwycięstwo – do 21 grudnia, na 60. urodziny Stalina, cała Finlandia miała być już pod sowiecką okupacją.

Wojny często zaczynają się od incydentów i prowokacji. Polska miała prowokację w Gliwicach, z kolei pretekstem do rozpoczęcia sowieckiej agresji na Finlandię były wydarzenia we wsi Mainila na Przesmyku Karelskim. Według wersji sowieckiej 26 listopada 1939 roku o godz. 15:45 oddział Armii Czerwonej, znajdujący się kilometr na północny zachód od wsi, został nieoczekiwanie ostrzelany z fińskiego terytorium ogniem artylerii. Sowietci nawet dokładnie policzyli wystrzały: miało być ich siedem. Zginąć miało trzech szeregowców i młodszy dowódca, rannych miało być siedmiu szeregowców i dwóch oficerów. Wersja fińska była zgodna z sowiecką tylko w jednym – liczbie wystrzałów. Ale ostrzał miał mieć miejsce o 16:00 i to z innej lokalizacji – 1,5–2 km na południowy wschód od miejsca stacjonowania żołnierzy. A więc z sowieckiego terytorium. Helsinki zapewniały też, że po jej stronie granicy nie ma żadnej artylerii, a jedynie pogranicznicy. To była sowiecka prowokacja, za której zorganizowanie naczelnik NKWD w obwodzie leningradzkim, komisarz Siergiej Goglidze, w kwietniu 1940 roku dostał order Czerwonego Sztandaru. Ale są badacze, którzy powołując się na dokumenty Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego, odrzucają w ogóle fakt ostrzału i ofiar po stronie sowieckiej. Komisarz spraw zagranicznych Władysław Mołotow otwarcie oskarżył Finów. Helsinki odrzuciły sowieckie zarzuty, proponując przeprowadzenie dochodzenia na podstawie obowiązujących dwustronnych porozumień. Finowie byli nawet gotowi do rozmów o dwustronnym wycofaniu wojsk dalej od linii granicy. W odpowiedzi Mołotow oskarżył rząd socjaldemokraty Aimo Cajandera o znęcanie się nad „ofiarami ostrzału” i podkreślił, że ZSRR nie uważa się już za związany paktem o nieagresji z 1932 roku. 29 listopada 1939 roku Moskwa poinformowała o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Finlandią. Finowie, zaskoczeni tak agresywną retoryką, pośpieszyli z deklaracją gotowości jednostronnego wycofania wojsk od linii granicznej. Byli też gotowi rozpatrzyć inne żądania sowieckie.

► Biała Śmierć

Jednak 30 listopada 1939 roku Sowietci rozpoczęli działania wojenne. O godzinie 8.00 zaczął się zmasowany ostrzał artyleryjski terytorium Finlandii. Z powietrza zaatakowano Helsinki, Turku, Tampere i inne miasta (podczas całego konfliktu od sowieckich bomb lotniczych zginęło i zostało rannych około 3 tys. cywilów). Władysław Mołotow, ludowy komisarz spraw zagranicznych, oznajmił, że o żadnych nalotach nie wie, natomiast lotnictwo sowiec-

kie zrzuca jedynie zasobniki z chlebem dla głodującej ludności wyniszczonej przez wojskową klifikę. 1 grudnia 1939 roku Związek Sowiecki ogłosił, że we wsi Terijoki powstał „rząd ludowy” Finlandii z Otto Kuusinenem na czele. Już następnego dnia Moskwa podpisała z nim umowę o wzajemnej pomocy i przyjaźni, ogłaszając, że uznaje gabinet Kuusinen za jedyny prawowity rząd Finlandii. Zaczęto nawet formować Fińską Armię Ludową. Sowietcy planiści zakładali jednak wojnę błyskawiczną i łatwe zwycięstwo. 7. Armia dostała zadanie przebiecia się przez Przesmyk Karelski oraz zajęcia Helsinek i południowych obszarów Finlandii. Trzy pozostałe armie miały na północ od jeziora Ładoga obejść Linie Mannerheima, rozciąć Finlandię na pół i zająć jej północ. Ale ofensywa utknęła, zanim na dobre ruszyła. Liczebnie przeważające siły Czerwonej Armii nie mogły złamać oporu mniej licznej, lecz znacznie lepiej przygotowanej (i taktycznie, i pod względem dyscypliny) fińskiej armii. Same pola minowe Linii Mannerheima opóźniły natarcie Armii Czerwonej o tydzień, zaś drewniane, ale przykryte kilkumetrową warstwą ziemi i przysypane śniegiem fińskie bunkry okazały się nie gorsze od betonowych.

Wbrew mitom, to nie warunki pogodowe zdecydowały, że Sowietci tak długo męczyli się z dużo słabszym przeciwnikiem. Kluczowy był duch bojowy Finów, którzy nie mieli wątpliwości, że w razie klęski stracą niepodległość. W Finlandii doskonale wiadano, co działo się u sąsiada podczas wielkiego terroru lat 1937–1938, gdy rozstrzelano również tysiące Finów, pozamykano gazety drukowane w języku fińskim i szkoły, gdzie nauczano fińskiego. Żołnierze Suomi byli nieporównanie lepiej przygotowani do prowadzenia wojny w warunkach mroźnej i śnieżnej zimy. Zaś największą ich przewagą było morale. Walczyli w obronie ojczyzny, własnych wsi i chutorów. Błędem Stalina, który wzmościł determinację Finów, było powołanie marionetkowego rządu Kuusinen. To był jasny sygnał, że Sowietom już nie chodzi tylko o zdobycze terytorialne, lecz o kontrolę nad całą Finlandią. Z kolei krasnoarmiejcy nie do końca rozumieli, po co ryzykują życie. W przeciwieństwie do Finów sowieccy żołnierze słabo radzili sobie z nartami. Nie wspominając o słabym wyszkoleniu, uzbrojeniu i fatalnej odzieży. Przewagą Finlandii, której nie należy nie doceniać, była jakość dowodzenia. Marszałek Karl Gustaw Mannerheim to były generał carskiej armii i weteran wygranej wojny w 1918 roku. Z drugiej strony była zdziękowana czystkami kadra Armii Czerwonej, działająca na dodatek pod silną presją Stalina. O koordynacji działań poszczególnych jednostek też nie da się powiedzieć niczego dobrego.

12 grudnia 1939 roku doszło do pierwszego większego zwycięstwa Finów, którzy wzięli całą sowiecką dywizję w dwa ognie na zamarniętych jeziorach Hirvasjärvi i Tolvajärvi. Fińskie straty wyniosły ponad 100 zabitych i około 250 rannych. Sowietci stracili ponad 1000 osób

oraz dużą liczbę sprzętu. Ponawiane raz za razem grudniowe natarcia na Linie Mannerheima zdziesiątkowały 7. Armię. W kotłach śmierci znalazła niemal cała 168. Dywizja. Mimo ogromnych strat Armia Czerwona nie zdołała przełamać fińskiej obrony na żadnym odcinku frontu. W Wigilię Finowie podjęli nawet kontrofensywę po dotarciu posiłków. Operacja zakończyła się jednak niepowodzeniem, a Finowie już pierwszego dnia musieli się wycofać na poprzednio zajmowane pozycje. Tymczasem Sowieci zaatakowali także na froncie na północ od Ładogi. Od końca grudnia 1939 do końca lutego 1940 roku ruchliwe bataliony fińskich strzelców sprawiły krwawą łaźnię dziesięciu sowieckim dywizjom, część z nich całkowicie gromiąc. To wtedy snajper Simo Häyhä zabił 505 sowieckich żołnierzy, zyskując przydomek Biała Śmierć. To wtedy też powstało określenie „kokałaj Molotowa”. Finowie znaleźli skuteczny prowizoryczny zapalnik (tzw. zapaliki sztormowe) do równie prowizorycznej broni, czyli butelek z benzyną. A skąd tu Molotow? To na pamiątkę jego przechwałek, że zgodnie z wyznaczonym przez strategów Armii Czerwonej terminem jeszcze przed Bożym Narodzeniem „wypije w Helsinkach toast za zdrowie Stalina”.

► Zwycięska porażka

Stalin nie doczekał się urodzinowego prezentu, niepowodzenia jego armii wywołały wściekłość dyktatora. Wojenne trybunały miały ręce pełne roboty, zaś słynny komisarz Lew Mechlis, zwany psem łańcuchowym Stalina, praktykował pokazowe egzekucje dowódców. Dla przykładu 11 stycznia 1940 roku na polecenie Mechlisa rozstrzelano niemal całe dowództwo 44. Dywizji Strzelców, rozbitej w rejonie Suomussalmi w pierwszych dniach stycznia. Zirytowani porażkami Stalin wyznaczył na dowódcę 7. Armii Kirył Mierieckowa i zażądał od niego przerwania Linii Mannerheima. 7 stycznia 1940 roku utworzono Front Północno-Zachodni pod dowództwem komandarma Siemiona Timoszenki. Skoncentrowano tutaj ogromne siły. Przypominało to starcie Dawida z Goliatem – na jednego obrońcę Linii Mannerheima przypadało pięciu krasnoarmiejców. Sowieci mieli miażdżącą przewagę w powietrzu, artylerii mieli dziesięć razy tyle co Finowie, zaś czołgów ponad sto razy więcej! Ofensywa ruszyła 11 lutego 1940 roku. Rozkaz Stalina dla Timoszenki i Mierieckowa był jasny: nie liczyć się ze stratami, cel ma być osiągnięty za wszelką cenę. W fińskiej obronie szybko powstała trzykilometrowa wyrwa. Nie było już rezerw, żeby ją załatać, i 17 lutego Finowie rozpoczęli odwrót. Głównodowodzący armią marszałek Karl Gustaw Mannerheim zwrócił się do rządu w Helsinkach, żeby prosił o pokój. Dopiero po zwiększeniu przewagi liczebnej Sowieci przełamali opór Finów. Mieli wtedy na froncie 760 tys. żołnierzy, czyli niemal trzy razy więcej niż przeciwnik.

Sowieci w końcu przerwali Linie Mannerheima i droga do Helsinek stanęła otworem. Dlaczego Stalin nie dobił Finlandii? W meldunku wywiadu ze Sztokholmu na początku marca 1940 roku Stalina informowano, że Finlandia może bronić się jeszcze nie dłużej niż trzy tygodnie. Ale Stalin nie miał już nawet tyle czasu. Bał się wmieszania się Anglików i Francuzów, a najbardziej pokoju między Zachodem a Niemcami. Gdyby to było miesiąc później, zapewne postąpiłby inaczej. 12 marca zawarto pokój z Finlandią, a 8 kwietnia Hitler napadł na Danię i Norwegię. Jednak na przełomie lutego i marca Stalin zdawał sobie sprawę, że ani sytuacja militarna, ani tym bardziej polityczna nie dają szansy na kontynuowanie ofensywy aż do pełnego zwycięstwa i bezwarunkowej kapitulacji Finlandii. Jeszcze 14 grudnia 1939 roku ZSRS został wykluczony z Ligi Narodów, pojawiło się też ryzyko zerwania stosunków z USA. Sowieci dowódcy obawiali się też, że na północy Finlandii wylądają angielsko-francuski korpus ekspedycyjny. W Londynie i Paryżu analizowano też podobno możliwość nalotów na przemysł naftowy w Baku oraz operacje wojskowe na Zakaukaziu. Stalin nie chciał zaś komplikować sobie relacji z Zachodem, który i tak był uwikłany w wojnę z III Rzeszą. Konflikt sowiecko-zachodni tylko jeszcze bardziej wzmocniłby Niemcy, które już w lutym 1940 roku w operacyjnych sowieckich dokumentach zaczęto postrzegać jako największe militarne zagrożenie dla ZSRS.

8 marca 1940 roku, gdy toczyły się jeszcze krwawe boje o Wybörg, w Moskwie ruszyły rozmowy pokojowe. W czasie działań wojennych poległo ponad 25 tys. Finów, a około 44 tys. zostało rannych. Tysiąc osób wzięto do niewoli. Straty ZSRS były wielokrotnie wyższe. Zginęło lub zostało uznanych za zaginionych około 126–167 tys. osób, a 180 tys. zostało rannych. Podczas wojny Finowie wzięli do niewoli około 6 tysięcy Sowieców. Część z nich zmarła, zanim zawarto pokój. Reszta została wtedy wydana ZSRS – natychmiast aresztowało ich NKWD. Wieczorem 12 marca 1940 roku podpisano porozumienie. Do południa dnia następnego na froncie ustały walki. Związek Sowiecki dostał Przesmyk Karelski z Wybörgiem, zaś granica odsunęła się od Leningradu o około 140 km. Na półwyspie Hanko pojawiła się baza sowiecka. Sowieci dostali też część jeziora Ładoga, miasto Sortawala, dwa półwyspy i jeszcze kawałek ładu pod Kuolajärvi. Łącznie Finowie stracili 34 tys. kilometrów kwadratowych terytorium, w tym aż 11 proc. gruntów uprawnych. Około 430 tys. Finów, czyli około 12 proc. społeczeństwa, straciło swoje domy i musiało się osiedlić w innych miejscach kraju. Jednak choć warunki kapitulacji były ciężkie, udało się im uratować niepodległość. Dzięki bohaterstwu swych żołnierzy Finlandia uniknęła brutalnej sowietyzacji – w przeciwieństwie do Estończyków, Łotyszów i Litwinów. Był jeszcze jeden skutek wojny zimowej. Adolf Hitler uważnie śledził doniesienia z frontu. Przebieg walk utwierdził go w przekonaniu, że Wehrmacht z łatwością rozprawi się z Armią Czerwoną. ■



Marcin Wolski

CYWILIZACJA WYGODY

Badacze, którzy za jakiś czas dokopią się do naszej epoki (po warunkiem, że będzie co wykopywać), nie powinni mieć trudności z nazwaniem czasów z początków XXI stulecia – cywilizacją wygody. W świecie Zachodu dokonał się pewien niezwykle przewrót stawiający na głowie dotychczasowy porządek – w starożytnej Grecji czy w średniowiecznych państwach, a zwłaszcza w XIX wieku, podstawą cywilizacji był obowiązek dzieci wobec rodziców, rodziców wobec dzieci, obywateli wobec państwa i wiernych wobec Boga. Edukacja opierała się na kulcie odpowiedzialności, przygotowywała kolejne pokolenia do wyrzeczeń, a jeśli sytuacja wspólnoty tego wymagała – do najwyższej ofiary. Nasi przodkowie choć podobno prymitywni, wiedzieli, że nic nie trwa wiecznie, a nawet dekady pokoju nie gwarantują, że dotychczasowy bezpieczny świat nie zawali się z trzaskiem, a miejsce subtelnej dekadencji zastąpi beztosna walka na śmierć i życie, w której społeczna jednostka nie ma najmniejszych szansy przetrwania. Ale to przeszłość – ubezpieczenia, kredyty, pigułki na wszystko, organizacje międzynarodowe wydają się zabezpieczać ład, w którym jedynym problemem wydaje się ocalenie o jeden stopień w skali stulecia. Jakoś nikt nie zdaje sobie sprawy, że nasz świat, mimo cudownych otaczających nas gadżetów, jest kruchy jak nigdy w historii. Jedna wielka awaria energetyczna, globalny konflikt nie do opanowania, pandemia – i znajdujemy się w sytuacji gorszej niż nasi przodkowie z paleolitu. Wielkie miasta się nie wyżywią. Indywidualna produkcja żywności nie istnieje, a ilu ludzi (speców od reklamy, marketingu itp.) potrafi zrobić coś praktycznego, coś zbudować, naprawić, uszyć? Ale cywilizacja wygody nie zadaje sobie takich pytań. Przecież za dwoma eugenicznymi projektami – aborcją i eutanazją – nie stoi żadna ideologia. Niechciany bachor lub zawadzający, kosztowny staruch. Szast-prast i po wszystkim!

Czasami zdarza mi się kibicować innym, wrogim cywilizacjom. Arabskiej, hinduskiej, chińskiej. Szkoda, że zajmą miejsce cudu wszech czasów cywilizacji białego człowieka. Ale może przynajmniej gatunek homo sapiens (nie mylić z homo gejus) – przetrwa? ■



JAKOŚ NIKT NIE ZDAJE SOBIE SPRAWY,
ŻE NASZ ŚWIAT, MIMO CUDOWNYCH
OTACZAJĄCYCH NAS GADŻETÓW, JEST KRUCHY
JAK NIGDY W HISTORII.



Tomasz Sakiewicz

Religijność a konserwatyzm

Lewica buduje obraz konserwatystów jako kościółkowych hipokrytów ze wstecznymi poglądami i nieprzystających do życia. To stara śpiewka, tworzona przez wszystkie kontrkulturowe ruchy od setek lat, a szczególnie zaawansowana sufLOWANA po wybuchu marksistowskich rewolucji.

Warto jednak jedną rzecz wyjaśnić, bo staje się ona źródłem nieporozumień w samym obozie konserwatywnym. Jaka jest relacja pomiędzy religijnością a konserwatyzmem? Sprawa wcale nie jest prosta i może być źródłem niepotrzebnych rozczarowań. Konserwatyzm to zbiór pewnych dosyć spójnych wartości, a także styl życia. Szacunek dla religii i zasad z niej płynących jest jego elementem. Jednak nie oznacza to automatycznie religijności. Religijni mogą być zarówno konserwatyści, jak i lewicowcy. Konserwatyzm pozwala utrzymać religijność w pewnych ryzach społecznych, zwykle zresztą mocno wspieranych przez duchowych przewodników. Lewicowość takie ryzy odrzuca, lecz nie zawsze odrzuca samą religijność. Jeżeli jest to lewica stricte marksistowska, to tak, ale od czasów wybuchu rewolucji marksistowskich powstało już tyle mutacji tej filozofii, że wiele z nich wręcz zaczęło podierać się elementami doktryny i nauki społecznej chrześcijaństwa, buddyzmu albo islamu. Pojawia się więc problem religijności poza doktryną Kościoła, ale to już temat na zupełnie inny tekst.

Tak jak lewicowość nie zawsze oznacza brak religijności, choć często czyni z niej karykaturę dotychczasowej nauki, tak prawicowość – konserwatyzm – nie oznacza głębokiego zaangażowania w religię. Najłatwiej zaobserwować to na przykładzie chrześcijaństwa. Współczesna kultura chrześcijańska została zbudowana w oparciu o naukę Chrystusa i przez wieki istnienia Kościoła. Jest niemal w każdej sprawie elementem naszego życia. Prawo, życie codzienne oraz kultura wyższa zostały przeniknięte zasadami i obyczajowością chrześcijańską. Było to o tyle łatwe i jest silne, że chrześcijaństwo mocno bazuje na prawach naturalnych. Jednak ktoś, kto

uznaje Dekalog, sypia wyłącznie z osobą innej niż sam płci, a najchętniej zakłada rodzinę, chodzi do Kościoła na ważne uroczystości – nie musi być religijny. To przyjęcie pewnego zespołu zasad i zachowań, które wiążą się z akceptacją otaczającej kultury i obyczajów przodków. Sama aktywność religijna jest tylko pośrednio z tym związana. Znam ludzi, którzy chodzą na święta do kościoła, a w ogóle nie są wierzący. Mają do tego prawo, a z punktu widzenia religii chrześcijańskiej jest to również słuszne postępowanie, bo zbliża człowieka do jej źródła.

Konserwatyzm może być podyktowany religijnością, ale zwykle wynika po prostu z wychowania. Komuniści mieszały obydwie sprawy i raz walczyli z Kościołem jako takim, innym razem z konserwatywnym stylem życia. Czasem łatwiej opanować kraj, niż przeprowadzić dwie takie rewolucje. Wcześniej czy później komuniści odpuszczali je sobie, akceptując pewien konserwatywny model życia, a samą religijność próbowali kontrolować.

Nowe ruchy lewicowe nie atakowały religijności jako takiej, lecz konserwatywny model społeczeństwa. Dopiero w ostatnich latach ruchy gender i LGBT zaczęły – oprócz konserwatyzmu – walczyć również z samym Kościołem i religijnością. To wywołało przynajmniej w krajach silnie katolickich zdecydowany opór i skazuje, jak na razie, te ruchy na porażkę.

Istnieje bowiem związek między konserwatyzmem a religijnością, ale jest to związek taki jak między murami kościoła a Mszą świętą. Jedno sprzyja drugiemu, choć tym samym nie jest.

Konserwatyzm to piękne mury cywilizacji opartej na nauce Chrystusa. Ale życie tej cywilizacji tkwi jednak w osobistym doświadczeniu Stwórcy. ■

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z NOWOCZESNOŚCIĄ

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl c6d8055ac3